

WANDA KARCZEWSKA
ZAPISKI
nad ranem

STRONA II

WIELKI
PLEBISCYT

STRONA 8 i 9

ŁODZIANIE 1974

ANDRZEJ GRUN
KOWBOJ
W
METRZE

STRONA 6

ODGŁOSY



ROK XVII NR 51/52 (890)

19 GRUDNIA 1974 ROKU

CENA 4 ZŁ

TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

NA ŚWIĘTA NASZYM CZYTELNIKOM

prezentujemy numer w zwiększonej objętości, 20-kolumnowy, którym zamykamy naszą działalność w 1974 roku. Pracowaliśmy nad nim od pewnego czasu, aby zapewnić naszym Czytelnikom w ostatnich dniach br. — gdy wolnego czasu będzie wyjątkowo sporo — lekturę przyjemną i pożyteczną.

Z myślą o świątecznym odpoczynku powiększyliśmy „Magazyn” do czterech kolumn, w którym oprócz wielu stałych pozycji polecamy test „Czy masz zdolności organizacyjne?” Zabawa to, oczywiście, ale sprawdzić nie zaszkodzi...

Mówiąc o odpoczynku, świątecznej atmosferze odprężenia i relaksu, nie możemy zapomnieć i o chwili poważniejszej refleksji nad życiem i o tym, że toczy się ono bez przerwy, bez zwalniania tempa, bez pustych dni i godzin. Dlatego też tradycyjnie w numerze świątecznym rozpoczynamy (już po raz siódmy) konkurs ŁODZIANIE 1974. Przedstawiamy w nim dziesięciu wybitnych twórców nauki, kultury i sztuki, spośród których nasi Czytelnicy, drogą plebiscytu, wybiorą najbardziej godnych tego honorowego wyróżnienia.

Nie sposób w dzisiejszej rekomendacji wyróżnić choćby kilka pozycji, staraliśmy się przede wszystkim tak zorganizować materiał, aby stanowił zamkniętą całość. Wymienić tu jednak trzeba poemat Mariana Piechała, którym ten wybitny poeta, po latach życia i pracy w Łodzi, oddaje piękny hołd swemu miastu.

Oddając ten świąteczny numer w ręce naszych Czytelników, tych wiernych od lat siedemnastu i tych, z którymi niedawno zawarliśmy znajomość, a więc naszym przyjaciołom, współpracownikom, tym, którzy nas drukują, rozpowszechniają i czytają REDAKCJA „ODGŁOSÓW” składa serdeczne życzenia pomyślności w pracy, życia osobistym, dużo zdrowia, poczucia humoru i wszelkiego zadowolenia z faktu, że przynależymy do jednej wielkiej rodziny.



MARIAN PIECHAŁ

OGIEŃ I POPIÓŁ

ANDRZEJ GRUN

KOWBOJ W METRZE

Niektórzy spośród tych, którzy czytali moje dotychczasowe relacje (wspominki? reportaże?) z Londynu, często mówią do mnie z wyraźną pretensją: — Słuchaj, dlaczego ty tak leżysz? Ciągłe pisanie, że tam wcale nie pada, że nie ma mgły, a tam przecież leje bez przerwy i mgła jest taka, że jak trzymasz funta w ręku, to go w ogóle nie widzisz. No i po co z nas, Sarmatów, balona robisz? Zobaczysz, że cię więcej za te twoje kłamstwa nie wypuszczą.

JERZY WILMAŃSKI

SKARBY SYBERII

Następnego dnia rano miałem odlecieć do Bracka. To blisko Irkucka, gdzieś niespełna 600 kilometrów. Był wieczór, w telewizji skończył się program rozrywkowy pod tytułem „Benefis”. Jak sama nazwa wskazuje, był to benefis prowadzącego program aktora, który prezentował fragmenty swoich filmów, swoje piosenki i swoich ulubionych piosenkarzy... Najpierw pomyślałem sobie, że nasza telewizja nie jest taka najgorsza, skoro Rosjanie czerpią z niej wzory — tuż przed wyjazdem widziałem w polskiej TV coś bliźniaczego: „Władysław Hańcza przedstawia...” Ale potem okazało się, że radziecki „Benefis” ma już... czterdziestą edycję.

KORESPONDENCJE Z ZAGRANICY

„ZENIT” PRZED POŁUDNIEM

Na zebranie sprawozdawczo-wyborcze organizacji partyjnej przy Zakładach Przemysłu Pończoszniczego im. M. Buczka „Zenit” trafili z rozdzielnika Wydziału Organizacyjnego Kł PZPR, podobnie jak Wojciech Klimek, zastępca kierownika Wydziału Nauki Kł. II sekretarz Eugeniusz Grabowski reprezentował dzielnicę, KD Łódź-Śródmieście. Umówiliśmy się więc, że oni zabiorą głos na konferencji, a ja na łamach „Odgłosów”, co niniejszym czynię.

„Zenit”, jak na łódzkie warunki, należy do zakładów średniej wielkości: wartość produkcji pół miliona zł, zatrudnienie około 1000 pracowników. Jest więc organizmem na tyle dużym, by przy właściwej działalności zagwarantować korzystne relacje ekonomiczne. Z drugiej zaś strony przedsiębiorstwem na tyle małym, by pewne charakterystyczne zjawiska dostrzec w nim jak na wzorcowym modelu; procesy dość zawiłe i niejasne, np. w dużym kombinacie, tutaj rysują się jak na dłoni. Jak to sprawa? Oczywiście ludzi i produkcji, ludzi przede wszystkim...

Przedstawimy najpierw zakład. Na podstawie materiałów, obszer-nych i starannie przygotowanych, w jakie zaopatrzone każdego uczestnika konferencji. Uzupełniają je referaty — wprowadzenia do dyskusji: I sekretarz KZ Jana DURKI i dyrektora naczelnego Wacława ZNAMIEROWSKIEGO.

Ostatnie dwa lata zakładu to okres trudny, pierwszy etap intensywnego modernizacji. Prac szczególnie uciążliwych, bo przeprowadzanych w ruchu, przy rosnących stale zadaniach. Wyniki jednak dobre. Dla przykładu ważny rok 1973 (rok bieżący zapowiada się podobnie). Wartość produkcji w cenach zbytu wykonano w 105,6 proc. Tzw. produkcję dodaną — która jest w „Zenicie” podstawowym miernikiem ekonomicznym — zrealizowano w 103,6 proc. Dostawy na rynek wewnętrzny zwiększono o 7 proc., na eksport o 5,5 proc. Podobnie jak w innych łódzkich zakładach uzyskano dodatkową produkcję w efekcie zobowiązań załogi — o wartości ok. 12 mln zł. I to w warunkach niepełnego zatrudnienia.

Investowanie w „Zenicie” polega przede wszystkim na wymianie starego parku maszynowego na najnowocześniejsze automaty (ponad sto w r. 1973). Wszystkie te nie-

łatwe prace przebiegają we wzorowym tempie, wyprzedzają na miesiąc ustalone harmonogramy. Ponadto skracają się poważnie okresy dochodzenia do optymalnych zdolności produkcyjnych. Przyniosło to w efekcie dodatkową produkcję 400 tys. par pończoch i skarpet o wartości ponad 9 mln zł.

W parze z modernizacją parku maszynowego następuje poprawa warunków socjalno-bytowych załogi. Dla przykładu: uruchomiono kiosk spożywczy w zakładzie „D”, urządzono kilka pomieszczeń sanitarnych, w kilku oddziałach wymieniono oświetlenie, oddano do eksploatacji kuchnię i rozlewnię wody sodowej itd. Z wczasów w ub. roku skorzystało prawie 40 proc. załogi, dla każdego dziecka nie brakło miejsca na kolonijach. Zarobki załogi wzrosły w tym roku o ponad 10 proc.

Oczywiście nie wszystko udało się na medal. Trudności wynikające z niepełnego zatrudnienia pogłębiły się przez wzrost absencji, wzrosły nadmiernie zapasy. Zakładowy zespół ujawnił zapasów zbędnych i nadmiernych na kwotę 30 mln zł (50 proc. to maszyny i urządzenia nieczynne). Wzrosły także kary umowne, jakie zakład płaci za nieterminowe dostawy lub przekwalifikowanie wyrobów.

A jak w tym okresie funkcjonowała organizacja partyjna? Cóż, najkrócej można powiedzieć, że nie byłoby dobrych wyników produkcyjnych, gdyby nie udział w nich tej najbardziej świadomej i ofiarnej części załogi. Zresztą towarzysze z „Zenitu” nie wpadają w euforie. Wytłakają sobie raczej to, co nie zostało zrobione, albo krytykują efekty osiągnięte nie na miarę możliwości. Nikt jednak nie ma wątpliwości, że w samej organizacji partyjnej wiele spraw uporządkowano. I mimo iż np. nie nastąpił oczekiwany wzrost szeregów partyjnych (część towarzyszy odesła-

ła z likwidowanej teksturni do innych zakładów i organizacji terenowych) to sam fakt włączenia na konferencję legitymacji partyjnych trzynastce przyjętych w ostatnim okresie towarzyszy (głównie młodzież z ZMS) nastraja optymistycznie.

Posłuchajmy dyskusji:

Tow. ZWOLIŃSKI, pełniący dotychczas funkcję II sekretarza KZ. Krytycznie, chociaż przyznając, że towarzysze wiele zrobili, ustosunkowuje się do pracy komisji KZ. Wskazuje na niski stopień upartyjnienia załogi, za mały procent robotników w partii. Wielu robotników awansuje, przechodzi do grupy umysłowych i psuje „średnią”. Wywołuje to zrozumiałą wesołość na sali. Obyśmy tylko takie mieli zmartwienia. Ze zrozumieniem spotyka się uwaga, że jest za mało narad produkcyjnych i potem trzeba o tych sprawach mówić na zebraniach partyjnych. Dostaje się także pracownikom wyższych instancji. Podczas kontroli patrzą bardziej czy teksta z dokumentami jest gruba, chociaż także pomagają. Wewnątrz zakładu musi być lepsza informacja, z góry do dołu i odwrotnie.

Tow. PIETRASIAK mówi głównie o pracy SZOPP, społecznego zakładowego ośrodka propagandy partyjnej. Sporo uwag krytycznych. Gabinet metodyczny jest b. dobrze wyposażony, ale za mało wykorzystany. Z kilku zespołów SZOPP aktywnie działają tylko ich przewodniczący. Do tej pracy nie włącza się młodzież ZMS-owska. Praca wychowawcza z młodzieżą też wygląda nie najlepiej. Wyróżnia za dobrą pracę zakładowy radiowęzeł, a szczególnie cykliczną audycję „Echo Zakładu”. Postuluje podniesienie rangi ośrodka, usprawnienie działalności jego rady programowej. Zintegrowanie działalności propagandowej z działalnością szkoleniową przedsiębiorstwa.

Tow. KARCEWICZ na przykładzie zakładu „D” analizuje niepokojące zjawisko wzrostu absencji. Mimo poprawy warunków pracy, ludzie więcej chorują, zwłaszcza ci pośrednioprodukcyjni. Co na to zakładowa służba zdrowia? Niepokoi także duża fluktuacja załogi. Tym bardziej, że odchodzą dobrzy a przychodzą słabi. Osłabia to dyscyplinę, obniża wydajność pracy. Obsługa nowoczesnych automatów

wymaga najwyższych kwalifikacji. Nowo powstałe zakłady kradną nam fachowców.

Tow. KLIMA występuje b. ostro. Niewłaściwie podchodzimy do spraw młodzieży. Zapomnieliśmy, jacy byliśmy sami w ich wieku. Energii młodzieży trzeba właściwie wykorzystywać, ale też nie pozwalając im na wszystko. Inwestujemy pieniądze w poprawę warunków socjalnych, a jak z tego pożytek. Wandale zniszczyli urządzenia sanitarne w budynku nr 17 i nr 5. To margines naszej załogi, ale gdzie jesteśmy my? W naszym dziale mechaniki i elektrycy dużo zrobili, adaptowaliśmy szatnię, przed warsztatem mamy fontannę. Jakaś komisja się pochwaliła, że to oni zrobili. Złoczyli śmiech na sali... Nasza najlepsza praca polityczna, to dobra robota na swoim stanowisku pracy. O tym głównie mówimy, bo robotnik zawsze będzie mówił o tym co mu najbliższe, co go często boli.

Tow. RUDOWSKA, przewodnicząca Zarządu Zakładowego ZMS. W przeszłości nie mieliśmy szczęścia do przewodniczących. Żaden nie sprawował funkcji przez całą kadencję. Młodych ludzi w zakładzie jest ponad 700, a w organizacji tylko 160, a w partii zaledwie 34 członków i kandydatów. W ostatnim roku nastąpiło jednak pewne ożywienie. Były różne akcje, praca społeczna, zloty, wycieczki. Będziemy naszą działalność rozwijać.

Tow. WŁODARZYK, gl. mechanik. Dachy nam się wali. Mamy pieniądze, ale nikt nam nie chce wykonać remontu. Spółdzielnie świadczą usługi dla ludności. Nasz zakład remontowy przy Zjednoczeniu wzięby, gdyby była to inwestycja milionowa. Musimy myśleć o przyszłej rozbudowie zakładu, bo ul. Sienkiewicza będzie przebudowywana. Miasto powinno dać nam działkę po magazynach RSW i tam trzeba wybudować nowe oddziały. Inaczej zakład nie może się prawidłowo rozwijać.

Tow. MACIASZEK, Krytykowanie tu zespoły mistrzowskie, a o ich osiągnięciach nie napisano w sprawozdaniu. A zespoły 1, 2, 10, 11 za półroczną zaszczytliwą na igła prawie 200 tys. zł. Nasza główna bolączka to ucieczka kadry do nowych zakładów. U nas praca bardziej skomplikowana, tam prostsza, a zarobki wyższe. Co na to nasze władze? Dalej tow. Maciaszek mó-

wił o szerszych sprawach, eksporcie, rozwoju miasta, zaopatrzeniu. Kończy bardzo ładnie cytatem z K. I. Gałczyńskiego...

Tow. ORSKI, przewodniczący Rady Robotniczej. Mówi o obniżce kosztów materiałowych, prawidłowej gospodarce zapasami, konieczności oszczędzania.

Tow. KRÓL krytykuje KZ za „anemiczne” sprawozdanie, że nie rozliczono się ze wszystkich wniosków podjętych dwa lata temu. Za mało jest zebranych partyjnych otwartych i bezpartyjni są nie doinformowani. Zastanawia się jak zaradzić ucieczce pracowników z wysokimi kwalifikacjami. Dużo uwagi poświęca młodzieży. „Musimy ich wychować na wzorowych pracowników i wzorowych obywateli”.

Tow. WALCZAK w swoim wystąpieniu zajmuje się pracą grup partyjnych, krytycznie ocenia ich pracę. Wiele uwagi poświęca mistrzom (przeciążeni ich pracą), polityce awansów, młodzieży.

Zabierają również głos towarzysze **GRABOWSKI** i **KLIMEK**. Wyjaśniają wiele spraw, radzą, z niektórymi towarzyszami polemizują. **Tow. Grabowski** w imieniu instancji dzielnicowej wysoko ocenia osiągnięcia załogi „Zenitu” i jego kierownictwa. Dziękuję za dobrą robotę. Są to świetne wystąpienia. Obaj działacze młodzi, z zetem-powskiego pokolenia. Przygotowani do swoich ról, wykształceni (**Klimek** nawet z tytułem doktorskim). Potrafią prowadzić dialog z robotnikami.

Jeszcze głosowanie, wybory. Dobry to prognostyk, budujący jedno-myślności. Prawie w stu procentach przechodzą kandydaci zgłoszeni przez komisję wyborczą. A w tajnym głosowaniu nowy I sekretarz KZ **DURKA** i dyrektor **ZNAMIEROWSKI** otrzymują najwięcej głosów (po 62 na 68 głosujących). Jakże to przekonujący dowód zaufania do kierownictwa zakładu, które tu ludzi nie rozpieszczę, ale umie się z nimi dogadać.

Wracamy we trzech po zebraniu. **Grabowski**, **Klimek** i ja. Zmęczeni, ale zadowoleni. Ci dwaj napracowali się solidnie, ja dużo się nauczyłem. Wierzę mi: od robotników, zwłaszcza partyjnych robotników, nauczyć się można wiele. Nie tylko na partyjnych zebraniach, ale tam także...

I jeszcze jedno. Dlaczego „ZENIT” PRZED POŁUDNIEM? Niech mi załoga „Zenitu” wybaczy ten tytułowy kalambur, ale im więcej o tego zenitu dość daleko. Blizko, niż daleko, ale czeka ich jeszcze sporo roboty i wysiłku, by rozwiać przedsięwzięcie na skalę nie tylko naszych, łódzkich potrzeb. Osobiście nie wątpię, że uporają się szybko i sprawnie ze swoimi niełatwymi problemami. Trzymają właściwy kurs, na nowoczesność. I stawiają trafnie, na ludzi.

JERZY WAWRZAK

ŚWIATOWE ODPRĘŻENIE I ZACHODNIE KRYZYSY

dek. Dla stosunków Wschód-Zachód ma to rangę praktycznego działania w kierunku pokoju.

Trwają przecież — w Genewie i Wiedniu — dwie doniosłe dyskusje. W Pałacu Narodów toczą się obrady drugiego etapu Europejskiej Konferencji Bezpieczeństwa i Współpracy. W zamku Hofburg przedmiotem dyskusji jest wzajemna redukcja sił zbrojnych i zbrojeń w Europie środkowej. To, że rokowania w Genewie i Wiedniu dotyczą naszego kontynentu nie jest dziełem przypadku. Właśnie w Europie, gdzie nikt nie kwestionuje już granic i nie zamierza odwoływać się do siły, proces odprężenia jest najbardziej zaawansowany. Dodajmy — w Europie innej niż przed rokiem także politycznymi zmianami w Portugalii i Grecji.

Mijający rok dla delegacji 35 państw, uczestniczących w EKBW, był bardzo pracowity. Punkt po punkcie analizują one zalecenia ministrów spraw zagranicznych z wcześniejszej konferencji w Helsinkach i ustalają brzmienie końcowych dokumentów. Niecierpliwi mogą ocenić, że obrady zbyt się przeciągają, a postęp jest niezadowalający. Nie ukrywając, że radi bylibyśmy z przyspieszenia prac, musimy wszakże pamiętać, jakie to problemy są dyskusowane. A więc: 19 zasad, na których ma się opierać europejska współpraca, rozwój stosunków w dziedzinie gospodarczej, naukowej, technologicznej i ochrony środowiska oraz problemy wymiany informacji i kontaktów między ludźmi. Równolegle pracuje się nad zespołem środków, które po-

winny być podjęte po zakończeniu konferencji w celu wprowadzenia jej ustaleń w życie.

Inicjatorem tej konferencji, jak wiadomo, były kraje socjalistyczne i one też wnoszą wielki wkład w konstruktywny jej przebieg. Dziś nikt już nie wątpi, że następny rok przyniesie trzeci i decydujący jej etap — podpisanie na wysokim szczeblu końcowych dokumentów. Długie miesiące szczegółowej dyskusji służą takiemu finałowi.

Mniej zaawansowane są rokowania 19 państw w Wiedniu. Na jedno i drugie konferencyjne forum znaczący wpływ mają stosunki radziecko-amerykańskie. Ich obecny stan umożliwił również Polsce bezpośredni i na najwyższym szczeblu dialog ze Stanami Zjednoczonymi. Z wszystkich polskich wizyt tego roku ta — Edwarda Gierka w USA — miała największą światową prasę. Odzwierciedla to jej ogólniejsze niż tylko dwustronne znaczenie.

W światowy proces odprężenia Polska w swym jubileuszowym roku 30-lecia wniosła nowy, duży wkład. Wychodząc z przekonania o niepodzielności pokoju — upowszechniamy i realizujemy konsekwentnie zasadę pokojowego współistnienia, która jest podstawą polityki zagranicznej socjalistycznej wspólnoty. Obrady w naszej stolicy Doradczego Komitetu Politycznego Państw

— Stron Układu Warszawskiego stały się dla naszej pokojowej ofensywy nowym impulsem.

Idea pokojowego współistnienia, choć w 1974 roku zwycięsko torowała sobie drogę, nie jest jeszcze powszechna. W ciągu 12 miesięcy zdarzały się też napięcia, wywołane nie wygaszonym przecież do końca konfliktem izraelsko-arabskim, czy też cypryjskim zamachem stanu. Ale i wtedy mieliśmy okazję przekonać się, jak dobroczynny wpływ wywiera odprężenie. W innym klimacie światowym te zapalne punkty mogłyby prowadzić do konfrontacji na szerszą skalę, z wszystkimi tragicznymi tego skutkami. Tak zresztą, jak w innym klimacie nie mogłyby zalać się ostatnie — imperium kolonialne — imperium Portugalii. A w mijającym roku byliśmy tego zalamania świadkami.

Pisaliśmy dotąd o 1974 roku jako o roku odprężenia. Obraz jednakże byłby daleko niepełny, gdybyśmy nie dali jeszcze jednego określenia, nie nazwali go również **ROKIEM KRYZYSU**. Dla gospodarki świata zachodniego był to bowiem rok zły, trwających kryzysów: energetycznego, walutowego i giełdowego, recesji i szalejącej inflacji, a także ogólniejszego kryzysu żywnościowego. Spółka tych zjawisk objawił się w całym świecie kapitalistycznym dużym

wzrostem cen i bezrobociem, spadkiem produkcji przemysłowej, pogłębianiem problemów społecznych. Rzuca to niekorzystnie przede wszystkim na sytuację mas pracujących.

Miliony mieszańców byli różnymi konferencjami świata kapitalistycznego — za-

czynała je waszyngtońska konferencja konsumentów ropy naftowej, zakończył szczyt EWG w Paryżu. Skutecznego lekarstwa na schorzenia kapitalistycznej gospodarki nie wymyślono. Z kryzysami, które obaliły już kilkadziesiąt rządów, Europa zachodnia wejdzie w nowy rok.

Jeden z nich jest ogólniejszy i przez to szczególnie niebezpieczny — kryzys żywnościowy. Próbowaliśmy mu zaradzić rzymską konferencją, przedstawiciel 130 krajów. Wniosek jednak z tych obrad jest zbyt prosty, aby mógł być szybko zrealizowany. Po prostu produkcja żywności musi wzrosnąć w ciągu najbliższych dziesięciolecia o 35—40 proc. Jest to możliwe, ale wymaga wysiłków środków finansowych. Są zaś kraje, które swymi rezerwami posługują się jako bronią polityczną. Grozi więc, że strefa głodu i głodowej śmierci może się poszerzać.

Sytuacja gospodarcza świata dała o sobie znać w licznych obradach i działaniach ONZ. W kwietniu z inicjatywą krajów „trzeciego świata” zwołano nawet specjalną sesję na temat surowców i rozwoju ekonomicznego. Co wykazała ta debata? Przede wszystkim to, że dalszy rozwój gospodarki światowej wymaga nowych zasad współpracy międzynarodowej. Trzeba jednak czasu, dobrej woli i wla-

śnie odprężenia, aby je wypracować i wprowadzić w życie.

Kryzysy, nawiedzające świat kapitalistyczny, wykorzystywane były przez koła zimnowojenne do prób powstrzymania pozytywnych tendencji w polityce międzynarodowej. Czasem nawet w nich upaństwowano źródła tej trudnej dla Zachodu sytuacji gospodarczej. Oczywiście w tym bezsensie była metoda. Przeciwnicy pokojowego współistnienia nie zdobyli jednak przychylności, który pozwoliłby im rozszerzać działania. Musieli się okopywać na pozycjach wyścigowych. Tym faktem również można mierzyć pomyślność 1974 roku.

W polityce światowej kalendarzowy czas nie zamyka żadnego etapu. Tutaj granice wyznaczają przede wszystkim fakty. W 1974 roku było ich tak wiele, że wszystkie trudno odświeżyć w pamięci i ogarnąć rocznicową refleksją. Niekiedy, zwłaszcza przy zmianie ekip rządowych, pojawiały się pytania, jak to będzie z kontynuacją linii politycznej. A rok w takie zmiany obfitował. Zmarłego Pommido zastąpił Giscard d'Estaing, Brandta, który nieoczekiwanie zrezygnował — Schmidt, Nixon, który musiał odejść — Ford... Był to także rok dwukrotnych wyborów w W. Brytanii i długiego kryzysu rządowego we Włoszech. Ileż wypisano atramentu na spekulacje, prorocтва, domniemania! Rozważymy w jednym punkcie musiały się sprzeżyć — dziś nie można ryzykować innej polityki niż odprężeniowa. Alternatywa zbyt wiele może kosztować. Dlatego w powozi agencjinych depesz wielokrotnie informowała o zdarzeniach dobrych, co więcej takich, które mogą dać początek innym — jeszcze pomyślniejszym dla narodów świata. Będziemy na nie czekać w nadechającym roku...

W. ŚLAWSKI

ODGŁOSY

Redaguje zespół: JERZY WAWRZAK (redaktor naczelny), RYSZARD BINKOWSKI, KONRAD FREIDLICH, ANDRZEJ GRUN (redaktor graficzny), JAN JANICKI (redaktor techniczny), BOGDA MADEJ, ANDRZEJ MAKOWIECKI, WŁODZIMIERZ PARYS (fotoreporter), JERZY RYMOWSKI, WŁODZIMIERZ STOKOWSKI (zastępca redaktora naczelnego), LUCJUSZ WŁODKOWSKI (sekretarz redakcji), JERZY WILMAŃSKI (drugi sekretarz). Stałe współpracownicy: ANDRZEJ F. GRABSKI, WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI KAZIMIERZ A. LEWKOWSKI, EWA NURCZYŃSKA, KRZYSZTOF POGORZELEC, WITOLD ŚLAWSKI, TADEUSZ SZCZEPAŃSKI, MAREK WAWRZKIEWICZ.

Kto z nas nie zna Warszawy? Kto choć raz nie był w Stolicy? Jeździmy tam w sprawach służbowych, jeździmy z wycieczkami, jeździmy prywatnie. Warszawa to dla wielu z nas Pałac Kultury i Nauki, Muzeum Narodowe, Stare Miasto, Łazienki, Zamek Warszawski, Kolumna Zygmunta, Belweder, Ściana Wschodnia, nowe osiedla, ministerstwa, sale wystaw, teatry. Wielu marzy o tym, aby mieszkać w Warszawie, wielu ukończyło warszawskie wyższe uczelnie i chciałoby tam powrócić. Wielu korzysta z każdej okazji, aby pojechać do Warszawy i odczekać atmosferę wielkiego miasta.

Warszawa jest symbolem nowoczesności, rozmachu, bohaterstwa, szybkości dokonywanych przemian. Warszawa jest centrum administracji, gospodarki, polityki, nauki i kultury.

O Warszawie pisali poeci.
KONSTANTY ILDEFONS
GALCZYŃSKI:

Choćbyś morzem żeglował,
choćbyś ładem wędrował,
nie wiem jaką krainą
ciekawą —
ona wezwie cię dłońmi,
sen ją w nocy przypomni
i jak dziecko zawołasz:
Warszawo!

TADEUSZ KUBIAK:

Warszawo, jesteś ty jak zdrowie.
Ty miłość, pieśń i sen u powiek.

WŁADYSŁAW BRONIEWSKI:

Nad Wisłą jest miasto piękniejsze niż śmierć

„Sposób rusztowań nie widać miasta,
rosną gmachy, fabryki, domy...
Tak w socjalizmie wstaje
mazowiecki nasz dom widomy.

— Warszawa — powiedział mi pewien warszawski działacz — kojarzy się wielu Polakom z centrum administracji, z wyższymi urzędami, ambasadami, narodami, konferencjami, a także z bankietami. A to przecież tylko część prawdy o Warszawie. Bo miasto jest inne. To też jest miasto robotnicze. To jest drugi w kraju ośrodek przemysłowy.

Jaka więc jest Warszawa? Każdej godziny rodzi się w Warszawie dwoje dzieci, a przynajmniej 3 pary zawierają małżeństwo.

Każdej godziny powstaje tutaj 18 samochodów osobowych, 150 ton pieczywa, 115 odbiorników telewizyjnych.

Każdej godziny przybywają do Warszawy 23 pociągi osobowe, komunikacja miejska przewozi 190 tys. pasażerów. Z Warszawy w ciągu godziny nadaje się 3 650 listów i 360 telegramów, przeprowadza się przeszło tysiąc międzymiastowych rozmów telefonicznych.

W Warszawie w ciągu godziny drukuje się 29 tys. książek.

W Warszawie w ciągu godziny zużywa się 12.150 metrów sześciennych wody.

Warszawa daje 6,8 proc. globalnej produkcji kraju. Obecnie wyraża się ona wartością 106 miliardów złotych, ale w 1980 roku produkcja globalna ma osiągnąć wartość 250 miliardów złotych.

3. PRZYPOMNIENIE. W drugiej połowie XIX wieku Warszawa rozwijała się jako ośrodek przemysłowy. W okresie międzywojennym z warszawskich fabryk szeroko znane były między innymi: „Gerlach”, „Parowóz”, „Wedel”, „Norblin”.

Warszawski proletariatus — walcząc o wyzwolenie narodowe i społeczne — wielokrotnie dawał dowody swojej politycznej dojrzałości. Warszawski proletariatus walczył o swoje prawa w okresie międzywojennym, a gdy nadchodził czas wojny walczył w obronie stolicy, nie ustępował później przed terrorem okupanta. Po wojnie podjął ogromny trud odbudowy miasta.

Z gruzów powstało miasto, z gruzów powstał jego przemysł.

Dawny „Parowóz” — to dziś zakłady im. Ludwika Waryńskiego. Zaraz po wojnie produkowano tam kotły, ale dziś fabryka ta znana jest z doskonałych koparek. Ze starego „Parowozu” pozostał fragment muru, który wbudowano w ściany nowych hal fabrycznych oraz jedna hala ze starą suwnicą.

Dawny „Gerlach” — to dziś zakłady Karola Świerczewskiego. Przebudowane, odbudowane, rozbudowane. Zachowała się tylko stara wieża ciśnień.

Stary przemysł Warszawy wrosł, wtopił się we współczesną geografie gospodarczą stolicy i już tylko weterani pamiętają dawne nazwy, dawną produkcję. Coraz częściej ludzie, którzy karierę zaczęli jeszcze w tamtych czasach, odchodzą na wyciszenie. Coraz więcej przybywa nowych nazw, które wstają we współczesność Warszawy i szybko stają się jej przeszłością.

Trudno współczesną Warszawę wyobrazić sobie bez FSO na Żeraniu, bez hut stali szlachetnych „Warszawa”, bez Zakładów Radiowych im. M. Kasprzaka, bez Warszawskich Zakładów Telewizyjnych.

Warszawa jest największym miastem Polski. Obszar — 446 km kwadratowych. 1 388 tys. ludności. 784,5 tys. osób pracujących, z tego w przemyśle — 224,7 tys.

Wystarczy wielkość tę „rozłożyć” na czynniki, aby przekonać się, jakie przemysły decydują o gospodarczym charakterze stolicy. W przemyśle elektronicznym i maszynowym pracuje 129,9 tys. osób, w chemicznym — 15,1, w lekkim — 29,1.

4. „Gdyby za działalność przemysłową — napisał Eugeniusz Waszczuk w specjalnym numerze „Życia Warszawy”, przygotowanym z okazji wystawy „Warszawa XXX” — przyznawano medale, tak jak w sporcie, Warszawa byłaby srebrną medalistką, ustępując tylko Śląskowi, który jest przecież je-

dynym z największych w Europie zagłębi przemysłowych. A w niektórych konkurencjach zajęłaby nawet pierwsze miejsce.”

WARSZAWSKIE TEMPO było znane i popularne w czasach budowy trasy W — Z. Zmieniły się czasy i dziś Warszawa przoduje i narzuca tempo

nie tylko w budownictwie, ale przede wszystkim w unowocześnianiu przemysłu. O warszawskim tempie można dziś mówić rozpatrując jej dynamiczne przeobrażenia gospodarcze. Stała się centrum przemysłu elektronicznego, precyzyjnego, optycznego, centrum nauki.

PRZYKŁADEM NR 1 mogą być ZAKŁADY RADIOWE IM. MARCINA KASPRZAKA. Decyzja o ich powstaniu zapadła w grudniu 1948 roku. W lipcu 1952 roku nastąpiło otwarcie fabryki. ZRK produkowały wówczas radioodbiorniki „AGA”. W 1954 roku

Warszawy. Od tamtej pory peryferie przeniosły się bardziej na zachód i fabryka znalazła się w trudnej sytuacji. W halach robi się ciasno, podzespoły magazynuje się w każdym wolnym miejscu. A wokół zakładów nie ma wolnego miejsca dla rozbudowy. W 1974 roku oddano wprawdzie do użytku nową halę produkcyjną, ale to ciągle jeszcze mniej niż potrzeba. W tej sytuacji w ZRK postanowiono poszukać bardziej racjonalnego rozwiązania, przenosząc produkcję podzespołów poza Warszawę, rozwijając kooperację i koncentrując się głównie na montażu. Dla sprawności montażu przeprowadził się modernizację transportu wewnętrznego tak, aby każdy detal mógł trafić do montażu za pośrednictwem mechanicznych przenośników.

ny wzrost produkcji, której wartość wyraża się obecnie jednym miliardem zł.

We wrześniu 1973 roku Komitet Warszawski PZPR podjął uchwałę, w której między innymi znalazło się następujące stwierdzenie:

„W zjednoczeniu „OMEL” Polskie Zakłady Optyczne w wyniku uprzednich prac i decyzji będą odtworzone na nowym terenie pod nazwą Przemysłowe Centrum Optyki. Zakłady te wyspecjalizują się w produkcji nowoczesnego sprzętu optycznego, w tym również opartego o optoelektronikę i technikę laserową.”

PRZEMYSŁOWE CENTRUM OPTYKI powstało w Gocławiu, wkomponowane w osiedle mieszkaniowe,

mu produkcji urządzeń optycznych w kraju.

6. Takich przykładów można znaleźć więcej. Wspomniana uchwała Komitetu Warszawskiego PZPR z września 1973 roku zakłada, iż „szczególnie szybko powinno następować unowocześnienie produkcji i wyrobów w stołecznych przedsiębiorstwach zjednoczeń: UNITRA, MERA, POLMO, OMEL, TELKOM, POLFA, POLLENA oraz w przemyśle lekkim i spożywczym”. Nie wszystkie warszawskie fabryki będą mogły spełniać swoje zadania w obecnie posiadanych warunkach. Konieczna więc będzie transplantacja niektórych fabryk w zupełnie inny rejon miasta, konieczna będzie modernizacja i rozbudowa. Przy czym warszawscy działacze bardzo często pod pojęciem rozbudowa rozumieją nie tylko matematyczne pomnożenie posiadanych możliwości produkcyjnych, ale przede wszystkim wprowadzenie bardziej nowoczesnych technologii, bardziej nowoczesnej techniki, aby dzięki temu móc uzyskać produkt nie odbiegający od światowego poziomu.

Warszawa swój dzień dzisiejszy tworzy z myślą o dniu jutrzejszym, z myślą o przyszłości. Przykładami takiego myślenia były zarówno koncepcje rozwiązywania trudności w Zakładach Radiowych im. M. Kasprzaka, jak i koncepcja rozwoju Polskich Zakładów Optycznych.

INNYM PRZYKŁADEM takiego myślenia może być poszukiwanie sposobu rozwiązania trudności warszawskiej „URODY”. Jej początek przypada na drugą połowę XIX wieku. Były to kiedyś zakłady „Schichta”, szeroko znane przed wojną, które po wojnie przekształciły się w „Urodę”, a od 1971 roku skoncentrowały się wyłącznie na produkcji kosmetyków i środków pielęgnacyjnych. „Uroda” obok poznańskiej „Lechii” należy do największych wytwórców kosmetyków w kraju. 2,5 miliarda złotych produkcji. Blisko połowa eksportu „POLLENY”. JEDNĄ TRZECIĄ PRODUKCJI „Urody” kupują odbiorcy w ZSRR, 17 sklepów pod patronatem „POLLENY” sprzedaje kosmetyki „Urody” w NRD, 40 krajowych sklepów z kosmetykami pozostaje pod bezpośrednim patronatem „Urody”. A wszystko to w warunkach, jakie pozostały po starym „Schichtu”.

Do 1978 roku ma powstać nowy zakład, który pozwoli potroić obecną produkcję „Urody”. Przedstawiono już pewne koncepcje, ale Komitet Warszawski PZPR uznał za słuszne, aby „dla wyboru najbardziej optymalnego wariantu odtworzenia tego przedsiębiorstwa” prowadzić nadal prace koncepcyjne, a także skorzystać z ofert zagranicznych.

7. Taka więc jest Warszawa. Nie tylko miasto urzędów, wielkich domów warownych, kin i teatrów. To także miasto ludzi przemysłu, miasto tych, którzy współtworzą wraz z innymi nowoczesność naszą dzisiejszą, która już jutro zestarzeje się i którą trzeba będzie szybko podciągnąć do najwyższego poziomu. Warszawa jest miastem nowoczesnego przemysłu, rodzącej się myśli naukowej i technicznej.

8. O Warszawie pisał STANISŁAW RYSZARD DOBROWOLSKI:

Warszawskie — to nie tylko szyk i polor, to o wiele więcej; warszawskie — to jest także krzyk, to hardo i to najgoręcej.
...
Warszawskie — to po robociznarsku: w twarz — prosto, twardo i na odlew. Warszawskie — to nie tylko blask, ale i ogień — więc nie podile.

9. Taka jest również Warszawa. Nie tylko ta odświętna, z kronik filmowych i DTV, ale i ta codzienna, trudnej i wytężonej pracy.

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

A TO TEŻ JEST WARSZAWA



Fot: W. Parys

„Age” zastąpiła „SYRENA”, a jednocześnie przystąpiono do prac nad urządzeniami do radiolokacji i telewizji. Trwały też prace nad konstrukcją „STOLICY”, która do produkcji seryjnej weszła w roku następnym.

Takie były początki. W 1956 roku ZR im. M. Kasprzaka rozpadły się na kilka przedsiębiorstw, a wśród nich były Zakłady Podzespołów Radiowych „ELWA” oraz Warszawskie Zakłady Telewizyjne.

WARSZAWSKIE ZAKŁADY TELEWIZYJNE ulokowano w pomieszczeniach, jakie na Targówku pozostawił budownicowie metra. Produkcja rozpoczęła się w warunkach tymczasowych. Zakłady przetrwały wszelkie trudności i w ubiegłym roku osiągnęły już 357 tys. sztuk aparatów telewizyjnych, nadal doskonała jest ich produkcja, unowocześniając ją i wypuszczając coraz to nowe wyroby.

ZRK w 1957 roku wypuściły na rynek pierwszy polski klawiszowy sprzęt odbiornik radiowy „WOLA”. Rok wcześniej ukazał się na rynku pierwszy polski odbiornik turystyczny „SZAROTKA”. Pierwszy polski magnetofon „MELODIA” ukazał się w 1958 roku, a pierwszy polski radioodbiornik samochodowy „ZERAN” — w 1959 roku. W tym samym roku „Kasprzak” zaczął eksportować.

Produkcja magnetofonu „TONETTE” ruszyła w 1963 roku. W 1970 roku wartość produkcji globalnej osiągała w ZRK 2,8 miliarda zł, a fabryka wypuściła już w świat 183,7 tys. magnetofonów licencyjnych. W 1973 roku ZRK produkowały: 510 tys. sztuk magnetofonów, 127,5 tys. gramofonów i 250 magnetowidów. Przewiduje się, że w 1975 roku wartość produkcji ZRK wyniesie 3,1 miliarda zł i że wyprodukuje się 950 tys. magnetofonów.

DZIS Zakłady Radiowe im. M. Kasprzaka produkują rodzinę magnetofonów „ZK”, uniwersalny magnetofon „MAK — 2s”, tak zwane magnetofony profesjonalne „MP — 223” i „MP — 224” — ten ostatni jest magnetofonem przenośnym, zasilanym również przez baterie — rodzinę magnetofonów kasetowych „MK” — produkuje je oddział w Lubartowie — oraz magnetowid „MTV 10”.

JUTRO Zakłady Radiowe im. M. Kasprzaka produkować będą magnetofon kasetowy stereofoniczny „MK — 146”, dyktofony, magnetowidy dla telewizji kolorowej, a także magnetowidy kasetowe.

ZRK wybudowano na peryferiach

dziś. Przed samą wojną PZO otrzymały wielkie zamówienia. Posiadali wówczas uznaną już firmę, a lornetki PZO uznane zostały za najlepsze. Tuż przed wojną do PZO w Warszawie zwracano się z propozycjami kupna licencji.

W czasie okupacji w PZO pod nadzorem Zeissa produkowano sprzęt optyczny dla potrzeb hitlerowskiego Wehrmachtu. Załoga fabryki wszelkimi siłami próbowała sabotować tę produkcję. W 1940 roku hitlerowcy w odwet za akcje sabotażowe 60 osób wywieźli do Oświęcimia. W 1944 roku fabryka została wysadzona w powietrze przez wojska niemieckie.

Nowy rozdział historii Polskich Zakładów Optycznych rozpoczyna się w styczniu 1945 roku. Zaraz po wyzwoleniu robotnicy PZO przystąpili do odgruzowywania swojej fabryki. W odbudowanych pomieszczeniach produkowano okulary i remontowano przyrządy geodezyjne i pomiarowe. W 1950 roku podjęto decyzję o rozbudowie PZO. W dalszych latach wzrost możliwości produkcyjnych PZO chciano uzyskać przez przyłączenie Warszawskiej Fabryki Motocykli.

Produkcja Polskich Zakładów Optycznych wymaga wielkiej precyzji oraz skomplikowanych maszyn i urządzeń. Lokalizacja zakładów w sąsiedztwie tras komunikacyjnych, gdzie zanieczyszczenia i drgania utrudniają precyzyjne wykonanie urządzeń optycznych, zmusza do przeniesienia PZO w inne miejsce.

PZO produkują obecnie rodzinę mikroskopów szkolnych i laboratoryjnych „Studar”, zestaw lup, powiększalniki z rodziny „Krokus”, urządzenia dla badań geodezyjnych, dla medycyny, aparaty dla ociemniałych, popularne aparaty fotograficzne, urządzenia optyczne dla budownictwa. PZO produkuje także urządzenia laserowe w 20 różnych odmianach, które znajdują zastosowanie w medycynie, kolejnictwie, górnictwie i w innych dziedzinach gospodarki.

Jedną trzecią produkcji PZO przeznaczona jest dla zagranicznych odbiorców z 54 krajów. Cała produkcja PZO opiera się tylko i wyłącznie na własnych rozwiązaniach konstrukcyjnych. W latach 1965 — 1974 Polskie Zakłady Optyczne osiągnęły trzykrot-

zentują obecnie średni poziom światowy, konstrukcjami dorównujemy krajom wysoko rozwiniętym, technologicznie odbiegamy w dół. Budowa Centrum Optyki stwarza szansę, by posiadana pozycja utrzymać, a nawet uocenić.”

Lechowi Froelichowi chodziło oczywiście o utrzymanie i umocnienie średniego poziomu konstrukcji urządzeń optycznych, a nie o utrzymanie technologicznego opóźnienia. Powstanie PZO w Gocławiu pod Warszawą umożliwi nadrobienie technologicznych braków, poprawi warunki pracy i przyczyni się do podniesienia pozio-



ANDRZEJ MAKOWIECKI

DWIE DROGI
PRZESZŁOŚCI

Bernardowi Szajnertowi

Dla człowieka, który skończył dopiero trzydzieści lat, samotność jest czymś równie podłym jak kalectwo. Samotny, trzydziestoletni człowiek boli się w życiu wielu różnych rzeczy — litości, współczucia, dociekliwych spojrzeń, godzin wolnych od pracy i udręczonych słońcem urlopów. Samotny, trzydziestoletni człowiek jest wrogiem własnego cienia, który podąża za nim w niedzielne popołudnie i własnej twarzy, którą goli przed lustrem w świąteczny poranek. Właśnie tak! Ze wszystkich rzeczy, których boli się w życiu samotny, trzydziestoletni człowiek, największym przekleństwem są dla niego niedziele i święta.

Któregoś dnia wróciłem wcześniej z pracy i była to już wigilia. Stałem w oknie mojego pokoju na trzecim piętrze czynszowej kamienicy i przez zapocone szyby przyglądałem się ludzkiej krzątaninie. Padał brudny, pomieszany z deszczem śnieg. Nadciągała pora zmierzchu. Prawie wszystkie mieszkania jarzyły się choinkowym blaskiem. Radia nadawały koledy. Krawiec z poddasza grał na organkach BOG SIĘ RODZI; powtarzał refren nieskończoną ilość razy, a kiedy umilkł, tę samą melodię podjął za nim jakiś piskliwy głos na podwórku i krawiec zaczął grać od nowa. Słyszałem szum wody za ścianą, brzęk naczyń, radosny tupot nóg. Poprzez szpary w drzwiach wdzierał się do pokoju swąd świątecznych potraw — koktail smażonych ryb, kiszzonej kapusty i grzybów.

Dotknąłem policzkiem zimnych, śliskich kafił secesyjnego pieca. Popatrzyłem na rozkopane łóżko, które w taki dzień jest najlepszym przytuliskiem samotności. Wyjąłem z nocnego stolika fiolkę nasennych proszków. Wlałem do szklanki resztkę zsiadłego mleka i roztrząsałem je widelcem. Zdjąłem marynarkę i sweter, a kiedy zacząłem rozpiąć koszulę, ktoś gwałtownie załomotał w drzwi.

— Wejść!
W progu pojawił się najstarszy syn trojga, gasząc moje niedorzeczne myśli. Był to siedemnastoletni, wyrośnięty chłopak o pięknej twarzy i marzycielskich oczach. W ciemnym, przygaszonym ubranku na szerokiej piersi, w pstrokatym krawacie i czerwonych lakierkach wyglądał jak Cygan, który szukuje się na wesele.

— Czego chcesz? — zapytałem.
— Chciałem pożyczyć panu wesołych świąt. — Uśmiechnął się, podszedł i raptownie, wymuszonym gestem podsunął mi do uścisku swoją mocną dłoń.
— W porządku. — Wziąłem tę dłoń. Była ciepła i sucha, i przetrzymałem ją dłużej niż należało, szperając lewą ręką w obu kieszeniach spodni.

Na twarzy chłopca odbiło się zakłopotanie. Z początku myślał, że próbuje wyrzucić mu wdzięczność, potem że jest to żartobliwa próba siły.

— Wzmocnił uścisk, a wtedy moja lewa, szperająca po kieszeniach ręka, wśliznęła mu do gardzi nadartą dwudziestkę.

Zachnął się.
— Nie o to chodzi, panie Marcinie. — Delikatnie położył pieniądze na stole.

— A o co?
— Matka każe, żeby pan dzisiaj do nas przyszedł.

— Są jakieś listy?
— Są. Ale nie o to chodzi. Matka mówi, że pan nie ma pewnie gdzie iść na wigilię. Pan wie, w naszym domu mieszka

sam swołocz. Jak my pana nie zaprosimy, to nikt pana nie zaprosi.

— Twoja matka jest dobrą kobietą.
— Nie narzekam. Ona mówi, że w wigilię, to nawet psa trzeba przygarnąć pod dach, a co dopiero człowieka... To jak, przyjdzie pan?

— Nie. Ale podziękuję matce. Powiedz, że przyjechał z Wrocławia mój szwagier; muszę odwiedzić go w hotelu.

— Oj, panie Marcinie, nieładnie tak kłamać. Przyjechał szwagier, a pan szuka się do łóżka...

Wyjąłem z szafy czystą koszulę i garnitur, który budził we mnie najgorsze wspomnienia — pogrzeb wujka na zabloconym wiejskim cmentarzu, ślub niekochanej siostry z cierpiącym na obustronną przepuklinę puźonistą, darmowy spektakl teatralny w towarzyszystwie zidolowej urzędniczki. Zacząłem się przebierać, a on patrzył na mnie wzrokiem zranionego ptaka, postrzępionym w swoim szczeniowym zdziwieniu i w swoim świętym gniewie prostego człowieka, który zawsze mówi to co myśli, wierząc, że właśnie tak jest najlepiej.

Trząsk drzwi. Stukot oddalających się kroków — echo, które zamarało i które wznieśli po chwili moje własne kroki na kamiennych, zdartych, wypucowanych do połysku schodach.

Listy. Przecież nie oddałem listów. W tych listach może być coś ważnego...

Byłem wściekły. Kłamałem w duchu dozorcy o powykręcanych artretyzmach rękach i jego żonę z posępną twarzą etatowego szpicla. Pasłem w sobie mściwe podejrzenie, że siedzą teraz ramię w ramię przy stole i podcinają nożem adresowane do mnie koperty. Ale kiedy zakradłem się pod ich okno na parterze i poprzez szczelinę w firankach spojrzałem w głąb ubogiego pokoju, on trzymał w kalekich dłoniach paromiesięczne dziecko, a ona pochylała się nad kuchnią w pozie najwyższego skupienia i niekłamanej troski, w pokłonie, który miał w sobie siłę wzruszenia i zabił moje plugawe myśli, toteż oderwałem się od okna i wyszedłem na ulicę dławiąc pragnienie natychmiastowego odebrania listów, które mogły okazać się przecież powiastką w sprawie nie zapłaconego czynszu lub magistrackim wezwaniem na kontrolne prześwietlenie płuca.

Dochodziła piąta. Zmrok gęstniał nad miastem, w kinach zapalonych latarni wirował brudny, mokry śnieg. Pustoszały powoli jezdnie, tramwaje i ostatnie otwarte sklepy, ale w barach i knajpach, które miały w swojej wędrowności do śródmieścia, panowało jeszcze wielkie ożywienie. Była to bowiem godzina śledzia — czas niecierpliwie wyczekiwanego i szczególnie ukochanego przez tak zwanych prawdziwych mężczyzn, z których wielu przyszło tutaj prosto z pracy, a inni wyrwali się pod byle jakim pozorem z domu na tę jedną jedyną, wychyloną w pośpiechu i dręczącym poczuciu winy stopkę wódki, która ma to do siebie — owa jedna jedyna, wychylona w pośpiechu stopka — że z miejsca człowieka uspokaja, rozgrzewa, daje mu poczucie siły, przydatności społecznej i niezależności małżeńskiej, dzięki czemu gość przestaje nagle się spieszyć i spokojnie uprawia przy buficie swój pijacki proceder.

Im bliżej śródmieścia, tym więcej takich knajp i takich ludzi — młodych i starych, eleganckich, obdartych, zaprawionych na wesoło i na smutno.

Idąc za bruchatym, przysadzistym, obładowanym pakunkami jegomościem, który zataczał się od krawężnika do krawężnika na śliskim chodniku z wyrazem niewysłowionego szczęścia na ospałej twarzy, znowu poczułem przypływ nienawiści. Było to uczucie zniewalające, rozkoszne pełne krwawych wizji i sadyistycznego okrucieństwa. Bilem tę twarz, kopalem brzuch. Wyzierałem facetowi resztki włosów z głowy, lżyłem go słowami rozwścieczonego furmana. Gdyby człowiek ten zniknął nagle w jakiejś bramie, na zawsze pozostałby w mojej pamięci symbolem parszywego, kabotyńskiego pijanstwa. Ale stało się inaczej: czaiąc ku postojowi taksówek zawadziłem o drzewo na skraj chodnika i z rozdarciem, papierowej, przeważanej czerwonymi pasami paczki wysypały się na mokrą jezdnię zabawki — pluszowy piesek z komicznymi nastrozonymi uszami, lalka o smutnych oczach uwięzionej niewinności, miniaturowy telefon, lilipucie garnuszek, parę innych drobniactw, które kolejno wyślizgał z błota, ocierał połamany płaszcz i z nie tąjoną rozpaczą wciskał do przepaści tych kieszeni, a kiedy powstał z przysiadu, był już prawie trzęszy i tak zrezygnowany, że zacząłem mu gorąco współczuć.

Trawiony wyrzutami sumienia wszedłem do nora restauracji i oparłem się łokciami o wilgotną białą lacy.

— Podać coś? — wyrwał mnie z samyślenia naderżnięty szep barmanki.

— Proszę o whisky. — Wskazałem na półkę, gdzie tkwiła zapomniana, pokryta kurzem butelka CLUB 99.

Sięgnąłem po nią z ociąganiem i mimowolnym zdziwieniem, a ludzie chwylący się przy bufecie obrzucili mnie kosmymi spojrzami.

— He mam panu wiać?

— Setkę.

— Do kieliszka?

— Nie. Do szklanki.

— I co do tego?

— Łód.

— Nie ma lodu.

— Jak panu poszuka, to się znajdzie.

Westchnęła. Wygrzebała ze sterty naczyń spodek od herbaty i kolebiąc rozkożystymi biodrami zniknęła w połączonych z bufetem wnęce.

To, co przyniosła i co z miejsca wrzuciłem do szklanki, nie było lodem tylko brudnawym, porastającym zewnętrzzną część pojemnika śniegiem, który rozpływał się wolno w cieple o barwie i smaku wypalonej słoctem trawy. Pijący patrzyli na mnie z serdecznym obrzydzeniem; uragilny chichot, zduszone przekleństwo; wkrótce jednak wrócili do swoich spraw. Ktoś przechwalał się teściem, który jest bardzo inteligentnym człowiekiem i robi najlepszą w świecie smorodinkę.

Ktoś wspominał o rozróżnieniu ojca — nieboszczyka, który był za życia specjalistą od żuru i białej kielbasy. Ktoś mamrotał bezzębnyimi ustami o nowej, stosowanej przez żonę metodzie gotowania baleronu. Słuchając tego jak przez sen. Popatrzyłem ukradkiem na potężne tydy bufetowej szafy, która boleśnie gładziła kobiety — podniecenie, które gwałtownie narastało, gdyż w knajpie toczyły się miłosne podchody. Przejrzała kelnerka o suto wymalowanych powiekach uruchomiła graj-maszynę i kiedy niski, ciepły głos zaśpiewał POCAŁUJ MNIE PIĘKNY CYGANIE, wlepiła oczy w siedzącego samotnie przy drzwiach kędzierzawego dwudziestoparolatka. Chłopak podjął licytację. Podszedł rozkołysanym krokiem do szafy, przesyłabował spis utworów i wygrzebuwał z kieszeni dwuzłotówkę zafundował kelnerce CHCIAŁBYM DOTKNĄĆ TWOICH DROGICH UST, przy czym także nie spuszczał z niej oczu. Udaając zakłopotanie i obłudnie odwracając głowę kelnerka odpowiedziała przebojem POŻĄDAM RAMION SILNEGO MĘŻCZYZNY. Chłopak był zadowolony; obliżywał nerwowo cienkie czerwone wargi, trząsał rytmicznie kolanami. Potem przerzucił wprawnie z garści do garści strumień bilonu, szukając kolejnej dwuzłotówki, którą automat przemienił na piosenkę NOC MOŻE BYĆ NASZYM SZCZĘŚCIEM. Nim przebrzmiała ostatnia nuta tej ckiej, dziadkowej melodii, chłopak skłonił na kelnerkę i poprosił o rachunek w słusznym przeświadczeniu, że dalsze topienie pieniędzy w automacie byłoby już tylko zwykłym marnotrawstwem. Patrząc jak dogadują się szepem — ona poważna, on uśmiechnięty, pewny siebie, ale wciąż trzęsący kolanami — podsycałem rozruchaną wyobraźnię. Widziałem ich na wąskiej, skrzyplącej koczecie we wścieklej akcji, która nazywa się dowcipnie miłością. Widziałem również ich kleskę — moment, w którym twarz kobiety zapadła się nagle, zwiótczała, a twarz mężczyzny przechodziła z wolna od wyrazu szczęśliwego zmeżenia do wyrazu smutku i źle maskowanej niechęci. Ale obraz ten nie łagodził moich napięć. Nie spełnione pragnienie jest tak samo dokuczliwe jak strach, ból, głód i pragnienie. Człowiek dziecięcy, nurza się w plugawych majakach próbując na wszelkie sposoby zdusić w sobie szalejącą pożogę, jednakże nawet wtedy, gdy uda mu się wreszcie odwrócić bieg myśli, ciągle jeszcze trawi

go żar nie wypalonej namietności i ciągle jeszcze odczuwa mdławą skurcz brzucha.

Kłnąc, że nie urodziłem się kobietą, która w ostateczności zawsze może przyszywać sobie na ulicy jakiegoś oberwańca, przerzuciłem wzrok na bufetową, ale jej grube, opięte różowymi pończochami nożyska nie robiły już na mnie wrażenia.

— Pani da jeszcze raz — powiedziałem.

— Whisky?

— Tak.

— Setkę.

Przytaknąłem głową.

Zaczęła pisać coś na serwetce.

— To będzie razem sto sześćdziesiąt siedem złotych.

— Proszę wiać!

— Ale niech pan zapłaci, już zamykamy...

Nie wierzyła w moje pieniądze. Jej niewiara udzieliła się również pijakom. Znowu obmacywali mnie wodnistymi oczami. Ten co stał najbliżej, przerwał nagle opowieść o swoim synku, który ma dopiero dziesięć lat, a mierzy już metr pięćdziesiąt. Ten drugi, rozwodzący się bełkotliwie nad gospodarnością żony i słodczą ośmiotletniej córeczki, która szpercha cudownie po angielsku rozmaite wierszyki — też umilkł w połowie zdania.

Czekali na mój gest. Stałem przed nimi z kamienną twarzą, a przecież byłem podminowany i szczęśliwy jak pokrzyśta, który dostał do ręki królewską kartę i szykuje się do rozgrywk.

— Proszę wiać! — powtórzyłem.

Sięgnęła z wyraźnym ociąganiem po butelkę.

— Łód!

Przyniosła z wnetrzi to, co było tylko brudnawym, śnieżnym owrozdzeniem pojemnika.

— Płaci pan sto sześćdziesiąt siedem złotych — przypomniała.

— Zgadza się.

— Muszę zaraz zdać kasę...

— I zda pani zaraz, królowo...

Pociągnąłem długi łyk, a później odstawiałem szklankę na mokry blat lacy i wyjąłem z kieszeni dziesięć tysięcy.

Był to gruby plik, same setki, które w wypłastych oczach bufetowej przeistoczyły się nagle w puszyste futro, natomiast pijacy zamienili je z szacunkiem na wannę wódki.

Podąłem bufetowej dwieście złotych. W chwili, kiedy skwapliwie zabierała się do oddzielenia reszty, przewróciłem łokciem nie dopiła szklankę i drząc z radości, chichocząc, łowiąc uchem szmerem pijackiego oburzenia, wyszedłem godnym krokiem na ulicę.

Po kilkunastu minutach mój triumf był już tylko wstydliwym wspomnieniem. Zachowałem się przecież jak zamroczony alkoholem przywacz, który zapala w modnej knajpie papierosa zwinięty w rulonik pięćsetka. Zapomnieć! Wlokłem się bez celu opustoszałymi chodnikami, a było już ciemno, świeciły gwiazdy, nieprzerwanie padał śnieg. Pomyślałem, że można by iść do kina, ale ostatnie seanse skończyły się przecież o godzinie szóstej. Snułem leniwe projekty odwiedzenia głuchej, mieszkającej w domu starców ciotki, jednakże z góry wiedziałem, że nie zdobędę się na taką szlachetność.

Pozostało mi jeszcze w odwodzie dwóch kolegów z biura i nauczycielka, u której zdawałem przed laty maturalny egzamin z historii. Drobiazgowo analizowałem każdą z tych kandydatur i odrzucałem jedną po drugiej.

Wprawdzie wszyscy troje przyjełby mnie, jak to się mówi, z otwartymi ramionami — zjadłbym coś, wypili, obejrzał telewizję — lecz myśli, że musiałbym jakoś usprawiedliwić przed nimi swoją wizytę i prowadzić przy stole jałowe, wrzące się co chwile, łatanie westchnieniami rozmowy, przepięła mnie nudą i zniechęceniem.

W wigilię nawet prostytutki mają fajrant. Pora zatem wrócić samotnie do domu, wleźć do łóżka i czekać na sen, przewracając się z boku na bok, kopiąc pościel, młotząc poduszki.

Ale w bramie mogę wpaść na kogoś od dozorcy. Listy! Są jeszcze listy... Poczułem przyjemny dreszyk ciekawości, który niebawem ustąpił ponurym refleksjom. Było dopiero piętnaście po siódmej. Jeśli już teraz przezytałem listy i nie okazały się tym, czym chciałyby, żeby się okazały, poniosę całkowiłą kleskę. A tak — mam przynajmniej coś w rezerwie, minus świadomość, że zawsze lepiej na listy czekać niż je czytać.

Jakkolwiek jestem na co dzień wrogiem alkoholu, a ściślej — nie toleruję go mój żołądek, zapragnąłem nagle urznąć się jak świnią. Nazajutrz musiałbym płacić stony rachunek: ból głowy, zanikająca akcja serca, wielogodzinne, szarpające wewnętrzności torsje; ale w sumie zniszczyłbym w ten sposób ów pierwszy, najgorszy, świąteczny dzień; dolegliwości fizyczne potrafią do cna wypruć mózg człowieka z luksusowych cierpień psychicznych a z chwilą, kiedy te pierwsze ustają, te drugie także ulegają na jakiś czas zapomnieniu i dusza ludzka doznaje wspaniałego oczyszczenia. Ale gdzie przeprowadzić tę kurację, skoro zamknięte są wszystkie knajpy?

Dworzec!

Skręciłem w najbliższą przecznicę; minąłem skwer i kilka stanowisk autobusowych, obłożonych przez tłumy ludzi. W kolejowej poczekalni też był niezły tłok; dworzec wydawał się oazą na bezludnej pustyni miasta. Zdjąłem z bufetu duże piwo, dmuchnąłem w

planę i usiadłem na ławie pod piecem, robiąc miejsce mężczyźnie w konduktorskim uniformie, który również dźwigał w ręce ciężki kufel.

— Kwaśne — bąknął znad plany i uśmiechnął się do mnie twarzą siną od wygolonego zarostu, z lekka spocną i tak szarą, jakby nigdy nie widziałą słońca. Była to bez wątpienia twarz konduktora z dalekobieznego pociągu osobowego drugiej klasy. Takiej twarzy nie sposób umyć w najgorętszej wodzie — zawsze zachowa w najgłębszej sadzy wiecznych przebiegów i chronicznego niewyspania. Bardziej lubię takie twarze, więc także się uśmiechnąłem.

— Strasznie kwaśne.

— Ale lepsze takie niż żadne — powiedział i storbnął, aż mu pociekło po brodzie. Potem wskazał na bufet i dorzucił:

— O ósmie zamykają.

— Za kwadrans.

— Aha.

— Pan zaczeka.

Postawiłem na ławie nie dopity kufel, przedarłem się do bufetu i wziąłem dwa kolejne duże piwa.

— Strzelił pan? — zapytałem.

— Dlaczego nie. — Przyjął darowiznę, wyciągając wolną ręką paczkę sportów.

— Proszę.

— Nie pale.

— W pociągach przykrzy się bez papierosów.

Potiąknąłem.

Było mi dobrze. W połowie drugiego kufia nie odczuwałem już dokuczliwego ssania w żołądku, chociaż drżała we mnie świadomość recydywy. Krew wibrowała słodko w skroniach, otapiając zmysły i uspokajając ciało. Widziałem rozmazane plamy obcych, bezimiennych twarzy. Nierealny szmer dworcowych komunikatów, odległy świst lokomotywy, płacz dziecka, gęgot drobiu, stukot obcasów na marmurowej, ubłoconej posadzce — wszystko to brzmiało jak symfonia odpuszczenia. Spojrzałem w zadumaną twarz konduktora i poczułem przypływ wielkiej miłości. Miałem chęć złapać go obiema rękami za głowę i pocałować w te zmęczone, piwne ślepi. Zrozumiał.

— Pan też jest samotny?

— Jak to?

— No, nie ma pan gdzie iść...

Milczałem.

Bez oporu poddałem się kielkującej gwałtownie niechęci, która pobudziła moje otepiałe myśli i którą ukryłem za podwójną gardą zdziwienia. Jeszcze jeden wściebki, cholerny cwaniak. Trafiał. Ale i ja trafię. Niech na tylko otworzy dziób.

Dopił piwa, zdusił starannie o spód ławy niedopałek papierosa i powstał.

— Teraz ja wezmę dwa.

— Niech pan lepiej weźmie jedno — powiedziałem.

— Nie smakuje panu?

— Samkuje, ale muszę wracać do domu. Zona z wigilia czeka. Wiesz pan, żur, biały kiebas, kwatery smorodników, specjalnie gotowany baleron...

— Eidorado. Nie uznaje pan postu?

— Nie uznaje.

Kiwnął głową. Usiadł, rezygnując widocznie z dalszego picia. Mogł mieć jakieś pięćdziesiąt — pięćdziesiąt pięć lat, albo nawet o kilka dni więcej. Patrzył na mnie z nikłym uśmiechem. Za dużo mówię — pomyślałem. — Za dużo i za głośno.

— Dzieci pan ma?

— Mam. Syna — odmierzyłem ręką metr pięćdziesiąt. — I ośmioletnią córeczkę. Szpercha po angielsku rozmaite wierszyki.

— Radość...

— Jak czasem.

Wciąż się uśmiechał i wciąż nurtowały mnie podejrzenia, że nie wierzy. Trzeba wstać — pomyślałem. I wstałem.

— Idzie pan? — zapytał.

— Idę.

— No to wszystkiego najlepszego.

Nawzajem.

Jakby pan chciał — szepnął, przytrzymując mnie za ramię — mógłbym pana zaprosić na kielicha. Mieszkam niedaleko...

— Muszę wracać.

— Znajdzie się coś na przekasę...

— Przykro mi, ale naprawde muszę wracać — powtórzyłem maskując narastające rozdrażnienie. A więc nie wierzy... Wyjałem z kieszeni mięścis, dziesięciotyśnicę plik i patrzę mu w oczy, oddzieliłem poślizgnięty palcami jeden z banknotów.

— Ładny grosz — cmoknął, ale nie było w tym żartu.

— Uśmiecie. — Podszedłem do bufetu i, poprosiłem o dwie tabliczki czekolady z orzeszkami.

— Już zamknięte — syknęła ze złością sprzedawczyni, wkładając płaszcz i szykując się do wyjścia.

— Dla dzieciaków pod choinkę — powiedziałem. — Niech pani będzie Polką...

— No wie pan?... — Podała mi czekoladę i nerwowo oddzielała resztę, składającą się z bilonu i zapałek.

— Dziwny naród — uśmiechnąłem się zgrzyliwie, i ruszyłem do drzwi.

Kilka śliskich betonowych stopni; płas autobusowy, na którym falował tłum przemoczonych ludzi; trójkątny skwer i początek drogi ku wymarzonemu śródmieściu. Konduktor szedł pół kroku za mną; w chwilach, kiedy mijaliśmy latarnie, miałem pod nogami rozplaszczony cień jego głowy. Depiłem ten cień doznając na przemian uczucia radości i wstydu. Doszliśmy tak do pierwszego skrzyżowania.

— Pan w którą stronę? — zapytałem.

— W lewo.

— Ja w prawo. — Odwróciłem się do niego plecami i poczułem w gardle ścis rozpacz. Dlaczego zawsze muszę być parszywym skurwysynem? A może ten człowiek mi wierzy? Może tylko udawał, że nie wierzy? Spojrzałem za nim przez ramię i nagle zaprzagnąłem go dogonić, a przecież w dalszym ciągu szedłem przed siebie, i każdy z nas, którzy jesteśmy ludźmi, wydeptywał na ośnieżonym chodniku swój własny, zagubiony w ciszy ślad.

Z tomu opowiadań przygotowywanych do druku w PIW.



KORESPONDENCJA z ZAGRANICĄ

Dalszy ciąg ze str. 1

Skończył się więc program, poszedłem na górę po papierosy i tam w hallu zobaczyłem po raz pierwszy grupę młodzieńców w kurtkach z ogromnymi literami BAM wydrukowanymi na plecach. Parę dni wcześniej widziałem w Moskwie podobne kurtki, tylko że na plecach wydrukowany był portret Guevary i napis „Che”.

Co znaczy BAM, wiedziałem już: Bajkalsko-Amurska Magistrala, ale wiedziałem również, że pobiegnie ona północnym skrajem Bajkału, a Irkuck leży właśnie z drugiej strony na południowym skraju jeziora.

Okazało się jednak, że właśnie w Irkucku powstało centrum koordynacji badań nad trasą BAM i tu naukowcy prowadzą badania. A było to badania bardzo wszechstronne: limnologiczne, geologiczne, chemiczne, biologiczne — a także badania nad organizacją i koordynacją sił wytwórczych.

O trasie BAM wspominałem już w poprzednich reportażach, ale ta wielka inwestycja warta jest, aby powiedzieć o niej więcej. BAM zaczyna się od stacji Tynda — na zachód od niej Czara, Niżnieagarsk i Lena, która poprzez Brack wjeżdża się z Krasnojarskiem i Irkuckiem — na wschód Selimdzirsk, Urgal i Komsomolsk.

Bez mapy tego „nie rozbieżność”, więc oszczędzę Czytelnikowi geograficznych szczegółów. Dość powiedzieć, że trasa BAM przekroczy cztery tysiące kilometrów — że na tej trasie ułożą się ponad trzy tysiące kilometrów torów, zbuduje się osiedla, miasta, stacje kolejowe...

Cztery tysiące kilometrów! Nie tak wiele przecież na syberyjskie normy i odległości, gdzie nieraz jeden powiat jest większy niż cała Czechosłowacja. Ale jak i to będą kilometry. Budowniczości prowadzą magistralę przez dziką tajgę, przez błota i bagna, drążą tunele w górach, budują mosty nad przepaściami i rzekami. Setki mostów — to mówi się prosto i łatwo, ale te

setki mostów o długości od 300 metrów do ponad kilometra buduje się w dziewiczym niemal terenie. Drąży się tunele, niektóre długie na 15 kilometrów. Przemieszcza się miliony metrów sześciennych ziemi, układa się setki kilometrów rurociągów. A na drodze magistrali syberyjskie rzeki: Anguń, Lena, Witym, Zea...

To jest naprawdę Magistrala Stulecia, a nazywają ją jeszcze Magistralą XXI wieku, bo dostosowano ją do potrzeb następnego stulecia i na jego miarę. Młodzi chłopcy w kurtkach z literami BAM budują Wielką Rzeczą, która pomoże skarby wydobyć z wnętrza syberyjskiej ziemi przewieźć tam,

Ale skarbem Syberii jest przede wszystkim człowiek. Górnik i energetyk, geolog i myśliwy, lotnik i budowniczy. Bez tych ludzi skarby Syberii tkwiące w ziemi, szumiące w rozlewiskach rzek i w zielonym gąszczu tajgi, byłyby nie wykorzystanym kapitałem. Dzięki tym ludziom Syberia jest ogromnym skarbem wciąż odkrywającym nowe złoża swych bogactw. Skarby Syberii płyną w korytach wielkich rzek.

Angara i Brackie Morze. Wielka elektrownia, której ogromu zrazu nie da się ogarnąć. Patrzę ze wzgórz na olbrzymią zapórę i mówię: „Myślałem, że jest większa...”

A przecież możliwości Angary są jeszcze większe. Jej potencjał energetyczny oblicza się na 90 miliardów kilowatogodzin. I jeszcze jedno „naj”. Energia elektryczna z Bracka jest najtańsza w świecie, koszt tysiąca kilowatów sięga zaledwie... czterech kopiejek.

Zdumiewające, jak wszystko na Syberii. Ale też na jednej zmianie ogromnej brackiej elektrowni pracuje... dziewięć osób. Przy pulpach sterowniczych — dwie. Przy turbinach — siedem.

Jednostajny szum pomalowanych pomarańczowo turbin; tuż przy wejściu do hali wielkiej, jak sala Gieorgiewska na Kremlu — model działania elektrowni. Wystarczy nacisnąć guzik i zielone światła znaczą drogę, jaką spada woda z wysokości ponad stu metrów na koło turbin. Miniatura turbin zaczyna wirować, tuż obok, zaledwie pięć metrów na prawo wirują turbiny prawdziwe. Pomarańczowe kolory przetwarzające na elektryczność biały skarb Syberii — Angarę.

O Bracku Eugeniusz Jewtuszenko napisał poemat. Napisał o ludziach, którzy przylecieli tu helikopterem, bo innej wówczas drogi nie było, nad rozlewiska Angary, o ludziach, którzy wryli się w skalisty brzeg rzeki i obudowali go betonem, z którego można by wznieść dwie piramidy Cheopsa, którzy postawili zapórę dwa razy wyższą niż najwyższy komin łódzkiej elektrociepłowni, zapórę długą jak pół Piotrkowski...

Kiedys Jewtuszenko czytał tu swój poemat — przez cztery godziny. Cisza była taka, że przez grube mury słychać było tylko jednostajny szum turbin...

A przecież poemat „Lekcja Bracka” nie jest sztampowym obrazkiem z wielkiej budowy. Roztoczył w tych strofach Jewtuszenko szeroki krąg pytań związanych z rozumieniem sztuki, historii, patriotyzmu... Rozmawiając ze swymi przyjaciółmi w Bracku, w poemacie „Bracka Elektrownia” Jewtuszenko na pierwszy plan wysuwa groźbę zniewolenia ludzi przez Rzeczą. Ale poeta wierzy w zwycięstwo spraw nadrzędnych nad światem rzeczy.

„Znaliśmy głód, chłód, cierpienie Skrecał nas tyfus dusiła kostucha

Nie wierzę — stawiać rzecz wyżej niż ducha Nam nie pozwoli przynigdy sumienie...”

I ta cisza zasłuchanych w poemat budowniczych Bracka zaświadczyła, że Jewtuszenko ma rację.

I znów jednostajny warkot silnika maleńkiego AN-a, który późnym wieczorem wiezie nas do Irkucka. Znów z północy wracamy na południe — lećmy przez ciemną mgłę nocy, nie widać tajgi, samolot się kołysze, zapadamy w sen. Nie budzi nas nawet trzykrotna próba lądowania na irkuckim lotnisku, które całe spłynęło wodą z roztopionych przymrozków, bo oto gwałtownie nastąpiła dołż... Kto



przespał te chwile strachu — nie będzie miał co opowiadać. Niestety — przespał.

W hotelu otwieram notatnik i porządkuję zapiski. Suche, statystyczne cyfry, które nie oddadzą ani uroku tej ziemi, jej surowości i piękna, ani nie oddadzą pośpiesznego rytmu tej podróży.

Porywające piękno zielono-żółtego kozucha tajgi pływającej żółto w dole, błękitne meandry i rozlewiska Angary... Czyż można je wyrazić suchą notką, że na Syberii znajdują się cztery piąte zasobów leśnych Kraju Rad? Czy trafiła do wyobraźni liczby mówiące, że na 10 milionach kilometrów kwadratowych Syberii żyje około 25 milionów ludzi? Nawet jeśli porównamy te liczby z Polską: 35 milionów na 312 tysięcy kilometrów kwadratowych?

Te porównania i cyfry nie nie dadzą, niczego nie umysłowi, są zbyt abstrakcyjne, zbyt wielkie — po prostu są na miarę Syberii.

Przez ścianę, w sąsiednim pokoju, chłopcy z napisami BAM na kurtkach oglądają transmisję meczu piłkarskiego, który obył się wiele godzin temu, gdzieś daleko, w innym niemal wymiarze i teraz tylko sputnik telekomunikacyjny przekazuje obraz. Jutro rano chłopcy wsłuchają do samolotów i polecają gdzieś na trasę swojej gigantycznej magistrali. Będą budować żelazną drogę dla syberyjskich rud, węgla, drzewa, skór, złota i diamentów...

To są skarby Syberii — na pewno. Ale myślę, że największym i najcenniejszym skarbem tej urzekającej ziemi jest człowiek. Ci młodzi chłopcy i posiwiali uczeni, którzy w 60-stopniowej mrozie i upalne lata przygotowują Syberię do wkroczenia w wiek Dwudziesty Pierwszy.

JERZY WILMAŃSKI

SKARBY SYBERII

gdzie zmienia się w stal, maszyny, energię.

To są skarby Syberii, ale nie jedynie. Sam tylko obwód irkucki dostarcza rocznie tysiące skór gronostajów, lisów, kun... Dla przykładu — choć liczb nie lubię — 700 tysięcy wiewiórek, 40 tysięcy soboli. A na rynkach zachodnich futerka soboli znad Bajkału osiągnęły cenę kilkuset dolarów za sztukę.

Dodajmy, że ponad 70 proc. powierzchni obwodu irkuckiego pokrywa gęsta, dzika tajga. Nic dziwnego, że rozmieszczenie ludności jest odwrotnie proporcjonalne: 70 proc. mieszkańców żyje w miastach. Ale są jeszcze inne rejon, gdzieś nad Niżną Tunguską (taka mała rzeczka, dopływ Jeniseju, raptem 2,5 tys. km długości) — jak na przykład Jerbagaczon, gdzie na przestrzeni większej niż Czechosłowacja mieszka raptem... 5 tysięcy osób. Jerbagaczon — stolica powiatu liczy 2 tysiące mieszkańców i nie znalazłem tej osady nawet w bardzo dokładnym atlasie Związku Radzieckiego.

Albo rejon na zachód od narodowego okręgu Ewenków, dwa razy większy niż Polska, gdzie jeden człowiek przypada na 80 km kwadratowych. Całe połacie dziewiczej tajgi nie tkniecie są od setek lat stopa człowieka. Tajgę zna się tylko ze zdjęć lotniczych. Wiadomo, że jest tu niezwykle bogactwo futerkowej fauny — soboli, wiewiórek, z których wyrabia się słynne popielice...

Kiedy jednak powoli schodzimy w dół, do stóp gigantycznej budowli, wszystko nagle ogromnieje, stajemy się coraz mniejsi, aby wreszcie stanąć u wejścia do hali turbin zupełnie maleńcy, porażeni tym ogromem. I trzeba zadziierać głowę wysoko, aby tam, na samej koronie zapory dostrzec mikroskopijne punkciki, nie większe niż łepki szpilki. To kilkudziesięciotonowe ciężarówki suną zszosą, biegnącą szczytem zapory.

Pamiętam to zadziwienie polskiego dziennikarza, który dziesięć lat temu towarzyszył narodzinom Brackiego Morza.

Józef Lenart notował wówczas: „Wczoraj o tej porze w Brackim Morzu było 78,6 km sześciennych wody — dziś jest już 79,2 km sześć. W tej chwili siła splotu Angary wynosi 3 300 kilometrów na sekundę...”

W momencie wypełniania się zbiornika jego powierzchnia zwiększała się w tempie dwu kilometrów kwadratowych na dobę.

Elektrownię w Bracku budowano od 1957 do 1967 roku. Kiedy polski pisarz, Józef Lenart, notował cytowane wyżej słowa, Brack jeszcze nie ruszył. Dziś jest to najwydajniejsza w skali światowej elektrownia wodna. Dwa dziesiąta cztery miliardy kilowatogodzin rocznie! Jak to przełożyć na dostępny, zrozumiały język, jakiego przykładu użyć, jakie porównanie odda ów ogrom białej, spienionej energii?

SŁOWNIK PISARZY ŁÓDZKICH



TERESA GABRYSIEWICZ KRZYSZTOFIKOWA

zowieckiego. Od 1953 r. prowadziła Czytelnię Towarzystwa Przyjaciół Dzieci w Szkole Cwiczeń przy Liceum Pedagogicznym. Od 1956 r. pracuje w Miejskiej Bibliotece Publicznej w Tomaszowie, obecnie jako kierownik czytelnii.

T. Gabrysiewicz-Krzysztofikowa opublikowała do tej pory dwa tomiki wierszy: „Przedzienie jeziora” (1966), „Ariadna 67” (1967) oraz dwie powieści: „Z pieśni Wejmuty” (1968), „Klasówka bez odwołania” (1972). Drukowała też wiele w czasopiśmie, zwłaszcza w „Kamieniu”, „Tygodniku Kulturalnym”, „Nadodrzu”, „Odgłosach”; utwory jej znajdują się także w kilku almanachach i antologiach.

Twórczość T. Gabrysiewicz-Krzysztofikowej wyróżnia współistnienie — dość rzadkie chyba — dwóch wartości: wysokiej kultury i bezpretensjonalności. Przedwojenną swoistość statusu i rangi leśnika pamiętającą jeszcze przedkolumbowe pokolenia; wczesny i ciągły kontakt z dziełami sztuki i wielokształtem natury stał się przyczyną określonego klimatu — przede wszystkim wierszy z „Przedzienia jeziora”.

Uderza w utworach tam zawartych „gesta”, bogata sensualność. Nie jest to jednak rozpoznawanie urokliwej, szczernej utkaną „dookołności”, nie ma tu elementów zadziwienia, badania, klasyfikacji. Bohater liryczny tych wierszy nie szuka w pulsującej zieleni pretekstu

dla błyskotliwych, „intelektualnych” uogólnień. Nie jest intruzem wśród kwiatów — o nazwach egzotycznych dla współczesnego czytelnika już na zawsze co najwyżej z „okolic” miasta. Sensualność „zieleni” czy też „leśnych” wierszy z „Przedzienia jeziora” ma charakter „rozumiejący” — polega na autentycznej współobecności, uczestniczeniu na równych prawach w rozmaitych i wielokierunkowych relacjach „żywego” świata.

Postawa taka — jak przedłużenie i warunek — pozwala łatwo — i pełnie — oswoić i adaptować tereny „nie swoje”, „zagraniczne”. W pierwszym tomiku będzie to przede wszystkim „Inność” materialna: ziemi mazurskiej i jej ludzi, fachu garncarstwa (komplementarnej użyteczności i ornamentu), doświadczonej społeczności (żydowskiej). W „Ariadnie 67” terenem objętym rozumieniem stanie się w większym stopniu świat ludzkiej myśli odcisnięty w sferze przedmiotów sztuki: literatury, malarstwa, rękodzieła.

I znów podniósł tych wierszy nie pragnie manifestować w serii gestów porównujących swą odrębność, jednostkowej niepowtarzalności. Nie sugeruje też dystynkcji i nie rozdziela ocen; w przekonaniu oczywistości i potrzeby jednoczących wszystkich relacji bohater wierszy, obywatel mazowieckiego krajo-brazu, usiłuje zrozumieć sąsiadów; zarówno nietypową w splocie cech wszech-

ludzkich osobliwą intymność twórcy, jak i „otwartą” odrębność przadki.

Ta „rozumiejąca” postawa ogarnia też rzeczywistość przedstawioną obu powieści T. Gabrysiewicz-Krzysztofikowej, tak ściśle autobiograficzną „Z pieśni Wejmuty”, jak i kryponimiczną „Klasówkę bez odwołania”. Uderza zwłaszcza w pierwszej powieści z lat dzieciństwa w spalskich lasach — brak jednoznacznej potępienia lub choćby skargi w stosunku do burzliwej dzieciństwa autorki, morderców jej ojca.

Niedopowiedziane, ale wyczuwalne przekonanie o nieuniknionym — niestety — współistnieniu dobra i zła, ludzkiego i nieludzkiego, przeplata się z ekspozycją człowieczego braterstwa, solidarności (ratowanie Żydów, pomoc włoskim jeńcom). Także w obu tomikach wiele jest wierszy „współuczestniczących” w wojennej dołży Żydów (takiego nasyceństwa tym motywem nie znam we współczesnej poezji polskich autorów).

Umiejętność współzycia i współprzeżywania rzeczywistości „sąsiadującej” — nie za często w kulturze i etyce współczesnej — skłania bodaj autorkę do prób oddziaływania, reaktywowania ludzkiej „rozumiejącej” wrażliwości — tam, gdzie to najpotrzebniejsze — u dzieci. Stąd ciekawe wiersze w pierwszym tomiku, z programową, postuluje „Nuda” na czele, stąd „Klasówka bez odwołania” — powieść dla młodzieży. Siad świadomie chyba wybrany kierunek kontynuowania pisarskiej działalności — dla małych obywateli wielkiego i trudnego do zrozumienia świata.

WIESŁAW PUZ



Dalszy ciąg ze str. 1

Otóż oświadczam, że jak ja tam byłem, to ani mgły nie było ani deszczu. Ot, zmokłem ze trzy razy, ale bardzo krótko; zaraz potem było słone i zaraz byłem suchutki. Raz, owsem, przez jeden dzień lało, ale wtedy akurat nie zmokłem wcale, bo cały dzień przesiedziałem w kinie na filmach sextart (porno-art?) i kiedy wyszedłem sobie o 10-tej wieczorem na ulicę, jeno asfalt był mokry, a w nim odbijały się setki barwnych reklam jak by to był jakiś festyn z okazji jakiegoś święta. Ale nie był to żaden festyn i nie było żadnego święta — był to zwykły wieczór najpowszedniejszego dnia, gdzieś w okolicach Piccadilly Circus, a po prostu tam londyńskiej mgły, a po prostu aktu, że funt się skurczył okrutnie. Mówiąc „bardziej po naszymu” za sweter, który moja znajoma jeszcze niedawno płaciła dwa funty, dziś musi zapłacić dziewięć albo jedenaście. No co? Skurczył się funt, czy nie skurczył? Mgła tu nie ma nic do rzeczy.

Innych czytelników moich artykułów bardzo ciekawi, jak ja się po tym Londynie — molochu poruszałem. Otóż w sposób równie prozaiczny co prosty. Najpierw metrem, a potem na własnych nogach. Oba środki lokomocji bardzo proste w tzw. „obsłudze”, wygodne, (oczywiście, jeżeli ktoś nie ma na przykład jednej nogi krótszej od drugiej, albo nie jest leniwy) i, co najważniejsze — pewne. Metro funkcjonuje bezbłędnie, a gdy ci zabolą nogi, włazisz do pubu, zamawiasz co tam akurat ci w smak, siadasz i odpoczywasz. Czasem używałem czerwonych piętrów, ale ten sposób podróżowania jest raczej ryzykowny, bo facet, co siedzi w Londynie parę dni zaledwie, łatwo może się znaleźć nie tam akurat, gdzie się znaleźć pragnie. Czerwone „piętra” to już wyższa szkoła jazdy, aczkolwiek bardzo przyjemna, bo na wiele rzeczy (a także i spraw) patrzy się wtedy z góry.

Co się tedy metra, czyli tego czegoś, co oficjalnie nazywa się undergroundem, w mowie potocznej tube, a z amerykańską subway, to jest to coś bardzo wygodnego, szybkiego, sprawnie działającego i okropnie brudnego. Wagony metra dzielą się, co prawda na te dla palących i te dla niepalących, aliiści w tych, w których palić wolno, popielniczek nie uświadczyś i „pety” odgasza się obcasem na podłodze. I w jednych i w dru-

gich na podłogę można rzucać wszystko, byleby to „coś” nie cuchnęło i nie wybuchło, chociaż ostatnimi czasy „takie coś, co wybuchło” też jest w wagonach metra rzucać, chociaż może nie w tak ostentacyjny sposób, jak na przykład niedopałki, skórki od bananów, puszki po coca-coll czy przeczytane popołudniówki. Ale jest służba i służba sprząta. I nadal jest ciągle brudno. Same stacje metra są równie obskurne, co wnętrza wagonów, choć może jeszcze bardziej. Rury od wszelkiego rodzaju instalacji i zdezelowane maszyny do wydawania okrutnie niesmacznych czekoladek skutecznie konkurują tu z ogromnymi plachtami reklamowych plakatów i tablicami informacyjnymi, gdzie czym dojechać i pomijając rury, maszyny i plakaty owe tablice informacyjne są tak pomyślane, że w metrze zabłądzić może jedynie tylko ślepy analfabeta. Daj Boże, żeby taką informację, jaką ma londyńskie metro, miała każda inna dziedzina naszego życia.

Lojalnie zresztą muszę przyznać, że jest kilka stacji undergroundu, które wyglądają przyzwoicie — widocznie i u nich od czasu do czasu dorwają się do głosu „architekci wnętrz”. Ale nawet tym „najładniejszym” do moskiewskich na przykład stacji daleko. Ot, po prostu postawili na funkcję a nie na formę. Każdy na coś stawia; Anglikom mają specjalne upodobanie do hazardu. Poza tym pamiętać należy, że metro londyńskie jest najstarszym metrem na świecie. Był wiek XIX — okres najświetniejszego rozwoju Londynu. Oczywiście: para i elektryczność! J. T. Coppock pisze, że „rozpoczęcie ery kolejnictwa może być umownie uważane za początek rozwoju nowoczesnego Londynu; w cytowanej już przeze mnie książce „Wielkie stolicie Europy” Ludwik Straszewicz pisze: „W latach trzydziestych XIX wieku zabudowany obszar Londynu wynosił około 260 km kwadratowych, czyli stokrotnie więcej od obszaru City of London. Teren ten zamieszkiwało około 2 milionów mieszkańców. Rozwój komunikacji masowej został zapoczątkowany przez koleje żelazne. Na obrzeżu śródmieścia powstawały dworce czołowe rozmaitych towarzystw akcyjnych. W latach sześćdziesiątych powstały: Victoria Station, Charing Cross, Holborn Viaduct, a w siedemdziesiątych — Liverpool Street Station i inne. W 1863 roku otworzono pierwszą na świecie kolej miejską (metro), jeszcze parową, biegnącą częściowo w wykopie, a częściowo w tunelu, pomiędzy Paddington a Aldgate. Stanowiła ona fragment późniejszej Metropolitan Line, zelektryfikowanej w 1905 roku. Gliniaste podłoża nie sprzyjało tej metodzie budowy, dlatego po wybudowaniu jeszcze kilku linii w wykopie, zmieniono system,

wprowadzając pod ziemię rury o prześwicie 3,65 m, którymi przeciągnięto tory. Pierwszą tego typu linią Tube Line biegnącą pod Tamizą koło Tower była kolejka linowa, gdyż trakcja parowa była tu niemożliwa. Dopiero po 20 latach, w 1890 roku, przy budowie Northern Line wprowadzono trakcję elektryczną. Powstały tych dwóch systemów komunikacji szynowej: kolei i metra, zdecydowało o rozwoju perytorycznie położonych osiedli, głównie dzielnic mieszkalnych”.

Przy całej jednak dziwaczności swej „architektury”, underground londyński ma swój specyficzny, niezapomniany urok, a ja jego przystanki pamiętać będę, bo na każdym z nich towarzyszył mi autentyczny kowboj na koniu — ogromna reklama papierosów „Marlboro”. Kiedy wysiadałem na Gloucester Road, aby tam wsiąść do piętrówca linii BEA, który miał mnie dostarczyć na lotnisko, zagnałem się z „moim” kowbojem z prawdziwym żalem.

Cóż, rozstania to zawsze sprawa przykra; ja nie ukrywałem swego żalu, ale tamten grał wyraźnie „prawdziwego mężczyznę” i nawet nie odwrócił głowy w tym swoim „kowbojskim” kapeluszu. Może zresztą przyzwyczaił się już do rozstań — tytu tam przyjeżdża i odjeżdża... Gdyby z każdym chciał się przyjaźnić, to by go pewnie z reklamy zdjęto, popadłby w alkoholizm na przykład, albo w narkomanię z żalu i mógłby zostać co najwyżej zmiataczem w metrze.

Wypadałoby na koniec słów parę powiedzieć o pubach — te instytucje zasługują doprawdy na to z wielu względów. O niektórych z nich wspominałem już w poprzednich swoich londyńskich opowiastkach. Słowo pub jest skrótem od „public house”, co w dosłownym tłumaczeniu oznacza „dom publiczny”, ale z burdelem doprawdy nie ma nic wspólnego. Pub to bar, knajpa, saloon; to miejsce, gdzie można napić się i przekąsić „małe co nieco”. To miejsce, gdzie możesz przyjść sam, z kumpłem lub z dziewczyną; gdzie ci nikt nie powie złego słowa, a przeciwnie, barman podśpiewujący coś pod nosem (pasja rudawych Irlandczyków — ci zawsze muszą coś śpiewać lub gwizdać) poda ci kufel piwa, szkołką, likier, czy to, na co masz akurat ochotę. Jeśli będziesz miał chętkę pogadać sobie — chętnie z tobą pogawędzi; jeśli nie — wycofa się dyskretnie i będzie robił wrażenie, że go w ogóle nie ma. Chyba, że zobaczy twój pusty kufel i twoją wyraźną chęć na jeszcze jeden — wtedy zjawi się znowu, aby czynić swoją powinność — szybko i zręcznie.

Znakomitą zaletą pubów jest panująca w nich atmosfera izolacji i tolerancji. Nikt ci tam nie zaczepi, ani nie będzie miał ci za złe, że „Timesa” czytasz do góry nogami, czy że czytasz jakieś dziwne pismo, noszące tytuł „Odgłosy” (przywołałem sobie z Polski parę numerów i obnosilem się z nimi po Londynie w myśl zasady: reklama dźwięgnia...).

Drugą zaletą pubów jest fakt, że nie zajmują się ich wystrojem wewnętrznym „architekci wnętrz” (w przeciwieństwie do naszych knajp, które wydają się być głównym terenem ich spontanicznej działalności), co sprawia, że są one przytulne, różnorodność ich ogromna, inwencja w organizowaniu wyglądu przeogromna. Są różne: stare, zrobione „pod stare”, nowoczesne, supernowoczesne i tak dalej, ale wszystkie zachęcają do tego, aby w nich posiedzieć i kufel piwa wypić.

Tym, co w pubie jest najważniejsze, to oczywiście sam bar, który dla kogoś, kto wychował się na knajpach leżących między Bałtykiem a Tatrami przywodzi na myśl ołtarz bizantyjski, czy „Bóg wi co”. Najczęściej to „Bóg wi co”. Mnogość butelek odwróconych do góry nogami, beczulek, flach i flaszek kształtów różnych, barw przedziwnych; z etykietami działającymi na wyobraźnię, jak opowiadania Cendrarsa, Hemingwaya, Malcolm Lovry'ego... A dodajmy do tego kufle, kieliszki, szklanki, szklaneczki najprzeróżniejszych kształtów; a jeszcze reklamowe popielniczki, a dzbanki, dzbanuszki z wodą do szkołkiej, a pojemniki na lód, a podstawki pod kufle i wiele, wiele innych jeszcze rzeczy, które sprawiają, że w takim barze jest tak smacznie, że chciałoby się wypić jeszcze jednego. Ale w Anglii (tak zresztą jak i u nas) walczy się z alkoholizmem...

Grzegorz Jaszuński, autor przewodnika (zresztą bardzo kłopskiego) po Londynie pisze w tymże: „Puby mieszczą się niemal na każdym większym skrzyżowaniu ulic w Londynie i na prowincji. Ich staroświeckie szyldy widoczne są z daleka na szosach. Łącznie w Anglii jest obecnie przeszło kilkadziesiąt tysięcy takich barów. Czy to dużo, czy mało? Nie wiem, ale ciekawa była dla mnie informacja, że liczba pubów stale się zmniejsza i że jeszcze na początku XX wieku było ich w Anglii 100 tysięcy. Zgodnie z o-

stopy życiowej i że istnieje związek przyczynowy między tymi zjawiskami. Lepiej zarabiający robotnik — jak mówią — rzadziej zagląda do kieliszka. Wymienia się również rozwój telewizji jako przyczynę spadku spożycia napojów alkoholowych. (Zupełnie jak u nas — A. G.). Anglicy teraz znacznie więcej siedzą w domu, więc rzadziej bywają w pubie i mniej piją. Ale pub nie przestał być częścią składową angielskiego trybu życia. Nie brak mu stałych klientów i nie brak zwolenników namiętnie dyskutujących nad projektem ustawy, która opóźniła o 30 minut godziny zamknięcia pubów. Skomplikowane ustawy o pubach znają dwa wyjątki: są to — dla bogatszych — restauracje większych hoteli, które nie mają ograniczonych godzin sprzedaży alkoholu, i tzw. „kluby” dla mniej zamożnych. Cudzyślowy są tu konieczne, gdyż tzw. „kluby” nie mają nic wspólnego ze starymi i szanowanymi klubami bez cudzyślowu. Członkiem takiego „klubu” może zostać każdy, wykupując kartę członkowską przy wejściu. A wtedy już nie obowiązują żadne ograniczenia. Pij, kiedy chcesz, co chcesz i z kim chcesz.

O pubach można nieskończenie. Są tradycją i są potrzebne. Zwiedzając puby w różnych dzielnicach Londynu, specyfikę tychże dzielnic, skład socjologiczny ich mieszkańców, stopień zamożności, ba, nawet ich zainteresowania, jakże często odczytywałem właśnie z wyglądu pubów, z wyglądu i sposobu bycia ich klientów. W pubach to właśnie dowiedziałem się o Londynie, o Wyspie w ogóle więcej niż z artykułów, książek, muzeów etc. To naturalne — tam po prostu pulsuje życie.

Oto pub, do którego schodzą się kibice jakiejś tam drużyny piłkarskiej — pełno w nim futbolowych rekwizytów. To ozdoba tego pubu, jego wyróżnik i jego reklama.

Właściciel innego lubuje się (czy snobuje? co za różnica) w starej broni i ściany obwieszane są szablastkami, mieczami, halabardami...

W innym wiszą stare, XVII-XVIII-wieczne sztychy.

W innym kolekcja miedzianych i żelaznych naczyń kuchennych...

Właściciel innego miał chyba kiedyś coś wspólnego z boksem, a inny z kolei jest na pewno niedzielnym malarzem...

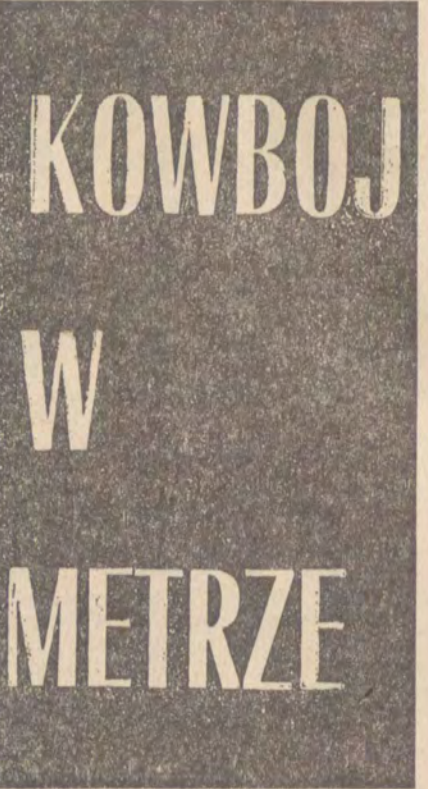
Gdzie indziej znowu same konie, konie i konie — na obrazkach, na ścianach, na szynkwasie; przed wejściem szyl z koniem.

Najwięcej szyldów widziałem z Szekspirem. Kilka z Scherlockiem Holmesem.

W niektórych pubach są psy w innych koty...

Wierzę mi, o pubach można nieskończenie. A swoją drogą dziwna rzecz dla Polaka: przez miesiąc pobytu swego w Londynie, a zatem przez miesiąc zwiedzania przybytków, o których wyżej pisałem, ani razu nie zdarzyło mi się widzieć tam jakiegś burdy, bijatyki. Pewnie, że Wersal to nie jest, bo Wersal to sprawa mitu — ot, jakaś clocia sobie to wymyśliła. Ale panowała tam zwykła atmosfera oparta na zasadach: „dziękuję”, „przepraszam”. Raz, co prawda, widziałem jak jacyś kolorowi tłuśli się, ale przed pubem. Wyszli, żeby dać sobie „po razie” i już. Presja tradycji i atmosfery miejsca nawet najgorętsze temperamenty zdaje się temperować. A spróbuj tu, czeleku, wejść do pijalni piwa przy rogu Kościuszki i Andrzeja. Tam ci dadzą popalić, po sarmacku, po kozacku. Cóż, co kraj to obyczaj. Pewnie dlatego (między innymi oczywiście) świat jest taki ciekawy.

ANDRZEJ GRUN



bowiającymi przepisami, zmierzającymi do walki z alkoholizmem, puby mają określone godziny otwarcia. Wieczorem zamyka się je stosunkowo wcześnie, z reguły już o godzinie 10.30. Niektórzy goście wychodzą wówczas pod lekkim gazem, ale rzadko widziałem w Londynie pijanego. (Podkreślam, że jest to opinia Grzegorza Jaszuńskiego — przyp. A. G.) Statystyka wykazuje, że Anglicy spożywają coraz mniej alkoholu. (Jestem przeciwnego zdania — A. G.). Na początku XX wieku spożycie piwa wynosiło blisko 150 litrów rocznie na głowę ludności. Obecnie spadło do 80 litrów. W tym samym czasie konsumpcja innych napojów alkoholowych w przeliczeniu na czysty alkohol spadła z niecałych 5 litrów rocznie na głowę ludności do mniej więcej 1 litra! Socjologowie angielscy twierdzą, że pijaństwo, które jeszcze w końcu XIX wieku było plagą wielu miast angielskich, obecnie nie jest groźne. Jedną z tzw. komisji królewskich, która zajmowała się tym zagadnieniem, chyba słusznie stwierdziła, że „pijaństwo wyszło z mody” i że „pijacy nie są tolerowani jak dawniej”. Charakterystyczny jest także wzrost spożycia napojów bezalkoholowych, różnego rodzaju oranżady, lemoniady itd. Socjologowie twierdzą, że spadek alkoholizmu nastąpił jednocześnie ze wzrostem



A. GRUN

Myślę, że każdy z nas, udając się w podróż zagraniczną, ma od dawna ukształtowaną wizję kraju, do którego jedzie. Składają się na nią nie tylko luźne wiadomości beadeckerowe, ale także opowieści tych, co byli tam wcześniej, a przede wszystkim pamięć pochłoniętych lektur.

Właśnie ta pamięć, w samolocie przetrzucając od niechcenia „Neue Kronen Zeitung” zastanawiałem się przecież, czy przyjdzie mi spotkać dzielnikastowicę miasto Petera Altenberga („Letnia noc w Wiedniu”) czy też raczej molocha dogorywającego cesarstwa, sportretowanego przez Roberta Musila w „Człowieku bez właściwości”. A może najprawdziwsze okazać się „Opowieści Lasku Wiedeńskiego” Odena von Horvátha, tego Węgra bez ojczyzny, o którym hitlerowski „Völkischer Beobachter” napisał: „A my wiemy, że Horváth nie ma ludziom niemieckim nic, ale to absolutnie nic do powiedzenia”. Było to na krótko przed Anshlussem, kiedy istniała jeszcze państwowość austriacka, ale austriacka świadomość narodowa znajdowała się właściwie w zarodku.

Lot trwa zaledwie godzinę. I oto w rześkiej oświetlonej hali dworca lotniczego uśmiechnięta dziewczyna o wygiętej hostessy wciska mi zamkniętą opaskę numer „Vienna Airport Journal”. Mam ochotę spojrzeć jej w oczy, ale widocznie inaczej rozumiała moje natrętne spojrzenie:

— W środku znajdzie pan także plan miasta.

Mimo woli zerkam na wieloznaczny tytuł: WILLKOMMEN IN WIEN, chociaż nie muszę się upewniać, że samolot rzeczywiście wylądował w Wiedniu. I przypomniałem sobie natchnionych pierwszych słów reklamowego folderu:

„Piękno i różnorodność krajobrazu, serdeczność mieszkańców i obfitość skarbów kultury, oto dla czego Austria staje się corocznie, w zimie i w lecie, celem podróży turystów ze wszystkich krajów świata. Ponad tysiącletnia historia ukształtowała oblicze kraju, a ślady wielkiej przeszłości, jego spójni z wieloma narodami Europy, są nader liczne.”

Wszystko to prawda, ale właśnie wtedy, w dworcowej hali, uprzytomniłem sobie, że właściwie nie jestem turystą. Przyleciałem do Wiednia na zaproszenie Bundesministerium für Wissenschaft und Forschung. Literackie stypendium, które do niczego nie zobowiązuje, ale da mi okazję osobistego spotkania z pisarzami i bliższego poznania ich języka. I jeszcze sprawa spędzająca sen z oczu: Bruegel. Właśnie tak: Pieter Bruegel, niderlandzki malarz o niepewnej metryce, którego obrazy są największą atrakcją Kunsthistorisches Museum w Wiedniu. Wiedziałem z przewodnika, Jaka będzie moja intymna przygoda z tym artystą, który nawet malując wesela nie pozostawił na swych obrazach ani jednej uśmiechniętej twarzy?

W Schwabach nie miałem jeszcze tego poczucia bezdomności, które przynosi pusta, świąteczna ulica wiedeńska. To miasto rozrosło się do potrzeb imperium Habsburgów, stało się jakby za obszerne, gdy Austria powróciła do swych granic etnicznych. Nawet Kärntnerstrasse, nazywana przez niektórych oknem wystawowym świata, staje się wieczorem zupełnie bezludna i przechodzień dziwi się spotykając kogoś zapóźnionego, kto jeszcze nie wrócił do domu. Tylko na Ringu, w podziemnych przejściach, cierpliwie stoją gazeciarki starając się sprzedać najświeższe wydanie „Neue Kronen Zeitung” czy „Kuriera”, które dopiero rano będzie można dostać w trafikę. Mówią po niemiecku z wyraźnym siołańskim akcentem. To, obok kełnerów i sprzątaczek, najbardziej rzucająca się na oczy gromadka Gastarbeiterów, szukających zarobku poza ojczyzną.

Ale żeby lepiej zrozumieć to miasto trzeba się wybrać do Burgtheater na kolejną inscenizację „Geschichten aus dem Wiener Wald”, chociaż miejsce na balkon kosztuje ponad trzysta dolarów. Ten melodramat, nazwany przez Horvátha sztuką ludową, jest przecież bezlitosną karykaturą mieszczańskiego społeczeństwa i jego instytucji z Kościołem na czele. „Zarzucają mi często skłonność do parodii — skarżył się autor — a z tym się w żaden sposób nie można zgodzić. Nienawidzę parodii! Satyra i karykatura — czasami tak. Ale satyryczne i karykaturalne miejsca w moich sztukach dadzą się zliczyć na palcach jednej ręki. Nie jestem satyrykiem, moi państwo...”

Tak, Wiedeń się chyba zmienił od czasów austrofaszystów. Dziś ta sama mieszczańska publiczność żywo oklaskuje sztukę, która przed Anshlussem musiała jej się wydawać wstrętą. W warunkach nowej obyczajowości dramat Marianne cokolwiek traci miękkość, ale to sztuki, jej koloryt muszą wycisnąć leżąc z oczu, bo jest w niej przecież portret miasta, które odeszło, a sądząc po pomnikach choćby, Austriaków cechuje szacunek do przeszłości. A na scenie, dzięki pomocy scenografii Günthera Schneidera-Siemssena, który jako horyzont wykorzystał diapozytywowe fotogra-

fie starego Wiednia, przeszłość przywrócona zostaje do istnienia. Pietyzm dla detali nie przeszkodził jednak reżyserowi Otto Schenkowi w skreśleniu tej partii sztuki, która melodramat przemienia w tragedię. Chodzi mi o zabójstwo nieślubnego dziecka Marianny (gra ją Gertrauda Jesserer) przez matkę i babkę jej kochanka Alfreda (Wolfgang Hübisch). Ten fragment został wyraźnie stonowany, jakby reżyser obawiał się, że publiczność poczuje się urażona. Zabójstwo dziecka tak nie pasuje do Wiednia, w którym kocha się nawet zwierzęta. Codzienne gazety w specjalnie wydzielonych kącikach przynoszą przecież inseraty, a nawet fotografie czworono-

ficznej prasy, gdzie inseraty są bezpłatne. Dzięki temu tandetnie wydawane austriackie piśmka w rodzaju „Neuer Bote” („Nowy Zwiastun”) czy też „Neuer Express” mogą skutecznie konkurować z kolorowymi magazynami niemieckimi na wyższym poziomie edytorskim i treściowym. Z ogłoszeń tych wydedukować można nie tylko obraz przemian obyczajowych, ale pośrednio także dowiedzieć się czegoś o warunkach społecznych. Jest uderzające, że część anonów, jakby dla potwierdzenia czysto seksualnego charakteru oferty, podkreśla brak zainteresowania materialnego (materiell desinteressiert). Ale pozostałe noszą na sobie piętno męskiej

z pokąźną grupą studentów zagranicznych, którzy pełnią rolę katalizatora radykalizującego nastroje społeczne. Na dziedzińcu arkaadowym dostojnego uniwersytetu, pośród galerii rzeźb zasłużonych uczonych, spotkać można napisy zwalczające Austriacką Obsługę Studentów Zagranicznych, albo też dla odmiany piętnujące wyzysk kapitalistyczny, rasizm i militarizm. Polityka jest tutaj jedynym luksusem, od którego nie pobiera się podatków, można więc do woli korzystać z okazji. Poplając w bufecie czerwone wino zastanawiałem się jednak, czy ta wiecowa wrzaskliwość nie prowadzi do przedwczesnego wyjąłowania politycznego temperamentu, co

nie ma ona w Austrii tak galopującego przebiegu, jak w pewnych państwach ościennych? Austriacy zdążyli się przyzwyczaić do spokoju i stabilizacji, więc to nagłe zachwianie równowagi wywołuje gorycz i zaniepokojenie. Stołeczny burmistrz pan Leopold Glatz stara się posłać ufną rozsyłając do mieszkańców publikację pn. „Bilans dla Wiednia”, w której zdaje relację ze swoich rocznych rządów. Tysiące plakatów na murach, w tramwajach, w podziemnych przejściach wola jego słowami: „Każdy wiedeńczyk ma prawo dowiedzieć się, co wydarzyło się w jego mieście”. Zmiany są widoczne, bo trwa budowa metra. Ale człowiek ulicy interesuje bardziej to, co będzie się działo z jego portfelem.

Czy można się dziwić, że w tej sytuacji sensacja ostatniego sezonu, film „Emanuela” przechodzi w Wiedniu prawie nie zauważony? Afisz i gazety daremnie nawołują, że obraz reżysera Justa Jaeckina przewyższa bujnym erotyzmem osławione „Ostatnie tango w Paryżu”. Nie pomogła nawet wizyta odtwórczyni tytułowej roli, holenderskiej aktorki Sylwii Kristel, chociaż prasa przypomniawszy błyskotliwą karierę wschodzącej gwiazdy ujawniając przy okazji, że Kristel spodziewa się dziecka. Dla wiedeńczyka są to sprawy równie bez znaczenia jak to, że akcja „Emanueli” rozgrywa się w Bangkoku. O wiele ważniejsze jest przecież to, czy Meini znowu nie podniósł ceny na konserwy, albo czy sklepy Braci Kunze nie organizują akcji specjalnej, bo to oznacza zniżkę cen.

U nas najtaniej! Kupcy starają się utrafić w te nastroje klientów. Co parę dni na szyby witryn nakleja się pomarańczowe plakietki o kształcie koła z magicznym napisem: STATT. „Statt” znaczy „zamiast”. Z tym słowem związana jest zmiana ceny na korzyść kupującego. Cóż z tego, że ta zmiana obejmuje najczęściej towary niechodliwe. Trzeba korzystać z okazji, która nieprędko się powtórzy. Tym bardziej że zima będzie ciężka niezależnie od aury. Gmina miejska zapowiedziała już podwyżkę cen ogrzewania o 70 procent. Przy wyśrubowanych cenach czynszu oznacza to ogromny wzrost kosztów utrzymania. A przecież podwyżce ulegną także opłaty za prąd i gaz, za przejazd środkami miejskiej komunikacji.

Austriaków dręczy dziś niepokój: czy nie wracają stare czasy, o których zdążyło już zapomnieć przez lata koniunktury gospodarczej. Wiedeńczyk wychodzi na ulicę i oddycha z ulgą. Na specjalnych stelażach leżą wyłożone świeże numery periodyku „Wolne Miejsca Pracy”. Można się nie przejmować. Można spokojnie wypić szklaneczkę wina. Ale pod wpływem wiadomości o recesji u sąsiadów budzą się nie dobre myśli. Austriacka mentalność ukształtowała się w wielonarodowościowym imperium Habsburgów, gdzie żył w Niemczech rozpalający się żywioł słowiański, więc ksenofobia jest wiedeńczykowi obca. Ale prasa uczy go, że trzeba być ostrożnym. Jeśli sprawa przestępstwa nie zostanie od razu wykryta przez policję, gazety rzucą natychmiast podejrzenie na Gastarbeiterów. Najczęściej niedogodność przypisuje się Jugosłowianom, którzy stanowią najliczniejszą grupę cudzoziemców. Na razie tylko kradną, rozmyśla sobie rozgrzany winem wiedeńczyk, ale jutro za sprawą przybłądów może zabraknąć dla niego pracy.

Ta podejrzliwość udziela się także przybywającym z zachodniej Europy turystom, którzy skłonni są przypisywać Austriakom nieuczciwe zapędy nacjonalistyczne. Pewien podpity Holender dał mi słowo honoru, że starsza generacja wiedeńczyków nie uwolniła się jeszcze spod wpływów nazizmu.

Ale jeśli wierzyć przekazom literackim, co innego dręczy dziś Austriaków naprawdę. Mieszkający w Paryżu awangardowy pisarz młodego pokolenia Peter Handke zawarł te niepokojące w sztuce o jednoznacznym tytule: „Niedorzeczni umierają”. Jej bohater, przemysłowiec Quitt, tak określa swój stan: „Zobaczyłem moją żonę w szlafroku, polakierowane paznokcie jej stóp i poczułem się nagle samotny. Była to samotność na tyle konkretna, że mogłem opowiadać o niej zupełnie naturalnie. Przyniosła mi ulgę, bo uległem rozkawałkowaniu, rozplynąłem się w niej. Samotność istniała obiektywnie, jako właściwość świata, niezależnie ode mnie.”

Nigdzie chyba poczucie osamotnienia nie jest tak ostre jak tutaj, na Zachodzie. Wobec niej wszyscy są równi niezależnie od stanu majątkowego. Może bym tego nie potrafił zrozumieć, gdyby nie spotkanie z Breuelem, który mi to drastycznie uprzytomnił. Stałem właśnie przed obrazem „Zabawy dziecięcej”, który tak mnie zachwycał na reprodukcjach. I wtedy dostrzegłem, że barwny, rozbawiony tłum nie jest właściwie tłumem, że każdy tu stoi osobno i tylko układ barwnych plam w czysto plastycznym związku daje złudzenie gromady. Ale tego w Wiedniu nie wolno sobie uprzytomniać. Niedorzeczni umierają.

KONRAD FREJDLICH

NIEDORZECZNI UMIERAJĄ



Fot. Archiwum

gów, które poszukują przytulnego miejsca u dobrych ludzi. Można tam spotkać zresztą specyficzne ogłoszenia matrymonialne w rodzaju tego, że szuka, lat pięć, tęskni do kawalera tej samej rasy, albo też: ples myśliwski czuje się bardzo samotny i poszukuje towarzyszy życia na przeciąg najbliższego tygodnia. Miesiąc dobroci dla zwierząt trwa w Wiedniu przez okrągły rok.

O ludziach będzie tutaj jeszcze mowa. Tymczasem znajdujemy się na widowni najbardziej reprezentacyjnego teatru Wiednia, który daje swoje pięćdziesiąte w tym sezonie przedstawienie „Opowieści Lasku Wiedeńskiego”. Nawet wyjście do bufetu w czasie przerwy pozwala na pierwszy rzut oka ocenić kontrast obyczajowy pomiędzy zmumifikowaną sytuacją na scenie a zachowaniem przeciętnej, teatralnej publiczności. Austriacy całują się dużo i chętnie, zwłaszcza publicznie, nikogo to dziś tutaj nie gorszy. Toteż najbardziej „wyuzdana” scena sztuki Horvátha, odwiedziny lokalu „Maxima”, wydała mi się w interpretacji Schenka zbyt nobliwa, jakby reżyser chciał świadomie podkreślić różnicę między dawną i nową obyczajowością i przez to konserwatywne widzenie wykopnąć jeszcze głębszą przepaść między dziejami dwóch republik.

Wspominam o tym, gdyż fala seksu, która przewalała się przez Zachód, nie ominęła także Wiednia pretendującego do miana najatrakcyjniejszego turystycznie miasta Europy.

Zgodnie więc z duchem czasu pojawiły się w stolicy Austrii sklepy oferujące specjalną bieliznę, wymyślne narzędzia do sztucznego wywoływania rozkoszy, atlasy z podniecającymi tablicami, środki pobudzające. Można tam nabyć także, jak w każdym większym mieście Zachodu, „Plan miasta dla mężczyzn” ze starannie naniesionymi punktami „strategicznymi”, w których kwitnie platna miłość. Są tam adresy barów, w których zbierają się prostytutki, nocnych klubów z prymitywnymi separatkami, kin wyświetlających pornograficzne filmy skandynawskie, pornobarów. Są to wszystko przytyki obliczone na cudzoziemską kieszę, gdyż miejscowi wolą korzystać raczej z pośrednictwa pornogra-

albo żeńskiej prostytutki. Niekiedy ich treść jest zawołowana („Który kawaler podaruje biednej lecz pięknej Ewie starą maszynę do pisania”), częściej jednak wyklada się tam kawę na ławę („Rasowa kobieta, 30/167 szuka znajomości z dobrze sytuowanym panem, który pomoże jej w kłopotach finansowych. Pod: „wdzięczna”). Szczególnie cyniczne są oferty prostytutek męskich choćby w rodzaju tej z „Neuer Bote”: „Młody mężczyzna, dyskretny, wypełni hojnym paniom wiele najskrytszych życzeń. Wiek obojętny. Pod: kieszonkowe.”

Ale oczywiście nie te, niebezpieczne z moralnego punktu widzenia zjawiska, decydują o obliczu współczesnej Austrii. Przeglądam się młodzieży, przez cały czas mego pobytu obserwując młodzież, która nie zna innej ojczyzny poza II Republiką. Mam zresztą ułatwione zadanie: uczęszczęm przecież na Wiedeński Uniwersytet. Nie jestem co prawda studentem, ale jako stypendysta rządu austriackiego powszechnie uchodzę tam za studenta. Co dzień przed wejściem do głównego gmachu otrzymuję ulotki i jednostronki, z każdym też dniem rośnie moja wiedza o ugrupowaniach politycznych na uczelni. Nikt tutaj nie ośmieli się głosić jawnie prawicowych poglądów, przynajmniej „konserwatywny” jest najbardziej dyskwalifikującym słowem, ale też ta powszechna niemal lewicowość poglądów jest starranie wycienioną.

„Terror z lewa może wywołać tylko silniejszy terror z prawa. Gdy się Murzyna laskocze w podbicie stopy, nie znaczy to jeszcze, że wszyscy ludzie są równi” — głosi ulotka Centrum Ideologicznego Akcji Nowego Prawa, która ma swoich zwolenników także na Uniwersytecie nazywanym tutaj krótko: Uni.

„Kiedy i gdzie w Uni wystąpił terror z lewa? — odpowiada na to wyzwanie ulotka Komunistycznego Związku Studenckiego. — Dlatego więc regularnie zrywane są plakaty o zastępczych kierunkach studiów, dlatego zniszczona została przez prawicowych ekstremistów enerdowna wystawa KZS.”

To tylko dwa najskańskie przykłady postaw politycznych, bo rozpolitykowani są tutaj wszyscy, łącznie

w konsekwencji buntownika przemienia w mieszcza.

Mówią mi zresztą, że w porównaniu z wiosną, nastroje uległy uspokojeniu. Pogodzone są już chyba z decyzją Ministerstwa Nauki, które wprowadziło egzaminy wstępne na pewne kierunki, żeby ograniczyć napływ cudzoziemców. Niektóre wydziały są po prostu zamknięte dla ludzi z zagranicznym paszportem, na innych zmniejszono limit miejsc do 250, co świadczy o znacznej redukcji. Trudno to zrozumieć nawet Austriakom, którzy uważają to za zamach na demokrację, choć skłonni są usprawiedliwić wszystko kłopotami gospodarczymi. Kiedy się przegląda prasę, można zrozumieć, że nie tylko przyczyny ekonomiczne podyktowały ten krok ministerstwa. Popularny, ale daleki od postępowości „Kurier” zatytułował przecież swoją relację o zajęciach na Uniwersytecie wymownym sloganem: „Importowany niepokój”.

Któż go wywołuje?

„Są to przede wszystkim studenci greccy i irańscy (artykuł napisany był jeszcze przed upadkiem junty w Grecji — K.F.), którzy mogliby w bardziej umiarkowany sposób demonstrować opozycyjne nastawienie do systemów politycznych w ojczyźnie, na skutek czego zmuszeni są studiować za granicą. Przybyli przecież do Wiednia licząc nie tylko na to, że nasza demokracja zapewni im, tak bardzo poszukiwane przez nich, swobody polityczne.”

Ich obowiązkiem jest poznanie także naszych reguł gry. Kto chce studiować, musi posiadać akademicką dojrzałość. Wiedzieli o tym, gdy wybierali się do Wiednia. Trzeba im to powiedzieć, zamiast wspomagać ich w rozruchach.”

Choć wyższe uczelnie utrzymywane są za pieniądze przeciętnych zjadaczy chleba (16 procent podatku przy każdym zakupie) wiedeńska ulica żyje własnymi sprawami. Ludzie mają inne, bezpośrednie kłopoty. Na imię im: inflacja, która po podwyżce cen na ropę naftową, boleśnie uderzyła we wszystkich. Niektórym przywodzi to na myśl czasy ponurego kryzysu lat trzydziestych.

Cóż z tego, że barwne plakaty nawołują do walki z inflacją? Cóż z tego, że

ŁODZIANIE 1974

Uzyskanie rozgłosu i pożyteczności poprzez uprawianie prozy o tematyce wojenno-okupacyjnej wydaje się być zadaniem łatwym do realizacji. Znacznie natomiast trudniej zdobyć uznanie, kwitujące myślową i literacką odkrywczosć. I jedno i drugie jest udziałem Wacława Bilińskiego, autora siedmiu tomów prozy, poświęconych rozrachunkom moralnym z doświadczeniami wojny i lat kształtowania się nowej rzeczywistości w okaleczonym przez wojnę świecie.

Biliński należy do generacji „kolumbów” i to nie tylko z racji zbieżności metrykalnych (urodził się bowiem 17 stycznia 1921 roku we Lwowie), ale również z uwagi na wspólnotę problematyki, tak uporczywie w twórczości tego pokolenia powracającej. Dodatkowym czynnikiem inspirującym są tu bez wątpienia także przeżycia z okresu służby przyszłego pisarza w Ludowym Wojsku Polskim w latach 1944–1946. Później pracował on także w przemyśle, w prasie (był m. in. redaktorem naczelnym naszego tygodnika) i w Polskim Radio. Debiutował w 1951 r., ale początek właściwej drogi twórczej wyznacza „Szósta bateria” (1953, 1954, 1973), po której przyszły: „Opowiadania” (1954), „Bój” (1954, 1964, 1973), „Lato po wojnie” (1960,



WACŁAW

BILIŃSKI

1964), „Nagrody i odznaczenia” (1966), „Los i łut szczęścia” (1971). Ponadto dodać należy tom reportażu „Szkice do portretu” (1969), album „Łódź, jaką znam” (1963), tłumaczenia, audycje radiowe, publicystykę. „Nagrody i odznaczenia” zostały też zekranizowane w reżyserii Jana Łomnickiego.

Proza Bilińskiego łączy rzeczowość stylu (i kryjącą się za tym rzetelność faktograficzną) z dociekliwością precyzyjnej obserwacji psychologicznej, obserwacji zachowań ludzkich w sytuacjach konfliktowych, napiętych, sprawdzających człowieka. Biliński nie zamazuje konfliktów, nie osłabia ich holdowaniem pociesycielskim teozem, dostrzega wpływ zróżnicowanych dyspozycji osobistych, charakterologicznych na stosunki między ludźmi, uwikłanymi przez role społeczne, sytuację polityczną, w dziełach przeobrażenia. Ambitna problematyka polityczna nie odbiera powieściom Bilińskiego artystycznego uroku, twórczego przez subtelny dramatyzm narracji, ocierającej się o sensacyjność, a prowadzonej z klasycznym niemal rygiorem. „Jest to twórczość szlachetniejsza w swej powściągliwości — pisał niedawno na łamach „Odgłosów” Jerzy Tynecki — niż się to na pierwszy rzut oka dostrzega, będąc pochłoniętym jej znakomicie poprowadzoną fabułą”.

Jeśli misją pokolenia literackiego jest danie wyrazu własnemu widzeniu świata, to pisarstwo Wacława Bilińskiego wymóg ten zaspokaja, a przecie przyszło mu zmierzyć się z losem wyjątkowo zawikłanym i okrutnym, „żądającym” od pisarza przenikliwości i krytycyzmu. Twórczość Bilińskiego ma za sobą nie tylko aprobatę czytelników (i widzów), wzrastającą ciekawość krytyki, ale także uznanie, wyrażone w nagrodach Ministra Kultury i Sztuki i Ministra Obrony Narodowej oraz w przyznanych mu odznaczeniach państwowych. Sądziemy zatem, że w imieniu szerokiej rzeszy miłośników dobrej literatury rekomendujemy kandydaturę łódzkiego pisarza.



HENRYK

CZYŻ

Jest dyrygentem i kompozytorem. Pochodzi z Grudziądza. Studia muzyczne ukończył w Poznaniu w tamtejszej Państwowej Wyższej Szkole Muzycznej. U W. Biedzińskiego studiował Henryk Czyż dyrygenturę, a u T. Szeligowskiego — kompozycję. Studia ukończył w 1952 roku.

Swoją pracę dyrygencką rozpoczął w Poznaniu przed 25 laty. Był też dyrygentem Wielkiej Orkiestry Symfonicznej Polskiego Radia w Katowicach. W 1957 roku objął w Łodzi kierownictwo artystyczne i dyrygenturę w Filharmonii. W Łodzi pracował do 1960 roku. Później przeniósł się do Warszawy, a następnie otrzymał katedrę dyrygentury w Państwowej Wyższej Szkole Muzycznej w Krakowie.

Od 1956 roku Henryk Czyż zaczyna dyrygować zagranicznymi orkiestrami symfonicznymi. Występuje niemal na wszystkich estradach Europy i obu Ameryk. W 1970 roku został generalnym dyrektorem muzycznym w Düsseldorfie. Ostatnio wygłosił jego zagraniczny kontrakt i Henryk Czyż jest związany wyłącznie z Filharmonią Łódzką, w której od 1972 roku ponownie piastuje stanowisko kierownika artystycznego. Będzie też nadal występował na zagranicznych estradach.

Henryk Czyż jest nie tylko znakomitym dyrygentem, cenionym szeroko w kraju i za granicą. Ostatni występ Filharmonii Łódzkiej w Warszawie — w ramach „Panoramy Trzydziestolecia” — był niezwykle ciepło przyjęty przez publiczność i krytykę. Przy tej okazji krytycy wysoko ocenili dyrygencką działalność Henryka Czyża. Ale Henryk Czyż jest również kompozytorem. Ma w swoim dorobku muzykę do filmu, sztuk teatralnych, muzykę rozrywkową i pieśni masowe. Do wybitniejszych kompozycji należy, powstały w 1948 roku „Tryptyk”, „Diversimento” z 1950 roku. Skomponowana w tym samym czasie „Etiuda” oraz w dwa lata później „Rondo” na fortepian i orkiestrę. W 1949 roku Henryk Czyż skomponował utwór kameralny „Kwartet na instrumenty dęte”, a w 1962 musical „Białowłosa”. Ostatnio przygotował operę muzyczną do utworu Sławomira Mrożka „Kynolog w rozterce”.

Henryk Czyż wydał niedawno książkę pt. „Ucieczka spod klucza”. Książka ta ma ukazać się również w przekładzie na język angielski i szwedzki. Obecnie dyrygent i kompozytor pracuje nad nową książką.

Filharmonia Łódzka pod kierownictwem Henryka Czyża znalazła się wśród czołowych zespołów kraju, a jego udział w wielu koncertach zagranicznych szeroko rozstawił Łódź po świecie. Nie tak dawno Henryk Czyż prowadził koncert w Paryżu, inaugurując działalność nowo wybudowanej sali koncertowej z widownią obliczoną na 4 tys. słuchaczy. Pod kierownictwem Henryka Czyża Filharmonia Łódzka nagrała swoją pierwszą płytę z muzyką Karola Szymanowskiego.

Wśród znawców książki i bibliofilów postać Michała Kuny jest szczególnie znacząca. Trudno byłoby w krótkiej nocy zliczyć wszystkie inicjatywy i publikacje, których twórcą był właśnie Michał Kuna.

Jego działalność bibliofilską i biblioteczną związana jest od lat z dwiema instytucjami, które we współczesnej kulturze Łodzi mają ogromne znaczenie i rangę. Pierwsza to Biblioteka Uniwersytecka, gdzie Michał Kuna był przez wiele lat wicedyrektorem, a obecnie pełni odpowiedzialną funkcję kustosa zbiorów. Druga — to Łódzkie Towarzystwo Przyjaciół Książki, będące w prostej linii kon-

tynuatorem Towarzystwa Bibliofilskiego, powstałego w Łodzi jeszcze w roku 1927.

Obecnie Michał Kuna jest prezesem Towarzystwa i ta jego działalność jest kontynuacją inicjatyw Jana Augustyniaka i Przemysława Smolika.

Pisaliśmy wielokrotnie na łamach „Odgłosów” o drukach notujących fakty kulturalne i zjawiska, przypominających postacie i przedsięwzięcia. Prawie zawsze w kontekście tych zdarzeń przewijało się nazwisko Michała Kuny.

Energiczny i zawsze pełen pomysłów był u początków wszystkich ciekawych przedsięwzięć. Miłośnik i znawca pięknej sztuki ekslibrisu, historyk kultury, bibliofil, człowiek ocalający od zapomnienia tradycje i postacie łódzkiej kultury.

Z jego to inicjatywy Łódzkie Towarzystwo Przyjaciół Książki wydało w pięknej bibliofilskiej szacie szereg unikalnych druków, że choćby wspomniemy pierwodruk wiersza o książce K.I. Gałczyńskiego, czy unikalne wydanie trzech wersji utworu W. Majakowskiego „Poeta robotnik”. Ostatnio LTPK wydało łódzki poemat Mariana Piechała, którego fragmenty publikujemy w tym numerze. Z jego to inicjatywy LTPK podjęło publikację „Listów bibliofilskich” — wydawnictwa, którego wartości nie sposób przecenić, notującego tradycje i dzień dzisiejszy łódzkiego bibliofilstwa.



MICHAŁ

KUNA

Michał Kuna jest także współautorem (razem ze Stanisławem Kaszyńskim) niezwykle cennej bibliografii łódzkich pisarzy. Praca ta nie ukazała się co prawda, ale skromny jej fragment w postaci bibliografii Stanisława Czernika wydano w Ostrzeszowie.

Właśnie Michał Kuna — prezes i inicjator działań LTPK, zasługuje jak mało kto, na tytuł Łodzianina — już nie roku, ale po prostu Łodzianina. To jego m. in. zasługa, że to niewielkie grono bibliofilów stanowi drożdże kulturalnego fermentu, że owocują w Łodzi piękne bibliofilskie pasje. Są to działania — u których początków zawsze jest obecny Michał Kuna — świadectwem kultywowania starych tradycji, świadectwem szacunku dla kulturalnej przeszłości miasta.

Prof. dr habil. Karol Dejna urodził się 10 listopada 1911 roku w Borkach Wielkich koło Tarnopola. Po ukończeniu w r. 1935 studiów filologicznych w Uniwersytecie Jana Kazimierza we Lwowie pracował jako nauczyciel w jednym z tamtejszych gimnazjów. W 1938 r. ogłosił rozprawę „Podolsko-wołyńskie pogranicze językowe”. Podczas wojny brał udział w walkach wyzwoleńczych II Armii Ludowej Wojska Polskiego, a od r. 1945 pracuje w Uniwersytecie Łódzkim.

W uczelni tej przeszedł wszystkie szczeble awansu naukowego: w 1947 uzyskał doktorat, a w 1951/52 habilitację, w 1949 został adiunktem, w 1951 zastępcą profesora, w 1954 profesorem nadzwyczajnym, w 1962 — profesorem zwyczajnym. Pełnił też szereg odpowiedzialnych funkcji kierowniczych w UL i w ruchu naukowym. Był dziekanem-organizatorem Wydziału Filologicznego, następnie prorektorem, a obecnie jest wicedyrektorem Instytutu Filologii Polskiej i kierownikiem Zakładu Historii Języka Polskiego i Filologii Słowiańskiej. Uczestniczył w pracach Sekcji Studiów Uniwersyteckich Rady Głównej Szkolnictwa Wyższego, Polskiego Towarzystwa Językoznawczego, Komisji Językowej i Komisji Słowiańszczyzny Polskiej Akademii Umiejętności, a później w analogicznych Komitetach jej kontynuatorki — Pol-

Jak zwykle, tym razem po raz siódmy, w świątecznym numerze „Odgłosów” ogłaszamy konkurs—plebiscyt pn. „Łodzianie 1974”. Jego zasady znane są naszym starym czytelnikom, ale warto przecież przypomnieć, że corocznie typujemy 10 kandydatów do zaszczytnego tytułu najpopularniejszego łodzianina roku kierując się ich wkładem w rozwój miasta i kraju, ich zaangażowaniem społecznym, ich dokonaniem istotnymi dla narodowej gospodarki i kultury. Jest rzeczą oczywistą, że tak zestawiona lista pretendentów nie może być doskonała ani pełna; jest jednakże na tyle reprezentatywna, że orientuje w poczynaniach ludzi szczególnie dla miasta zasłużonych.

Sylwetki kandydatów prezentowane na tej kolumnie będą pomocne naszym Czytelnikom przy wyborze. Pragniemy przypomnieć, że każdy ma prawo wypowiadać trzech pretendentów z ogłoszonej tu listy, a o zwycięstwie kandydata rozstrzygnie ilość oddanych na niego głosów. (Czytelnicy zakreślają na załączonym kuponie plebiscytowym znak X obok wybranych przez siebie nazwisk kandydatów). Ponieważ powodzenie naszego plebiscytu zależy jest od udziału Czytelników zachęcamy wszystkich do oddania swego głosu. Będzie to dla nas nie tylko potwierdzeniem społecznego rezonansu naszej inicjatywy, ale też jednocześnie dowodem, że Czytelnicy „Odgłosów” identyfikują się z postawami reprezentowanymi przez kandydatów na Łodzianina Roku.

Zwycięzcy w plebiscycie otrzymają od nas pamiątkowe talerze metalowe z herbem miasta. Uczestnicy głosowania otrzymają wartościowe nagrody, które rozlosujemy wśród wszystkich nadawców kuponów. Będą to:

- Nagroda I — RADIOODBIORNIK TRANZYSTOROWY
- Nagroda II — APARAT FOTOGRAFICZNY
- Nagroda III — ZEGAREK NA RĘKĘ
- oraz 5 wyróżnień książkowych

Wypełnione kupony plebiscytowe prosimy nadsyłać na adres naszej redakcji do 1.II.1975 r. w kopertach z napisem: Łodzianie 1974.

O wynikach plebiscytu i nagrodach za udział w konkursie poinformujemy naszych czytelników w jednym z numerów marca-wych w przyszłym roku.

skiej Akademii Nauk. Z jego osoba związany jest nierozłącznie rozwój pionu humanistycznego w Łódzkim Towarzystwie Naukowym, którego członkiem został w 1949 r., a potem objął stanowisko sekretarza i wreszcie przewodniczącego Wydziału I ŁTN.

Płon czterdziestoletniej pracy badawczej prof. Dejny zajmuje wybitne miejsce w naszym językoznawstwie, zwłaszcza w dialektologii i w slawistyce. Należy on do grona tych zna-

śców trzeba, kilka tomów liczący „Atlas gwarowy województwa kieleckiego” (1962-1968) i „Dialekty polskie” (1973) — syntezę całości polskich cech dialektalnych, bliżej już czytelnikom naszym prezentowaną („Odgłosy”, 1974, nr 49). Po gruntownym przebadaniu regionu kieleckiego prof. Dejna podjął obecnie trud opracowania językowej swoistości Ziemi Łódzkiej. Centralne położenie naszego regionu, sąsiadującego z Mazowszem, Wielkopolską, Małopolską i Śląskiem, czyni Ziemię Łódzką terenem niesłychanie interesującym pod względem wielorakich powiązań dialektalnych.

Prof. dr habil. Karol Dejna posiada kilka wysokich odznaczeń państwowych, m.in. Krzyż Oficerski Orderu Odrodzenia Polski, Medal Komisji Edukacji Narodowej, a w roku bieżącym za monografię „Dialekty polskie” otrzymał Nagrodę I stopnia Ministra Nauki, Szkolnictwa Wyższego i Techniki. Proponując kandydaturę prof. Dejny do zaszczytnego tytułu „Łodzianina Roku”, czynimy to w przekonaniu, że Uczeń prof. Stieberta i kontynuator cennych tradycji polskiego językoznawstwa, dobrze zasłużył się naszemu miastu i jego uniwersyteckiej uczelni.



KAROL

DEJNA

komitych polskich uczonych, którzy wywodzą się z kadry pedagogicznej gimnazjów typu humanistycznego, już zresztą wówczas naukowo aktywnej, a która w Polsce Ludowej zasiłała nowo powstające ośrodki akademickie.

W pierwszym etapie pracy naukowej prof. Dejna twórczo wykorzystał doświadczenia wieloletniego pobytu na kresach, terenach styku kulturowego, a więc i językowo ciekawych, zróżnicowanych. Świadectwem tych obserwacji było wymienione już studium z roku 1938, traktujące o pograniczu podolsko-wołyńskim, a także „Gwary ukraińskie Tarnopolszczyzny” (1957), rodzinnej ziemi autora oraz prace o języku ukraińskim.

Spośród wielu innych publikacji wymienić należy sporo prac szczegółowych, opisujących regionalne cechy językowe, jak np. „Polsko-laskie pogranicze językowe na terenie Polski” (Cz. I — 1951, cz. II — 1953), „Gwara kucowska na tle innych gwar czeskich” (1955), „Urządowe i gwarowe postacie nazw miejscowych w okolicach Głupczyce i Raciborza” (1955), „Terenowe nazwy śląskie” (1956), „Gwara Milna” (1956) i szereg innych, których z braku miejsca nie sposób tu wyliczyć.

Na czele dorobku prof. Dejny umie-



MICHAŁ

GAŁKIEWICZ

Prezentować w kilku słowach sylwetkę artysty tak wszechstronnego, czynnego, tak dalece zaangażowanego w swoją pracę twórczą i w życie artystyczno-społeczne — nielatawa i niewdzięczna to rola dla piszącego, tym bardziej że i same-

MAGAZYN

ODCŁOSY

CZY MASZ ZDOLNOŚCI ORGANIZACYJNE?

Często mówi się, że jakaś czynność należy do funkcji organizacyjnych, podczas gdy w rzeczywistości jest to czynność administracyjna. Organizowanie nie polega bowiem na samym tylko utrzymywaniu w sprawnym funkcjonowaniu organizmu, działającego w ramach raz ustalonego porządku. Jego istota — to właśnie samo ustalanie takich porządków, regulujących działanie rozmaitych mechanizmów gospodarczych i przemysłowych. Dlatego też funkcje organizatorskie są zawsze funkcjami kierowniczymi, wymagającymi pewnej kreatywności. Organizator musi bowiem umieć wiązać oddzielne zjawiska w jedną całość, wyodrębniać spośród nawału problemów kompleksy zagadnień, wykrywać rządzące nimi prawa, ujawniać niewidoczne dla oka struktury i powiązania, wyznaczać kryteria i mierniki i ustalać hierarchie ważności poszczególnych spraw.

Istnieje wiele metod, umożliwiających ocenę umiejętności organizacyjnych. Jedną z nich polega na poddawaniu ocenie samych tylko „czystych” zdolności organizacyjnych, wolnych od wszelkich „należności” od wszelkich efektów doświadczenia i rutyny, nabytych w jakiejś określonej dziedzinie. Metoda ta posługuje się do tego celu tzw. „grami problemowymi”, stanowiącymi nieco wyabstrahowane modele problemów. Na przykładzie jednej z takich gier, który przedstawiamy poniżej. Czytelnik może sam wypróbować i zmierzyć swój własny zmysł organizacyjny.

W przykładzie tym przyjmujemy, że zachodzi konieczność dokonania kontroli organizacyjno-personalnej w zakładzie pracy średniej wielkości. Bezpośrednią przyczyną tej kontroli są niedociągnięcia w pracy jednego z członków kadry kierowniczej, który nazywa się Kowalski. W ostatnim czasie Kowalski nie wykonał całego szeregu zadań, które mu powierzono. Trzeba sprawdzić, czy to wina. Czy przełożonego Kowalskiego, który może nierównomiernie porozdzielał zadania między swymi współpracownikami, obarczając zbytnio naszego „bohatera”, czy też samego Kowalskiego, który nie chce, lub nie umie wykazać dostatecznej inicjatywy i zmysłu organizacyjnego.

Dziś po południu Kowalski ma znowu załatwić cały szereg spraw. Lecz czy je załatwi? W ostatnim okresie wielokrotnie usprawiedliwiał on się tym, że powierzone mu zadania „przekraczają możliwości jednego człowieka”. Kto zatem wie, czy i tak to się znowu nie powtórzy? Toteż przełożony Kowalskiego postanawia zbadać osobiście całą sprawę. Chce on sprawdzić, czy istnieją obiektywne możliwości załatwienia w ciągu jednego popołudnia wszystkich spraw, którymi obarczona Kowalskiego. Oczywiście, nie może on poświęcić całego dnia na taką

kontrolę. Postanawia więc posłużyć się planem miasta i na podstawie tego planu obliczyć, ile czasu Kowalski musiałby przeznaczyć na te zajęcia, ustalając właściwie ich kolejność. Na kontrolę przełożony postanawia zużyć co najwyżej 20 minut.

ZADANIE

W czasie od godz. 13.30 do 19.00 Kowalski ma załatwić następujące sprawy:

- uwierzytelnić w notariacie odpis umowy;
 - spotkać się na dworcu z klientem, który przejeżdża pociągiem przez miasto, przy czym pociąg ten zatrzymuje się na dworcu tylko 2 minuty, od godz. 18.27 do 18.29;
 - osobiście odebrać ważną teczkę z aktami z filii przedsiębiorstwa;
 - przeprowadzić z gmachu zarządu firmy rozmowę telefoniczną z klientem, który ma telefonować ze Szwajcarii między godz. 17.00 i 17.30;
 - obejrzeć w sklepie branzowym i ocenić nowy typ czcionek do maszyn do pisania;
 - nadać na poczcie ekspres polecony;
 - omówić w biurze kontrahentów szczegóły nowego zamówienia;
 - spotkać się o 18.10 w kawiarni z jednym z przedstawicieli firmy, z którym jest umówiony;
 - kupić w księgarni branzowej podręcznik.
- Na załączonym planie sytuacyjnym zaznaczono zarówno wszystkie wyżej wymienione miejsca jak i wszelkie drogi, wiodące do nich. Podano również czas, jaki pochłania przebieg pieszego poszczególnych dróg. Kowalski mógłby również skorzystać z samochodu, który posiada; wtedy czas ten skróciłby się do jednej trzeciej. (Obliczając poszczególne odcinki

Dalszy ciąg na str. 2
(★★)

ANDRZEJ SROCZYŃSKI

NIEBIESKI KASK



Od samego rana czułem się źle. Bolała mnie głowa i wszystkie kości. Zarł mnie bliżej nie zdefiniowany niepokój. I to wszystko spadło na mnie w najfajniejszy dzień tygodnia — w sobotę!

Przejeżdżałem z trudem, na zwolnionych obrotach, do południa. „Trzeba zjechać na bazę”. Postawiłem bryczkę na swoim miejscu i polazłem do kantorka kierownika transportu.

— Coś tak wcześnie zjechał? — Kiepsko się czuję — odpowiedziałem — Masz pan kartę drogową.

— Rozpisana? — A jak! No to ja idę do domu. Do widzenia — machnąłem ręką. Wszedłem do szatni i zacząłem się przebierać.

— Te szczył, na czym dziś jeździłeś? — zapytał mnie Janek, kierowca jedynego zuba jakiego był na naszej bazie.

— Na zwrotach opakowań. — Toś trafił parę groszy. Dolił się do pół metra.

— Nie. Idę do chaty.

— Jak tam chcesz — powiedział z udaną obojętnością, bo był już trochę na mnie zły. Zamykałem drzwi, kiedy krzyknął:

— Te, kierowco! A wodę spuściłeś? Mróz bierze. Blok ci się rozpieprzy i będzie bał.

— Dobra, dobra. Spuściłem.

Powoli dowlokłem się do domu.

— Mamu, chory jestem.

— Co ci synu?

— Nie wiem. Wszystko mnie boli.

— Zjedz obiad i połóż się.

Ległem na tapczanie z termometrem pod pachą. Mimo przykrycia zaczęło mną trząść. Przed oczyma latały pomarańczowe koła, kółka, kółeczka i dla odmiany zrobiło mi się gorąco.

— Dam ci aspirynę i herbatę z sokiem malinowym. Pokaż termometr. Trzydzięci osiem i osiem. Złe chłopce — stwierdziła mama. Kiedy wyszła z pokoju zamknąłem oczy i wstąpiłem się w swoją chorobę i cykanie zegara. W głowie zaczęło mi się mącić i ogarnął mnie żal. Szkoda mi się zrobiło zmarnowanej soboty i zmarnowanej randki z Ireną. Taka klasa dziewczyna! Medyczka. Poznałem ją na wieczorku w akademiku. Podobała mi się bardzo. Skłamałem, że studiuję polonistykę. Wstydziłem się przyznać, że jeżdżę ze śmieciakami, bo kiedy odprowadzaliśmy ją z Romanem, powiedziała, że tata profesor-chirurg i mama profesor francuskiego, bardzo zwracają uwagę na dobór jej

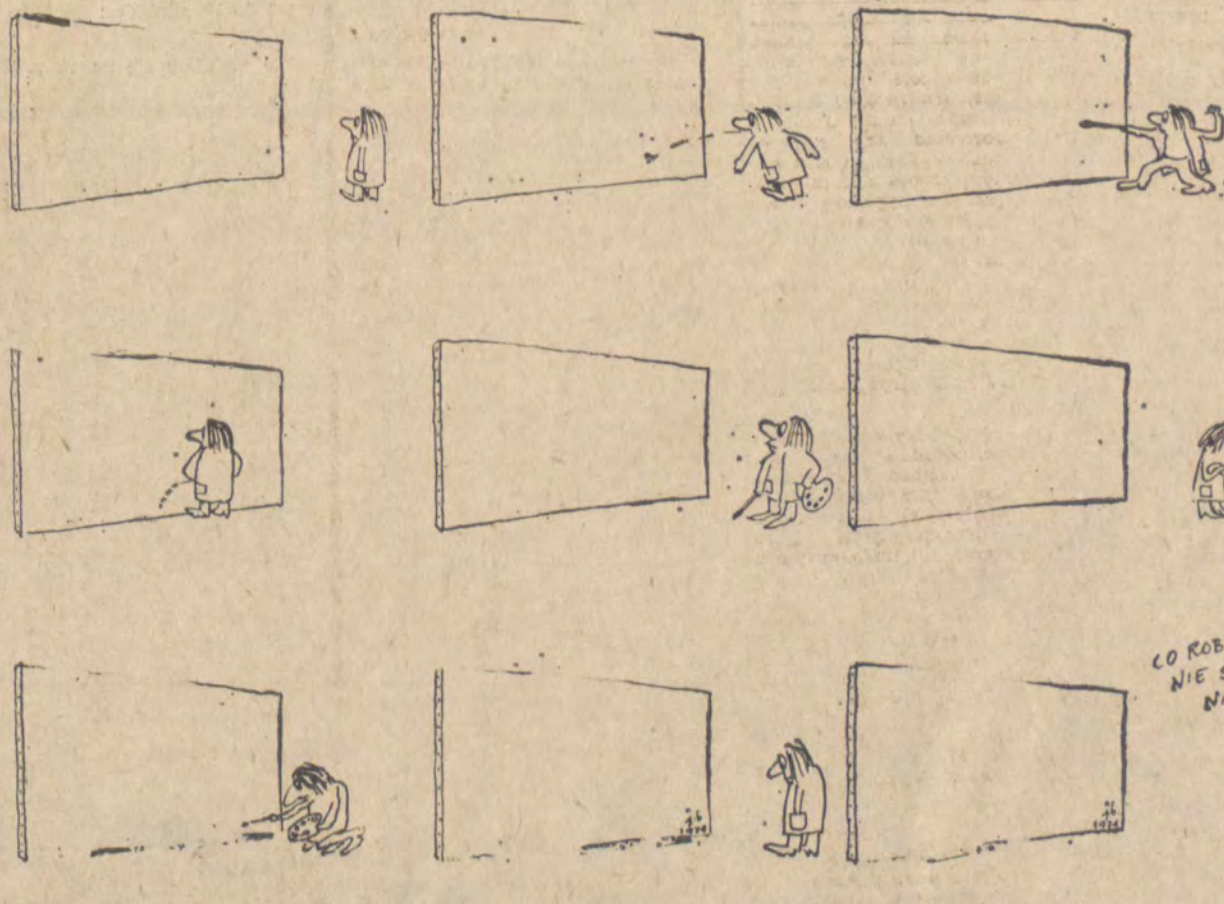
znajomych. Więc co miałem zrobić? Złagałem i już. Nawet jej nie pocałowałem — przypomniało mi się. No, mam ci ja pecha. Dziś wziąłbym ją gdzieś na tańce do lokalu i pewnie coś by z tego było. A tak najprawdopodobniej Roman ją zerwie. Bezcelny typek. Chciał, żebym mu za dużą gorzałkę odstąpił dziewczynę. Powiedziałem, że może sobie swoją wódkę wlać w tyłek. Nie obraził się nawet. Sukinsyn, mimo wszystko go lubię. Zna się na samochodach jak mało kto.

— Masz herbatę, wypij — stała nade mną mama bardzo zatroskana. Uśmiechnąłem się do niej, ale wypadło to trochę blade.

Zamknąłem oczy. Że też muszę jeździć w tej gównianej instytucji. Chciałbym na rajdach, wyścigach. Zobaczyłem siebie w niebieskim kasku za kierow-

Dalszy ciąg na str. 2
(★★)

JACEK BROMSKI - STORY



CO ROBISZ, DOKTORZE...
NIE SPĘWA NA MNIE
NATCHNIENIE...

JACEK BROMSKI

TADEUSZ GICGIER

FRASZKI

BOHATER

Dzieckiem w kolebce on łeb urwał hydrze, ale na starość uległ jednej wydrze.

CZCICIEŁOM
DAWNYCH CZASÓW

Zważcie, że życie w surowej mądrości, patrzących w przeszłość — pozbawia przyszłości.

CO LEPSZE

Lepsza jest mierność niż zbytnie dostatki, bo za dostatki płaci się podatki.

C.D.N.

Gdy los utrafię mi nie skapi, pytam, czy dalszy ciąg nastąpi?

CURRICULUM VITAE

Przez pierwszą połowę życia wszystko robił dla przytycia; przez tę drugą był, gdy przytył, w odchudzaniu niespożyty; jedno szło, a drugie nie szło — i tak mu to życie zeszło.

[illegible]

(★)

A teraz, Czytelniku, przypuśćmy, że to Ty jesteś przełożonym Kowalskiego. I że to Ty postano-

[illegible]

A teraz weź, prosimy, kartkę papieru i zapisz na niej jeszcze raz, jeden po drugim, wszystkie „przystanki” w wybranej przez Ciebie kolejności, jednocześnie oznaczając każdy z nich liczbą podaną w optymalnym rozwiązaniu. Otrzymasz w ten sposób kolumnę liczb (dajmy na to, 1, 5, 9, 7, 3, 4, 6, 2, 12, 8, 11, 13). Liczby te wpisz następnie do tabeli 1, w rubryce „Własne wyniki!”. W wyniku tego w tabeli po lewej stronie znajdują się liczby optymalnego rozwiązania, a po prawej – liczby rozwiązania znalezionego przez Ciebie. Każdemu „przystankowi” odpowiada więc teraz para liczb, z których jedna pochodzi z rozwiązania optymalnego, a druga – z

Nie nadajesz się na stanowisko kierownicze.

(★)

— Na wojnie dzieją się różne

ANDRZEJ SROCZYŃSKI

B. K.



WŁADYSŁAW KRAKUS

ŁODZIANIE 1974

mu twórcy nie odda on pełnej sprawiedliwości. Galkiewicz urodził się w 1932 roku w Zgierzu. Studiował w PWSSP w Łodzi w latach 1951—1956. Mimo iż ukończył szkołę łódzką, która nie ma wydziału rzeźby jest rzeźbiarzem i to o bardzo szerokim profilu działalności. Zajmuje się więc rzeźbą kameralną i monumentalną, podejmuje problemy, które można by nazwać najogólniej „rzeźbą a architekturą”; para się wreszcie tym, co przywykliśmy u nas nazywać „architekturą wnętrz”, a więc przestrzenną aranżacją pomieszczeń zamkniętych. Zajmuje się również kowalstwem artystycznym. Bierze na warsztat tworzywa różne — pracuje w kamieniu, w drzewie, w betonie, w ceramice, w metalu. Miał siedem wystaw indywidualnych (w latach 1962—1971). Brał udział w licznych plenerach rzeźbiarskich i wystawach zbiorowych w kraju i zagranicą, otrzymując liczne nagrody i wyróżnienia. Lista dokonanych przezeń realizacji stworzyłaby obszerny indeks — przypomnijmy więc tylko kilka z nich: Muzeum Czynu Partyzanckiego w Polichnie (rzeźba i metaloplastyka), Muzeum Bitwy nad Bzurą (rozwiązanie rzeźbiarsko-architektoniczne), Muzeum Historii Ruchu Rewolucyjnego w Łodzi (kowalstwo artystyczne, płaskorzeźba), Cmentarz Żołnierzy Radzieckich w Rakowie (rozwiązanie rzeźbiarsko-architektoniczne), Zakłady Przemysłu Włókienniczego „Polanil” w Łodzi (rzeźba, płaskorzeźba, formy przestrzenne, kowalstwo), elementy rzeźbiarsko-architektoniczne na terenie cementowni „Przyjaźń” w Wierzbicy, Pomnik Pomordowanych przez Wehrmacht w 1939 roku w Nieświeżu, rzeźby parkowe dla miasta Łodzi.

Już sama tematyka prac wskazuje na stosunek artysty do świata, jego spraw i jego problemów. Nie jest to stanowisko bierne. Galkiewicz jest artystą obdarzonym ogromną pasją i energią twórczą, człowiekiem, który pragnąłby, aby świat, który nas otacza, był piękniejszy, a przez to i lepszy. Dlatego może tak obsesyjnie powraca do tematyki martyrologicznej i dlatego równocześnie jest współinicjatorem pierwszej w kraju Galerii Rzeźby Plenerowej w Łodzi, dlatego walczy o to, by rzeźby znalazły się wśród ludzi, w parkach, na osiedlach. Niestrudzony w swej pracy rzeźbiarza i społecznika (w tym najlepszym tego słowa znaczeniu) wierzy, że sztuka władna jest zmienić i uszlachetnić człowieka i jego życie codzienne.

Na zakończenie godzi się dodać, że w tej chwili Galkiewicz walczy o stworzenie salonu indywidualnych wystaw rzeźbiarskich na Wydziale Budownictwa i Architektury Politechniki Łódzkiej. Można być pewnym, że i ta inicjatywa uwieńczona zostanie sukcesem.

Jerzego Gramsza i mgr inż. Wojciecha Jarosza wpisany został do Złotej Księgi dokonań polskiej nauki.

Doc. Haś jest łodzianinem z wyboru. Przyjechał do naszego miasta na studia w Politechnice Łódzkiej i związał się z uczelnią na trwałe. Już jako młody asystent opracował metodę otrzymywania dwuskładu molibdenu, suchego smaru, który jest wykorzystywany w silnikach lotniczych. Otrzymał za nią nie tylko patent, promowany został na doktora. Dalszym krokiem w jego naukowej karierze była praca habilitacyjna, w której zaproponował nową, własną metodę obliczania współczynnika tarcia wywołując jednocześnie, że dotychczasowe analizy procesu tarcia oparte są o wiele niesłusznych założeń.

Dopiero wówczas powrócił mógł do pracy nad wynalazkiem, który przyniósł mu prawdziwy rozgłos. Metoda azotonasiarczania gazowego jest bowiem niezwykle prosta i da się wprowadzić do procesu produkcyjnego po niewielkiej przeróbce urządzeń stosowanych dotychczas przez przemysł, który korzystał z kłopotliwej, a nawet niebezpiecznej dla pracujących, technologii cyjanonasiarczania. Metodą doc. Hasia wprowadza już wiele zakładów, m.in. Fabryka Maszyn Jedwabniczych MAJED i Włókiennicze Zakłady Maszyn Włókienniczych WIFA-MA. Jest on tam człowiekiem dobrze znanym, gdyż współpracował z tymi zakładami niemal od początku swojej naukowej kariery.

Trzeba przyznać, że mimo młodego wieku, doc. Haś ukończył bowiem 44 lata, jego dorobek naukowy i działalność wynalazcza mogą zaimponować. Pasja badawcza każe mu poruszać się na dziedzińcu, który na pierwszy rzut oka wydaje się wprost nieosiągalny. Ale kto nie chce być epigonem, kto nie zgadza się na wędrowną ścieżkę wydeptaną przez innych, musi podejmować ryzyko, bez którego nauka nie mogłaby się rozwijać.



JADWIGA HRYNIEWIECKA

Nie ma chyba łodzianina, który by nie słyszał o wielu zagranicznych sukcesach Reprezentacyjnego Zespołu Tańca Związków Zawodowych Włókienniczy przy ZPB im. Harnama w Łodzi, powszechnie znanego po prostu jako „Harnam”. Wymieniając kolejne nagrody otrzymywane na różnych festiwalach tańca ludowego, nie można pominąć jednak osoby, która jest autorem błyskotliwej kariery „Harnamowców” — Jadwigi Hryniewicz. Związana jest z zespołem od momentu jego narodzin, to jest od roku 1947, kiedy to grupa teatralna ze świetlicy fabrycznej przygotowała inscenizację „Nadziei” Heljermansa, a później „Matki” Gorkiego. W obu przedstawieniach wprowadzono wstawki taneczne. Choreografię przygotowała wówczas właśnie Jadwiga Hryniewicz. Od tego czasu została w „Harnamie” i po dzień dzisiejszy jest kierownikiem artystycznym zespołu.

Otrzymała staranne wykształcenie choreograficzne w kraju i za granicą. Opracowała wiele układów tanecznych dla potrzeb teatru i opery. W ciągu swojej blisko trzydziestoletniej pracy w zespole „Harnama” wychowała wielu uczniów, którzy związali się z tańcem i sztuką na stałe. Nie od rzeczy będzie wspomnieć, że zespół „Harnama” był jednym z pierwszych zespołów tanecznych, który poważnie zainteresował się bogactwem folkloru ludowego. Taki profil zespołu utrzymany jest do dziś — dominuje taniec ludowy, chociaż przygotowuje się także kompozycje choreograficzne o innym charakterze. Wysoki poziom artystyczny, jaki prezentują tancerze-amatorzy w zespole „Harnama”, to także zasługa jego choreografa — Jadwigi Hryniewicz. „Harnam” i jego kierownictwo ma na swoim koncie szereg odznaczeń, na-

gród i wyróżnień, żeby chociaż przypomnieć przyznana w 1973 roku nagrodę zespołową I stopnia Ministra Kultury i Sztuki.

Mówi się często, że „Harnamowcy” rozstrajają podczas swoich wojaży zagranicznych imię Łodzi. Ma w tym także swój niemały udział Jadwiga Hryniewicz.



WITOLD MILLO

Kiedy w roku 1954, po ukończeniu Wydziału Architektury na Politechnice Gdańskiej, przyjechał do Łodzi, nie przypuszczał, że zostanie tu dłużej niż trzy lata. A jednak ogrom problemów, które w Łodzi, szarym i zaniedbanym mieście, trzeba było rozwiązać, zafrapował go tak bardzo, że Witold Millo został łodzianinem z wyboru. Pierwsze lata pracy zawodowej poświęcił budownictwu mieszkaniowemu. Nie były to osiedla, bo tych się jeszcze wówczas nie budowało, ale pojedyncze domy wznoszone na Bałutach. Dziś z nutą rozczuwienia wspomina tamte czasy, w których problemem był nowy układ konstrukcyjny, loggia czy nawet zwykły balkon wychodzący poza określone stereotypy. Potem przyszły nowe projekty różnorodnych obiektów. Witold Millo ma na swoim koncie zrealizowane projekty szkół, przedszkoli, laboratoriów naukowych, obiektów handlowych i usługowych, kawiarni, ośrodków wczasowych i kolonijnych, stacje obsługi samochodów, budynki przemysłowe i socjalne, ba, nawet pawilon dla drapieżników w ZOO. Ten ogromny rozrzut tematów pozwala mu, jak sam powiada, zachować świeżość spojrzenia i ustrzec się monotonii. W zawodzie architekta to niezwykle ważna i istotna sprawa.

Największą satysfakcję sprawia mu jednak praca nad obiektami kulturalnymi. Temu zagadnieniu poświęcił również pracę dyplomową w Podypłomowym Studium Planowania Urbanistycznego na Wydziale Ekonomiczno-Socjologicznym UŁ, które ukończył w 1971 roku. W roku 1959 zaprojektował przebudowę Teatru im. S. Jaracza. Jak pamiętamy, projekt zrealizowany został dopiero w 1971 roku. Obecnie Millo opracowuje projekty nowych budynków dla Teatru Nowego, Rozmaitości, Powszechnego oraz Letniego. Jest także Generalnym Projektantem przebudowy rejonu placu Wolności. W bieżącym roku Witold Millo wygrał konkurs na Łódzki Zespół Kulturalny, usytuowany w rejonie ulicy Główniej, a obejmujący Filharmonię, Galerię Sztuki i dwa kina. Trzeba tu dodać, że jego praca była jedynym zgłoszonym projektem jednoosobowego autorstwa. Swoją pracę zawodową i społeczną Witold Millo traktuje przede wszystkim jako mandat zaufania udzielony mu przez łódzkie społeczeństwo. Walka o przestrzenny kształt miasta, to nie tylko walka o dzisiejsze oblicze Łodzi. Tworzy się przecież obiekty, które przetrwają dziesiątki lat. — „Ta ogromna odpowiedzialność nie tylko nakłada na mnie wiele obowiązków, ale daje też wiele zawodowej i osobistej satysfakcji” — mówi inż. architekt Witold Millo.

Prezentując sylwetkę Leszka Skrzydła, należałoby powiedzieć: na początku był „Pstrąg”. „Pstrąg”, teatrzyk studencki, którego był on współzałożycielem (1954 rok) i aktywną duszą przez lat dziesięć z okładem, pisząc dlań teksty, reżyserując, adaptując teksty cudze, występując w roli aktora i jak to bywa w studenckich teatrzykach, w wielu, wielu jeszcze innych rolach. Praca w „Pstragu” była dla Skrzydła ważnym etapem na drodze do samodzielnej pracy reżysera, stanowiła istotny element kształtowania się jego osobowości twórczej i i-

deowo-artystycznych fundamentów jego przyszłej pracy w dziedzinie filmu. Skrzydło po ukończeniu Wydziału Filologii Polskiej na Uniwersytecie Łódzkim (1955 rok) rozpoczął pracę w Wytwórni Filmów Oświatowych, gdzie też do dnia dzisiejszego realizuje swoje ambitne i ważne w swej społeczno-politycznej wymowie dzieła.

Twórczość filmową Leszka Skrzydła można podzielić na kilka etapów, czy raczej na kilka działów. Będą to więc najpierw filmy z dziejów polskiej martyrologii, jak np. poetycki obraz „Kształt pamięci”, czy wręcz podejmujące tematykę wojenną, jak ma to miejsce w „Trzech Krzyżach Grunwaldu”. Inna grupa to filmy polityczno-społeczne, jak np. „Tysiąclecie” — film o szkołach Tysiąclecia oraz cykl filmów, których ogólny tytuł brzmi „Śladami Piastów Śląskich”. Są to monografie miast Dolnego Śląska, w których historia i współczesność splatają się z sobą, dając wyraz niełatwym problemom, które na tych ziemiach są sprawami dnia codziennego. Z tego cyklu nakręcił Skrzydło trzy filmy: „Brzeg”, „Legnica” i „Świdnica”, a obecnie przygotowuje się do dwóch dalszych monografii o Opolu i Wrocławiu.

Osobną tematykę w twórczości Skrzydła stanowią jego filmy związane z kulturą, ze sztuką. Pierwszym takim filmem był film o Teatrze Wielkim; potem pełny obraz, poezji i głębokiej refleksji nad dziełem ludzkiego talentu film o Henryku Rodakowskim i wreszcie „Palace Ziemi O-

film o Krzysztofie Kamiliu Baczyńskim. Chciałbym, żeby Skrzydło zrealizował go jak najszybciej, bowiem filmy jego są to obrazy mądre, bogate treścią i bogate prawdziwą miłością do człowieka i jego dzieła.

A.G.



WITOLD ZATORSKI

Jest aktorem i reżyserem od początku związanym z Łodzią i Teatrem Nowym. Tu ukończył (1960) PWST, tu debiutował i jako aktor, i jako reżyser. Aktorem stał się w „Juliuszu Cezarze” W. Szekspira, „Operze za trzy grosze” B. Brechta, w komedii Moliera „Grzegorz Dyndala”, „Sprawie” A. Suchow-Kobylińska, w „Burzy” W. Szekspira, w „Życiu Galileusza” B. Brechta, w sztukach E. Rostanda, C. Gozziego, C. Goldoniego, J. Słowackiego, A. Fredry...

Pierwszą samodzielną próbą reżyserską Witolda Zatorskiego była „Skłana menażeria” T. Williamsa (1967); poprzednio współpracował z Tadeuszem Mincem, przygotowując „Sen srebrny Salomei” J. Słowackiego, a także asystując przy wielu realizacjach.

Witold Zatorski jest artystą refleksyjnym, ustawicznie poszukującym. Nawet jako pedagog w łódzkiej PWST niepokojem twórczym, żarząca wszystkich i studentów, i profesorów. Widać, że każda propozycja jest głęboko przemyślana, wyważona, intelektualnie dojrzała, taka bowiem propozycja ma rację istnienia. Stąd jego przedstawienia cechuje doskonałe przygotowanie, precyzja i bogactwo artystycznej wizji. Nie ma tu miejsca na udawanie, jest bezgraniczna praca.

Tę głęboką prawdę o twórczości Witolda Zatorskiego znaleźć można we wszystkich jego spektaklach, bo i u Calderona „Życie snem”, i w „Zeglarszu” J. Szaniawskiego, w komedii A. Fredry „Damy i huzary”, w „Rewizorze” M. Gogola, w „Zemście” A. Fredry, w „Kaprysach Marianny” A. Musseta, a także w sztuce Witkacego „W małym dworku”, w „Czekając na Godota” S. Beckett, „Szczęśliwych dniach” A. Arbuzowa, czy w „Kubusiu Fataliscie” wg Diderota. W tej ostatniej pozycji Witold Zatorski pokazał się jako interesujący adaptator i autor tekstów piosenek.

Wydaje się, że niepokój twórczy, który cechuje Witolda Zatorskiego, pokaże nam, odbiorcom, jego sztuki, nową „twarz” artysty, który, bogatszy o zdobyte doświadczenia także w teatrze TV, ujawni szerokie możliwości swojej animacji teatralnej.

KAL



ZDZISŁAW HAS

Nazwisko uczonego znane jest czytelnikom „Ogłosów”, pisaliśmy bowiem w reportażu „Sukces” o wynalazku, którego jest współautorem. Opracowany przez niego „Sposób obróbki cieplno-chemicznej części maszyn stalowych i żeliwnych”, bo taki tytuł nosi zgłoszenie patentowe, okazał się rewelacją w skali światowej. Przypomnijmy, że chodzi tu o technologię azotonasiarczania gazowego, dzięki której udało się wydatnie przedłużyć żywot wielu detali maszyn. A przy tym wielokrotnie zmniejszenie tarcia uptyknęło też poważnie na ich moc, co przyniosło gospodarce narodowej oszczędności rzędu dziesiątków milionów. Nie też dziwnego, że wyłazł doc. dr h. inż. Zdzisław Haś oraz jego współpracownicy: mgr inż.



LESZEK SKRZYDŁO

biecanej” — film o architekturze łódzkich pałaców pofabrykanckich, o ludziach, którzy je budowali. I także w tym ostatnim obrazie historia zabiega się o współczesność, o niełatwe problemy zabytków. Na koniec wypada powiedzieć słów kilka o najważniejszym jak dotąd dziele Skrzydła, a mianowicie o cyklu noszącym wspólny tytuł „Biblia”. Do tej pory zrealizował Skrzydło pięć odcinków. U podstaw tej trudnej, ambitnej i, jak udowodniły liczne recenzje i dyskusje, potrzebnej realizacji leżało pragnienie zapoznania widza z istotą Biblii, z jej genezą, z jej zawartością artystyczno-ideową i konfrontacją narosłych na przestrzeni wieków wokół tego dzieła hipotez i interpretacji z aktualnym stanem badań naukowych. Twórczość Skrzydła została wysoko oceniona przez redakcję „Trybuny Ludu”, która w bieżącym roku przyznała mu specjalną nagrodę za podejmowanie tematyki społeczno-politycznej. Godzi się dodać jeszcze, że Skrzydło jest autorem monografii o łódzkich teatrzykach studenckich, zamieszczonej w zbiorowej publikacji „Teatry studenckie w Polsce” i przypomnieć, że za swoją działalność w „Pstragu” otrzymał on w 1965 roku Odznakę Zasłużonego Działacza Kultury. A plany na przyszłość? Marzy się Skrzydło

KUPON KONKURSOWY	
WACŁAW BILIŃSKI	_____
HENRYK CZYŻ	_____
KAROL DEJNA	_____
MICHAŁ GAŁKIEWICZ	_____
ZDZISŁAW HAS	_____
JADWIGA HRYNIEWIECKA	_____
MICHAŁ KUNA	_____
WITOLD MILLO	_____
LESZEK SKRZYDŁO	_____
WITOLD ZATORSKI	_____
IMIĘ I NAZWISKO	_____
ADRES	_____
ZAWÓD	_____



Fot. Archiwum

Mariana Piechala, poeta, satyryka, dramaturga, tłumacza i krytyka literackiego, nie trzeba przedstawiać bliżej łódzkiemu czytelnikowi. Biografia pisarza, jak i — co ważniejsze — jego twórczość poświadczają związki z naszym miastem licznymi i powszechnie znanymi dowodami. Urodzony w Łodzi 24 sierpnia 1905 roku, tu się wychował, uzyskał maturę w słynnym Gimnazjum Miejskim, w którego salach edukowało się wielu późniejszych ludzi pióra, nauki i polityki. Przez wiele lat mieszkał i pracował w Łodzi, sprawując funkcje kierownicze w życiu literackim, m.in. prezesa Oddziału Związku Literatów Polskich.

W okresie międzywojennym Piechal należał do sporego legionu poetów poszukujących nowych jakości literackich, po krótkim okresie przynależności do „Metora”, grupy poetyckiej, zawiązanej na gruncie warszawskim przez studiujących tam łodziaków, działał w zespole „Kwadręgi”, rzucającej poetycką rękawicę skamandrytom i awangardzie. Silny w tym ugrupowaniu kult Norwida i akcenty społeczne pozostawiły trwały ślad w całej dalszej drodze pisarskiej Piechala.

Tematyka łódzka zawsze zajmowała w jego poezji miejsce eksponowane, by wymienić tylko pierwszy tomik Piechala „Krzyk z miasta” (1929) i „Miasto nadziei” (1964) — zbiór wierszy, w całości miastu rodzinnemu poświęconych, a wydany z bibliofilskim smakiem przez Wydawnictwo Łódzkie, opatrzone ilustracjami Władysława Strzemińskiego, Karola Hillera i Stefana Wegnera oraz wstępem Stefani Skwarczyńskiej.

Tę linię poetycką kontynuuje „Ogień i popiół” (to także motywy, często w utworach Piechala obecne), obszerny poemat, pisany — według słów autora — „systemem luźnych skojarzeń pamięciowych i chronologicznych, zgodnie z rezonansową naturą wspomnień”. Jak można sądzić z fragmentów, zamieszczonych w „Kulturze”, „Życiu Literackim” i „Tygodniku Kulturalnym”, a także partii tekstu prezentowanych poniżej, swobodnej konstrukcji poematu patronuje jednak szereg rygorów, scalających poszczególne jego części. Są to zarówno rygorystyki sztuki wierszowania, konsekwentnie przestrzegane zasady stroficzne i wersyfikacyjne, jak i rygorzy tematu. Skala przedsięwzięcia „Ogień i popiół” przypomina „Kwiaty polskie” Juliana Tuwima; z pewnością też utwór Piechala zajmie poczesną pozycję w szeregu poetyckich obrazów Łodzi, wyznaczanym przez tomiki Artura Głuszyńskiego „Z mroku i dymu” (1901), Witolda Wandurskiego „Sadze i złoto” (1926), Władysława Kamińskiego „Ziemio! Ziemio!” (1936), Mieczysława Brauna „Poezja pracy” (1938) Antoniego Kasprowicza „Poemat łódzki” (1957) i in.

Przedstawiamy dzisiaj fragmenty trzech części „Ognia i popiołu”: „Ulicy Kilińskiego”, „Śródmieścia” i „Peryferii”. Są to, jak informuje poeta, „strofy wypełniające luzy pierwszej redakcji drukowanego utworu — ich numeracja wyznacza miejsce, jakie zajmują w kolejnych jego częściach”.

I. ULICA KILIŃSKIEGO

5

Przez to imperium
w cieniu kominów
między stawami
toczył się Jasień
i szeptem-szumem
nadrzeźnych topól
odmawiał co dzień
modlitwy ptasie

9

Wrzeczono wiję
nitkę z przedziwa
pedem wirowym
w pociągu z czasem
tu się ocenia
wartość człowieka
kilonetrami
wysnutych pasem

10

Czółenko splota
wątek z osnową
rytmicznie bidłem
zderzane za nim
tu się ocenia
wartość człowieka
kilonetrami
zwijanych tkanin

13

Gdy była słota
deszcz kapał z dachu
o szyby dzwonił
łomotał w rynnie
a gdy pogoda



ćwierkotał wróbel
kos swistał gołąb
gruchał przymilnie

15

Śnie jaśminowy
wskrzęś świat dzieciństwa
niech świętojańskie
baśnie się dośnią
myśl się wyświecił
śniwem w ciemności
śnieg jaśniejąca
zalsni w przedwieśniu

16

Mój pierwszy Pegaz
koń na biegunach
wprawdzie bez skrzydeł
lecz jakże lotny
dziś mnie na ziemskich
niesie Biegunach
w świat snów i chimery
równie zawrotny



MARIAN PIECHAL

OGIEN I POPIÓŁ

(fragmenty)

26



Te flag płomienie
odwiane wiatrem
rozwidniające
przyszłość daleką
to dziejorodne
energie świata
erytrocyty
naszego wieku

II. ŚRÓDMIEŚCIE

9

Tu się narodził
typ łodzermenscha
weksel prowizja
głanę i pomada
oczy dwa zera
na cyferblacie
szyto i kryto
mucha nie siada

12

Czym szakał w buszu
tym w mieście oprych
wdech wytrych majcher
dmuch i podpucha
w świętek i piątek
szopenfeldziarze
Ślepy Maks we dnie
w nocy Łaniucha

16

Wokoło rynków
żydowskie chłamy
fuchy pokątne
jelkie geszety
w stęchłych straganach
szachry koszerne
żaden szajdykies
nie był tu prefny



18

Kramola głodu
przeciw niewoli
despocie w gardle
stanęła kością
bo jakże czerni śmie
łączyć ze sobą
sprawę kartofla
z niepodległością

10

Czym jest robotnik
przy swym warsztacie
jego przykutym
doń galernikiem
a chce być wolnym
we własnym kraju
i władzy nad nim
nie dzielić z nikim

23

Czas nieruchomy
złudnych snów runął
jak gdyby nagle
zerwana tama
krótka epoka
dwudziestolecia
prysła jak barwna
bańka mydlana

24

W Tragicznym Wrześniu
nie klucz żurawi
lecz samolotów
jesień otwierał
po ich przelocie
pękały gwiazdy
świat się ropadzał
człowiek umierał

25

Łódź nie spłonęła
lecz jej mieszkańcy
w diasporze jakby
wymiotli ich pomór
prócz Żydów w getcie
gdzie z zawieszeniem
wyrok do pieców
gazowych komór

26

Okupant w Łodzi
vel Litzmannstadcie
ospa postrzałów
domów nie szpecił
za to zbyt często
je przyozdabiał
w Bekanntmachung
ceduły śmierci



27

Niech wnuk co w nowe
czasy wstępuje
już bruków w płamach
krwi nie napotka
niech nie kojarzy
kraty z więzieniem
a zwykłej cegły
z kształtem nagrobka

III. PERYFERIA

3

Rzadko tu trafia
szklarz szlifierz noży
lutownik garnków
handeles z krukwią
czasem kramarskie
budy i wozy
cyrkowe w błocie
ugrzeźle tu tkwią

5

Bóg z Bełzebubem
grali nim w ping-pong
w niebie czy w piekle
znaczył niewiele
dla kompensaty
często i gęsto
spijał się w knajpie
trzeźwiał w kościele

6

W święta na Młynku
lub w Mani Lesie
zajzajer z wursztem
z przytupem fajno
tam Antek z Bałut
z Franką z Sikawy
z odbitą flachą
z całą ferajną

7

Helenów z grotą
corso łabędzie
park Stefankiego
w Rudzie staw wielki
tu lepsze sfery
fanty fajerwerk
księżyc laubzegą
wycięty z mgiełki

8

Wróżka wędrowną
podmiejskich niedziel
rozpraszająca
unylą chandrę
krasna Cyganka
cała w cekinach
jak w jaskrych iskrach
romni bacht jandel



9

Na skraju przedmieść
smocze cegielnie
woda w gliniankach
pod rzęsą śnieża
na dnie jej koty
psy żabie requia
i zrutki grzechów
ludzkie bastrzeta

14

Zanim poznałem
z kart „Anhellego”
Syberię karną
kolonię carską
już doświadczyłem
jej tajg przepastnych
i zim żelaznych
w lodów zatrasku

15

Arktyk jak polip
swymi mackami
rzek syberyjskich
sięga po Bajkał
spodem jak drętwa
wieczna zmarzlina
gorą purg wiejby
po tundro-tajgach

16

Car jezior Bajkał
cały posepny
urok tej ziemi
wkłęty w to imię
dziś jeszcze widzę
Kamień Szamana
co jak leń nerpy
pod prąd fal płynię



28

Niegdyś ze Stoków
w strunach potoków
grała wód harfa
bystrostrumienna
teraz gra w drenach
rurach i kranach
z Błękitnych Źródeł
rzeka podziemna

WANDA KARCZEWSKA: Fragmenty „Dziennika”

Wczoraj był ostatni dzień straszliwego upału. I zarazem męka wyjątkowego mózgu. Lęk przed utratą zdolności twórczego myślenia, kojarzenia przed uwiadomieniem. No, powiedzmy to sobie, lęk (który zaczyna być obsesyjny) przed starością, a przecież mam dopiero 54 lata. Tylko że ja zbyt wiele przeszłam —

Dziś spadł ulewny deszcz, wszystkie drzewa i kwiaty odżyły. I — nagle rozjaśnienie umysłu. Powinno się nareszcie przyzwyczaić do tych stanów między ukończeniem jednej książki a uporiadaniem się z następną. Kiedy się wpatrzy, czy coś z tego, co się pisze, wyjdzie sensownego, kiedy ma się magmę powieści w głowie, ba! niemal w palcach, siada się do biurka i — nic. Kiedy się powtarza z uczuciem zawodu: ta rzecz widocznie jeszcze nie dojrzała we mnie, skoro to, co napisałam do tej pory z nowej powieści wydaje mi się fałszywo brzmiące kiedy szukam innego tonu i nie mogę znaleźć odpowiedniego klawisza —

Notatka bez daty

Przychodzi mi w sukurs teoria prof. Kazimierza Dąbrowskiego określająca takie stany niemocy i frustracji pojęciem „dezintegracji pozytywnej”, przejściowej fazy, z której człowiek wydobywa się, jak z jakiegoś dna psychicznego, i zrywa się do tym wyższego lotu. Wedle niego szarpanina, niepokój, psychonercwość, poczucie niższości, winy — są znanymi cechami usposobienia człowieka twórczego i prowadzą, mogą prowadzić w rezultacie do rozwoju i wzbogacenia osobowości —

Listopad 1967

— wstałam z głową pełną snów, i w jednym rzucie myśli-olśnienia ułożyły mi się te sny, majaczenia, udręki pamięci i mieszanice odwracania się tyłem od pliku zapisanych (i dartych) kartek papieru w zarys powieści. Objaśnił mi się z całą wyrazistością (kończący zapewne po obrzeżu świadomości) zamysł-koncepcja: jeżeli nie mogę żyć normalnie i pracować, jeżeli popadam w depresję, bo nie umiem uporać się z tą największą udręką mojego życia, jaką jest śmierć ojca, jeżeli pamięć tej udręki stawia mnie wobec konieczności rewizji wszystkiego, co było dotychczas, wobec konieczności rozliczenia się ze światem i ze sobą samą przede wszystkim, wobec konieczności przewartościowania dotychczasowej hierarchii wartości, to właśnie to zrobić naczelnym problemem dawno zaczętej książki, którą daremnie próbuję pisać (piszę i niszczyć, to co napisałam) — Nie tłamsić w sobie rozpacz, szamotaniny chaosu; przeciwnie. Może tak właśnie trzeba pisać próbując wprowadzić ład w bezład myśli, zmącenie umysłu i ducha: poszukać znaczenia tego wszystkiego znaleźć być może pełniejszą prawdę o sobie, o świecie, o istotnych wartościach, których odczucie ważności uległo we mnie zmęczeniu.

Tylko — bagatelizować! — zbudować teraz fikcję (fabularne egzemplifikacje) ciągły fabularne zespolone znaczeniami w jedno naczelną, znaczenie, to które stanie się kością mego powieści. A to właśnie, tę naczelną ideę mam nareszcie —

Luty 1968

— to co teraz piszę, ta książka obróciła się przeciw mitowi sielanki, przeciw mitowi colabreugnonowskiego Starucha, jaką była w pierwotnym zamierzeniu ta powieść. Ta powieść będzie prawdziwsza, bardziej zgodna z doświadczeniem ludzkim niż zamierzana ongiś pociecha-sielanka. Będzie o klasie Starucha, o klasie w końcu każdego człowieka, jaką jest zniedołężnienie i śmierć, o klasie, jeżeli nie wynika z tego życia (więc i z pisania) nie więcej prócz uporania się z sobą, jeżeli nie wynika — najważniejsze: osiągnięcie pełni człowieczeństwa. I w tej nowej powieści t.zw. bohaterem będzie nie ów bożecznym Staruch Piotr ale jego żona Małgorzata, która wprowadziła w chwilę śmierci ale jednak tę pełnię człowieczeństwa osiągnęła. Małgorzata zginie w Oświęcimiu tak jak zginęło wiele kobiet, wielu ludzi tam właśnie najpełniej realizujących człowieczeństwo. Nie wszyscy spadli do roli katów i ich pomocników jak mówią to „świadkowie” w osobie Tadeusza Borowskiego —

Wiosna 1969

— dziś napisałam scenę w szpitalu; nie raczej sen Marii wracającej do domu na stoku debliskim, zasypiającej opodal w rybackiej chacie i śniącej sen o umieraniu ojca w szpitalu. Kilka pism nieświadości, przez które Maria musi przedrzeć się do samowiedzy zakamufłowanej w wyrażanej jungowską symboliką marzeń sennych.

Marzec 1970

— Piszę zrywami po kilkanaście godzin na dobę przez kilkanaście tygodni. Najlepiej — uciekając z miasta od telefonów, interesantów nawet od przyjaciół i przede wszyst-

kim od wizgu tramwajów dobiegających do przystanku pod oknem, od jęzgotu motorów, od zaduchu spalin i mdłych wyziewów fabrycznych. Tutaj, w Kolumnie lub Grotnikach siadam przed oknem, za którym — drzewa; patrzę na mgiełkę osiadającą na zaroślach, na promienie przeciskające się przez szpilkę jodeł i gałęzie buczyny a potem, potem świat zewnętrzny odchodzi ode mnie; zapadam się w inny świat, ten stwarzany, między postaciami, którym daję życie; pozwalam do istnienia. Jakież one pazerne: dają im swoją krew, swoje myśli, swoje uczucia, swoją wiedzę o człowieku, o świecie. Te postaci mnie wysysają, dlatego chyba jestem po dłuższym pisaniu tak zmordowana, jakbym im oddawała własne życie. Nigdy nie odczuwałam tego tak dotkliwie, jak teraz przy pisaniu „Głębokich źródeł”. Ale bo też powieść ta ma najwięcej z tego, co moje, co mnie boli. Mimo że nie jest to powieść autobiograficzna, bo jedynie skomponowana z pewnych elementów znanej mi i doświadczanej rzeczywistości, ale tylko z pewnych elementów; reszta jest — kreacja. Najlepiej określiłoby to sformułowanie: w tej powieści uczyniłam Marii swojego pejzażu wewnętrznego.

TOMASZ MANN: — — talent nie jest rzeczą łatwą, błyskotliwą, nie jest także samą umiejętnością. Jego istotą jest konieczność, krytyczna świadomość ideału, niezadowolone z siebie, które w męce rodzi dopiero i rozwija umiejętność. Dla największych najbardziej wymagających, talent jest najcięższym biczem”. Co za pocieszenie! I jeszcze jedno — Flaubert: „Moja książka sprawia mi wiele cierpienia”. Ułga. Bo jeżeli i MANN i FLAUBERT — —?

1 czerwca 1973

W południe przyjazd do Kazimierza. Odwiedził mnie sympatyczny i uczynny L. i T. M. z Kolumny. Świetna jazda dużym Fiatem, miły, pogodny dzień. Dobre przyjęcie w Domu Prasy, zakwaterowanie w jednoosobowym pokoju na pierwszym piętrze. Przed oknami w odległości 10—15 metrów — ściana liściastych drzew. Cisza. Śpiew ptaków. Po wyjściu na wzgórze obok „Kunecwiczów” — wspaniały pejzaż: doliny, łagodne pagóry, pasy różnorodnej zieleni i — co najbardziej lubię — falujące obszary młodych zbóż. Tego mi trzeba, takiego życia pośród zieleni, spokoju. To daje uciśnienie wewnętrzne, stwarza dystans do wszystkich udręk, szarpaniny do życia środowiskowego, do własnych wzlotów i upadków; harmonię wewnętrzną.

Tegoż dnia wieczorem

Niespodziane spotkanie z Marią Kunecwiczową. W moich oczach mało zmieniła się od naszego zetknięcia się w Stanach Zjednoczonych, a minęła lat od chwili, kiedy w jej nowojorskim mieszkaniu, z widokiem z osiemnastego piętra na rozległy pejzaż miasta z pudełkami budynku ONZ i z polyskującym w głębi Hudsonem, rozmawialiśmy o doli i niedoli pisarza emigranta, o sensie powrotu MK do Polski. Nie omieszkałam po powrocie ze Stanów Zjednoczonych powiedzieć paru osobom o tej sprawie. I bardzo się ucieszyłam, kiedy w jakiś czas później dowiedziałam się, że pertraktacje o przyjazd Kunecwiczowej się toczą i że pisarka wraca do kraju. Nie przypisuję sobie żadnych zasług, to zbyt dużego formatu pisarz aby tylko taki jednostkowy zabieg był potrzebny i skuteczny; ale jeżeli dorzuciłam do sprawy jej powrotu „do domu” jedną cegiełkę — tym więcej się cieszę. Zawsze uważałam Marię Kunecwiczową za najciekawszą z trzech pisarek: Dąbrowską, Kunecwiczową, Nalkowską. Jej „Cudzoziemka” była powieścią prekursorską, jeżeli chodzi o problematykę wyobcowania. Jej „Fantomy” cieszą mnie jak wielka wygrana, jak świadomość: dobrze postawiłam —

4 czerwca 1973

Cały wczorajszy wieczór, do drugiej w nocy nad „Listami Tomasza Manna”. Przy lekturze zastał mnie niebieskawy świt; oderwały mnie od niej pierwsze przeloty budzących się ptaków, ich ewierkanie, rozdzierające cieniutki jednak ciszy ostrymi dziobkami. Wypisałam sobie sporo cytatów, w których poruszyła mnie zbieżność jego i moich kłopotów warsztatowych, zapatrywałam na krytykę, na rolę i funkcję literatury, bo skoro TOMASZ MANN —

Położyłam się o drugiej nad ranem; drzwi od balkonu otworzyłam. Zasnęłam jednak nie sposobem. Z powodu rozczucia. Wzięłam pół pastylki relanium — nic, wzięłam całą — również bez skutku. Na brzęku snu, w którym zaczęłam wrzeszczeć zapadając, rozkrzyczała się kukułka na wysokich konarach drzew stojących za oknem.

Z Tomasza Manna: „Obcując z ludźmi prawie nigdy nie mam poczucia własnej wartości. To prawda, ale je-

żeli ja nie mam tego poczucia, to ufam, że inni je mają za mnie. I stosunek człowieka do mnie uważam — jakkolwiek wydać się to może zarozumiałstwem — za probierz jego rozwoju duchowego —”

— — jestem zmieszany, wykończony, skłócony sam z sobą —

wobec bardziej skomplikowanego utworu, a zawsze chcą być autorytatywni; wielu z nich nie ma odpowiedniego warsztatu krytycznego potrzebnego do analizy nietradycyjnej powieści; strukturalizm dał młodszemu pokoleniu precyzyjne narzędzia badawcze. Przypatrzcie, że z krytyk i recenzji,

twórcy (nie z przyjęcia proponowanej metody twórczej), np. z walki twórcy z samym sobą, ze swoim widzeniem świata, z pragnieniem ładu właśnie dlatego, że jest się utrudnionym przez szamotaninę z własnym, wewnętrznym chaosem, z rozbięciem psychicznym — wspólnym przecież wielu ludziom, wspólnym zresztą wielu cywilizacjom, zwłaszcza tym, które znalazły się na przełomie, w punkcie kryzysowym, w napięciach przekształcania siebie.

Osobiście wydaje mi się, że najbardziej angażują czytelnika owe dzieła z pogranicza ładu i chaosu, tak jak najbardziej są osobowości nie całkowicie ułożone i nie patologicznie zdefiniowane w swoim niepokoju i rozterkach — ale właśnie te, znajdujące się na pograniczu tych dwóch stanów, „between”, „pomiędzy”, zmierzające zarówno w górę jak i w dół. Przy tym, jeżeli nawet patologia, to nie dla samego epatowania patologią; stosunek do niej musi być intelektualizowany, gdyż — jak pisze Tomasz Mann — „w twórczości artystycznej ma ona (patologia — przypisek mój) prawo obywatelstwa jako środek służący celom duchowym, poetyckim, symbolicznym —”. Myślę tu o swoim „Odejsie”, będącym właściwie czymś w rodzaju poematu prozą, paraboliczną przypowieścią. Obłąk jednej z postaci nie jest jednoznaczny, jest figurą poetycką, wieloznaczną w swojej symbolicznej złożoności. Jeżeli tego nie rozumie, tym gorzej dla niego!

Notatka bez daty

Porządkując dzisiaj recenzje i listy przyjaciół do mnie, listy pisarzy, natknęłam się ponownie na list z Kazimierza, z „Kunecwiczów”. Prócz dobrych i mądrych słów o „Głębokich źródłach”, cenne dla mnie sformułowanie: — — obce pracujemy w tym samym kamieniu, tylko każda innymi narzędziami!”

Listopad 1974

Przedłużyłam sobie w Czytelniku po raz trzeci termin na nową powieść. Przedłużyłam sobie także w Łodzi po raz trzeci czy czwarty termin umowy na adaptację telewizyjną „Głębokich źródeł”, do której trudno mi się zabrać; przedsięwzięcie wydaje mi się karkołomne; jak z tej złożonej materii wykreślić 80-minutowy spektakl. Próbuję zwrócić pieniądze i rozwiązać umowę, uprzejmy red. K.L. odpowiada: „nam nie chodzi o pieniądze, ale o scenariusz”.

Warszawa, Grudzień 1974

Przypadkowe spotkanie z młodym warszawskim recenzentem. Odwieczne warszawskie pytanie: „Co słychać w Łodzi, co się tam dzieje?” Zanim zdążyłam odpowiedzieć, że w teatrach nastąpiły duże zmiany, zapowiada się wraz z przyjściem Kazimierza Dejmka ciekawy sezon, zanim mogłam wspomnieć, że opera — — że malarsko — — że Filharmonia — — że ukazało się w tym roku kilka wartościowych książek: Gomolińskiego, Rymkiewicza, Sztajnera i in., młody recenzent warszawski beznadziejnie i napastliwie sam sobie odpowiada: „W Łodzi, od kiedy wyjechał stamtąd XY, nie się dzieje!” (A co się działo, gdy XY był w Łodzi?) W słowach mego przygodnego rozmówcy słyszę cudzy głos, tego właśnie, który opuścił to Miasto i wystawia mu tak samo szkodliwie metryczki i oddaje taką samą niedźwiedzią przysługę, jak ci z pozostających w Łodzi, którzy słabe lub bardzo przeciętne pozycje podnoszą do rangi wydarzeń artystycznych, a przemilczają lub nawet drastycznie pomniejszają istotne wartości i osiągnięcia.

Z baśni Andersena

„Krzak dzikiej róży wznosił swe gałęzie, rozpostarł liście i zakwitł najpiękniejszą różą; każdy mógł różę zobaczyć, nawet czarny, wilgotny ślimak spostrzegł jej piękno —

— Chciałem zostawić różę jakiś znak — powiedział ślimak — opłulem ją, ale nie mogę nic innego zrobić —”

Z Tomasza Manna

— — Przywykłem do znajdowania się w fałszywym oświetleniu, światło które na mnie pada, tyle razy się zmieniło, że rezygnując z niewdzięcznego i mało zaszczytnego przywileju samoobrony i samookreślenia, postanowiłem zostawić to wszystko czasowi i spokojnemu oddziaływaniu mojej osobowości —

8 grudnia 1974

List od Janka z Kalisza. Zaproszenie na święta. — — Węgi zasiadaliśmy znowu razem pod choinką, pod symbolicznym drzewem wiecznego żywota i zrazem drzewem poznania, bo obwieńczonym jabłkami, owocami z drzewa poznania, opieczonymi węzłami łańcuchów. Jak ongi, jak w młodości, w domu ojca mego i matki mojej —

ZAPISKI NAD RANEM



ANDRZEJ PIETSCH

Grafika

— — gdzie dzisiaj należy szukać ducha rzetelnej i szlachetnej krytyki. Nie wśród twórców oczywiście, oni nie mają czasu dla innych. Ale również nie wśród zawodowych recenzentów; ci mają kompleks niższości albo korzystają z okazji aby pokazać, jacy są ważni albo są pełni rezydentów wypływających z poczucia własnej bezsilności. Nie, szukać ich należy wśród młodszej generacji uczonych, która w nowy świat intelektu wnosi najlepsze tradycje badawcze i poznawcze pasji, pedantycznej rzetelności i oddania. Po tym zaledwie głupoty i pozornej przenikliwości, jaką musiałem znieść w związku z ostatnią moją książką, pańska analiza wzruszyła mnie tak bardzo, że chwiliami z trudem powstrzymywałem łzy” (z listu Manna do Ernsta Bertrama).

Czerwiec 1973

Z Jana Mukarovskiego „Wśród znaków i struktur” do moich zamysłów nad różnorodnością odbioru „Głębokich źródeł”: „Wiadomo z historii sztuki, że w niektórych okresach dzieło sztuki zmierza do tego, aby jego sens nie był w pełni skończony — co jednak wcale nie odbija się na oddziaływaniu estetycznym; niezamknięcie sensu jest w takich wypadkach częścią zamysłu twórcy. Dzieło może być znakiem o kilku sensach jednocześnie (też bez szkody oddziaływania). Ta wielość sensów była w niektórych okresach szczególnie podkreślana (np. w okresie symbolizmu), kiedy indziej natomiast jest zaledwie znacząca i staje się utajoną energią semantyczną utworu. W zasadzie jednak zawsze występuje”. I dalej: — — każdy składnik (dzieła) i każda część są nosicielami cząstkowych znaczeń —

W zestawieniu z tymi słowami i z wyznaniem Manna o jego stosunku do krytyków — uderza mnie to, że najlepiej, najpełniej odebrali „GŁĘBOKIE ŹRÓDŁA” — średniego i młodszego pokolenia recenzenci i krytycy. Ja nie przypisywałabym tego faktowi, że starsi krytycy i twórcy nie mają czasu porządnie czytać książek, czy kierują się w nich swoimi kompleksami. Oni po prostu niekiedy są beznadni

które się pospalały w tygodnikach i miesięcznikach po ukazaniu się „Źródeł” — najwyższą cenę sobie te, których autorzy, pomijając nawet znaczenia cząstkowe, umieli uchwycić i — stąd książkę, właśnie jej sens nadzretny, więc nie tyle sam problem ten mój obsesyjny problem „poszukiwania prawdy”, ale to, że poszukiwanie prawdy jest w tej powieści tylko bazą, na której dokonują moje postacie mniej lub bardziej umiejętnie wyboru wartości i wyboru postaw. A swoją drogą — paru powieściopisarzy uprawiających krytykę impresyjną trafiło w sedno tej powieści.

Lipiec 1973

Młody utalentowany poeta, autor manifestów i prac teoretyczno-krytycznych, Barańczak, pisząc o „Śnie słonecznym” Michała Sprusińskiego, twierdzi: — — zadaniem poety współczesnego winno być — mądre konfrontowanie z sobą tych dwu stanów „królestwa ładu” i „chaos” i — rzeczywistości — czy powiedzmy lepiej, docieranie do ładu ale poprzez chaos, drogą okrężną. Poza bowiem wszelkimi innymi konsekwencjami, arbitralny wybór „ładu” (czy też „chaosu”) powoduje, że poezja zbyt łatwo zastęga w monotonii stylizacyjnej i w myślowych szablonach”.

Zdumiewają mnie zawsze recepty na sposób pisania. Bo albo ktoś jest z „królestwa ładu”, albo z „państwa chaosu”, albo przedziera się z pierwszego do drugiego lub przeżywa zgoła odwrotny proces i z harmonijnego ładu zapada się w bezład i — pisze poezję, powiedzmy ogólnie — robi swoją sztukę całą swoją istotą psychiczną, wyznawaną filozofią (która też może ulegać przemianom) swoim światopoglądem, albo ogląda się na recepty czasu i idzie za modą, za głoszoną manifestami i ustalonymi przez grupy kierunkami czy „szkołami” i wtedy nie jest sobą, a istotą podporządkowaną stadnym ruchom. Z których, jeżeli się nawet im przez jakiś czas podporządkuje, ale jeżeli ma się coś od siebie do powiedzenia, wyrasta się, docieranie do ładu ale poprzez chaos, drogą okrężną” musi wypływać z wewnętrznej potrzeby

SPORTOWY BILANS ROKU 1974



Fot. Włodzimierz Parys

„Rok 1974, rok półmetka olimpijskiego, będzie bardzo bogaty w poważne międzynarodowe próby, w mistrzostwa Europy, a w wielkie mioty. W tak intensywnym sezonie odpowiednio liczny udział naszych sportowców. Miejmy nadzieję, iż wyniki Polaków dadzą nam sporo satysfakcji” — pisała u progu nowego roku „Trybuna Ludu”.

Kończy się już rok, emocje sportowe mamy już w sobie, pora więc chyba odpowiednia, aby przypomnieć sobie najważniejsze wydarzenia sportowe. Wspaniałe sukcesy, ale także i te nie najbardziej chwalebne występy naszych zawodników.

Krótki bilans, albo może inaczej — po prostu przeżyjmy to jeszcze raz...

STYCZEŃ

Plebiscyt „Przeglądu Sportowego” na najlepszego sportowca 1973 roku rozstrzygnięty. Pierwsze miejsce zdobył Ryszard Szurkowski. Kolejne dalsze: St. Szozda, J. Szczakiel, K. Lipień, K. Deyna, J. Kierzkowski, J. Lipień, R. Skowronek, J. Tomaszewski, L. Cmikiewicz. Wśród laureatów nie było ani jednej kobiety.

„Turniej czterech skoczn” Tadeusz Pawlusiak zajmuje jedenaste miejsce. Jest to najlepsza pozycja wywalczona przez polskich zawodników. Turniej miał być sprawdzianem formy naszych skoczków narciarskich. Prawdę mówiąc — nie było co sprawdzać.

Mistrzostwa świata w bojach. Rozegrano je na Zalewie Zegrzyńskim. Najlepszy z Polaków — W. Marcinczyk zajął VII miejsce, pozostali zawodnicy uplasowali się tuż za nim. W sumie występ Polaków oceniono jako dobry.

Mistrzostwa świata juniorów w łyżwiarstwie szybkim. W Cortina d'Ampezzo Erwina Rysiówna zdobyła tytuł mistrzyni świata w wieloboju, Jan Mielus — złoty medal na 1500 m. Ogółem młodzi polscy zawodnicy zdobyli osiem medali. A w Polsce nie ma ani jednego szlucznego toru do jazdy szybkiej. Za to mamy mistrzynię.

Szybowcowe Mistrzostwa Świata. Franciszek Kepka zdobywa brązowy medal w klasie standard.

LUTY

Mistrzostwa Europy w łyżwiarstwie figurowym. Występy Polaków jak zwykle słabe. Para G. Kostrewińska i A. Brodecki zajęła dziesiąte miejsce w konkurencji par sportowych.

Mistrzostwa Europy w łyżwiarstwie szybkim kobiet — E. Rysiówna zajęła 15 miejsce, a E. Malewicz — 16. Obie młode zawodniczki nawiązały kontakt ze światową czołówką. Niemala to zasługa ich trenerki — Elwiry Seroczyńskiej.

Mistrzostwa Europy saneczkarzy. Brązowe medale Haliny Kanasz i zawodników startujących w konkurencji dwójek — R. Hureja i K. Pietronczyka.

Alpejskie mistrzostwa świata. Srebrny medal Andrzej Bachledy w trójkombinacji. Był to największy dotychczasowy sukces polskiego narciarstwa alpejskiego. Na tych samych mistrzostwach Jan Bachleda został zdyskwalifikowany w slalomie — gigantycznym za nieustawienie się na badanie antydingowej. Oficjalny komunikat komisji lekarskiej: „Jan Bachleda rozerwał się, kiedy wręczono mu zawiadomienie o kontroli antydingowej i schował kartkę do kieszeni”.

Mistrzostwa świata w narciarstwie klasycznym. Z Falun reprezentanci polscy wrócili z dwoma brązowymi meda-

łami. Stefan Hula zdobył trzecie miejsce w dwuboju, Jan Staszek — w biegu na 30 km. I były to jedyne powody do radości. Poniżej swych możliwości wypadli biegaczkę, nie załapali pozostali biegacze, zawiedli skoczkowie.

MARZEC

Mistrzostwa świata w piłce ręcznej. Polska zajęła ostatecznie 4 miejsce. Do brązowego medalu zabrakło tylko trzech bramek. Czwarte miejsce — to największy sukces, jaki osiągnęli nasi szczytnicy w tej dyscyplinie sportu.

Halowe mistrzostwa Europy w lekkiej atletyce. Nasi zawodnicy przywieźli 8 medali, w tym aż 5 złotych. Zdobyli je: G. Rabsztyń, E. Katolikowa, M. Joachimowski, H. Szordykowski, T. Ślusarski.

Wyścig kolarski Paryż — Nicea. Polacy zajęli dalekie miejsca. Najlepsi: Kowalski — 27 miejsce, Szurkowski — 28. Ryszard Szurkowski jest trzeci w klasyfikacji najaktywniejszych kolarzy.

Turniej o „Szablę Wołodyjowskiego”. Dwudziesty międzynarodowy turniej wygrał szermierz ZSRR. Zespół Polski I zajął trzecie miejsce, Polski II — czwarte. Był to kolejny przykład, świadczący, że z polską szablą nie jest najlepiej.

KWIECIEŃ

22 Rajd Safari. Trudny rajd przerosły siły polskiej ekipy. Trzy nasze załogi, startujące na polskich fiatach musiały opuścić trasę rajdu, stawiając tym samym pod znakiem zapytania celowość startu w tej imprezie.

Hokejowe mistrzostwa świata. Po dramatycznych zmaganiach polska drużyna utrzymała się w grupie A. Zadecydował o tym ostatni remisowy (3:3) mecz z NRD.

MAJ

Wyścig Pokoju. Kolejny sukces polskich szosowców. Zwycięstwo drużyny polskiej szóstki oraz indywidualnie Stanisława Szozdy. T. Mytnik zajął 6 miejsce, J. Kaczmarek — 10. W tym roku wystartował zespół znacznie odmłodzony, złożony aż z pięciu debiutantów, bez Ryszarda Szurkowskiego, który zrezygnował w tym roku z udziału w Wyścigu Pokoju, wywołując tym szereg niepotrzebnych domysłów i komentarzy. W sprawozdaniach z Wyścigu podkreślano, że Stanisław Szozda był najlepszym zwycięzcą w historii dotychczasowych Wyścigów Pokoju. Wygrał aż sześć etapów.

Mistrzostwa Europy w podnoszeniu ciężarów. Złoty medal Z. Smalcerza w wadze muszej.

CZERWIEC

III młodzieżowe mistrzostwa Europy w boksie. Mizerny plan w postaci zaledwie trzech brązowych medali. Młodzież widać zapatraje się na swoich starszych kolegów.

Mistrzostwa świata w piłce nożnej. 15 czerwca Polska rozegrała pierwszy mecz z Argentyną. Wygraliśmy 3:2. W następnym meczu polscy piłkarze rozgromili Haiti 7:0. Kolejny mecz i wicemistrzowie świata — drużyna Włoch, wyeliminowani z dalszych rozgrywek. Polska wygrywa 2:1, a następny mecz ze Szwecją 1:0. Po meczu z Jugosławią, wygranym 2:1 Polska miała już zapewniony medal. Pozostała tylko kwestia koloru!

Memorial Janusza Kusocińskiego. Trochę w cieniu sukcesów piłkarskiej jedenastki Irena Szewińska bije rekord świata na 400 m. Jako pierwsza kobieta na świecie uzyskuje czas poniżej 50 sek. — 49,9 sek.

Mistrzostwa Europy w zapasach w stylu klasycznym. Nasza ekipa przywieźła tylko jeden medal. Srebrny — Andrzej Supronia.

LIPIEC

Dalszy ciąg Mistrzostw Świata w Monachium. „Deszczowy” pojedynek: Pol-

ska — RFN zakończył się pierwszą porażką naszej drużyny. Przegraliśmy 0:1, ale po doskonałej grze. Wreszcie decydujący mecz z Brazylią. Wygraliśmy go 1:0 i polska reprezentacja zdobywa tytuł trzeciej drużyny świata. Sukces, o którym chyba nikt w Polsce nie marzył! Grzegorz Lato zostaje królem strzelców X MS — siedem bramek, drugą lokatę zajął wspólnie z zawodnikiem holenderskim — Neeskensem — Andrzej Szarmach, który strzelił pięć bramek. Na osiem rzutów karnych podjętych podczas mistrzowskich meczów, sześć zostało wykorzystanych, dwa obronił Jan Tomaszewski. Sukces polskiej piłki nożnej szerokim echem odbił się na całym świecie. „Srebro nam niesiecie na 30-lecie”, „Wylądowali”, „Dziękujemy”, „Zmeczni ale szczęśliwi”, „Triumfalny przejazd ulicami” — to śródtytuły artykułu w „Trybunie Ludu”, opublikowanego po przyjeździe piłkarzy do kraju.

Szermierze mistrzostwa świata. Z. Wojciechowski czwartym florecistą świata, zespołowo drużyna florecistów zdobyła srebrny medal. I to, niestety, wszystko, na co stać było polskich szermierzy. „Na równi pochyłej” — taki był tytuł komentarza „Trybuny Ludu”.

Edward Makula, nasz słynny szybownik, bije kolejny rekord świata.

SIERPIEŃ

II Międzynarodowy Turniej w Siatkówce Kobiet przyniósł zwycięstwo siatkarkom Kuby. Siatkarki Polski zajęły czwarte miejsce.

Spadochronowe mistrzostwa świata. St. Sidor zdobywa mistrzowski tytuł w skokach na celność lądowania z wysokości 700 m.

III Mistrzostwa Europy juniorów w zapasach. Polacy zajęli trzecie miejsce. Pozwala to mieć nadzieję, że w tej konkurencji możemy w przyszłości liczyć na sukcesy.

VI Tenisowe Mistrzostwa Europy Amatorów we Wrocławiu. Już w półfinale nie było naszych reprezentantów.

Mistrzostwa Europy w pływaniu. Mimo nowych rekordów Polski nasi zawodnicy byli bez szans w konkurencji z przeciwnikami zagranicznymi. Tak zresztą, jak od lat.

Kolarskie mistrzostwa świata amatorów w Montreale. Mistrz świata z 1973 roku, Jan Kierzkowski, zdobył brązowy medal w wyścigu na 1 km ze startu zatrzymanego. A. Bek i B. Kocot zostali brązowymi medalistami w tandemach. W wyścigu szosowym nasza drużyna zajęła dopiero 7 miejsce, po fatalnej zresztą jeździe. Chyba już wówczas należało zainteresować się parą: Szurkowski — Szozda. Szosowym mistrzem świata niespodziewanie zostaje tegoroczny debiutant w Wyścigu Pokoju — Janusz Kowalski. Uda mu się „pogodzić” Ryszarda Szurkowskiego — wicemistrza świata i Stanisława Szozdę, który zajął czwarte miejsce.

XIV Mistrzostwa Europy w Koszykówce Kobiet. Polskie koszykarki nie zakwalifikowały się do czołowej siódemki mistrzostw Europy i — wbrew oczekiwaniom — występować będą w grupie „B”. Ostateczny efekt — 9 miejsce.

Bokerskie mistrzostwa Świata w Hawanie. Tegie latnie dostali nasi bokserzy. Ostateczny efekt — tylko brązowy medal Zbigniewa Kieki.

WRZESIEŃ

Eliminacje do piłkarskich mistrzostw Europy. Polska Finlandia 2:1. Niewysokie zwycięstwa i niepiękna gra naszej srebrnej jedenastki.

Polska — NRD 1:3. W towarzyskim meczu naszym piłkarzom starczyło sił zaledwie na 15 minut dobrej gry.

Mistrzostwa świata zapasników w stylu wolnym. Jedyne przyzwoite IV miejsce P. Kurczewskiego.

Final indywidualnych mistrzostw świata na żużlu. Z. Plech, jako jedyny reprezentant Polski zajął 6 miejsce.

Polska — Francja 0:2. Po meczu pisało: „Dobrze, że już koniec tych wrzesniowych międzypaństwowych spotkań naszej piłkarskiej reprezentacji...”

Wioślarskie mistrzostwa świata mężczyzn w Lucernie. Bracia Ślusarscy byli trzecią osadą świata w konkurencji dwójki bez sternika.

XI lekkoatletyczne mistrzostwa Europy w Rzymie. 4 złote medale — dwa w biegach na 100 m i 200 m — Irena Szewińska. Bronisław Malinowski — 3 km z przeszkodami oraz Ryszard Skowronek w dziesięcioboju. 2 srebrne — tyczkarza Władysława Kozakiewicza i Mirosława Wodzyńskiego w biegu na 110 m ppł. oraz 4 brązowe — Teresa Nowak, Leszka Wodzyńskiego, Andrzeja Sontaga oraz sztafety sprinterek. W klasyfikacji zespołowej Polska zajęła 4 miejsce. Ale co by było, gdyby Irena Szewińska, aktualna rekordzistka świata, nie uparła się w swoim czasie, żeby biegać dalej?

Final drużynowych mistrzostw świata na żużlu. Po słabym występie Polacy zajęli ostatecznie 3 miejsce.

XXXI Wyścig Dookoła Polski. Polacy nie odegrali w nim większej roli, za to szeroko zaczęto dyskutować nad konfliktami wśród naszych najlepszych szosowców. O wiele za późno.

Puchar Davisa. Po zwycięskim meczu z Portugalią, polscy tenisiści zakwalifikowali się do trzeciej rundy rozgrywek. Kolejny mecz ze Szwecją w 1975 roku.

Mistrzostwa świata w strzelaniu. Złoty medal Wiesława Gawlikowskiego w konkurencji „skeet”. W ogólnej punktacji mistrzostw Polacy zajęli 3 miejsce.

Mistrzostwa świata w podnoszeniu ciężarów. Drużynowo Polska zajęła 4 miejsce. Zdobyliśmy 2 srebrne medale — L. Skorupa i Z. Kaczmarek.

PAŹDZIERNIK

Polska — Finlandia 3:0. W rewanżowym meczu w ramach eliminacji do mistrzostw Europy, Polacy odnieśli wprawdzie zdecydowane zwycięstwo, ale forma nie była najwyższa. Z Włochami i Holendrami trzeba będzie grać lepiej.

XIX zapasnicze mistrzostwa świata w stylu klasycznym. Złoty medal Kazimierza Lipienia, srebrny — Józefa Lipienia, brązowy — Andrzeja Supronia. Drużynowo zajęliśmy 3 miejsce za zespołami ZSRR i Bułgarii.

Mecz bokserski Polska — USA przegrywamy 10:12.

Mistrzostwa świata kajakarzy w Meksyku. Grzegorz Śledziwski wspólnie z Ryszardem Oborskim zdobywają złoty medal. Grzegorz Śledziwski oraz para kanadyjczy — Jerzy Opara i Andrzej Gronowicz zdobywają 2 srebrne medale. Poza tym polscy zawodnicy wywalczyli 3 medale brązowe.

Mistrzostwa świata w gimnastyce. Andrzej Szajna zdobył w Warnie 2 brązowe medale. Były to pierwsze mistrzowskie medale w historii polskiej gimnastyki mężczyzn.

Mistrzostwa świata w siatkówce. Zespół polskich siatkarzy po dramatycz-

nym meczu z Japonią zdobywa złoty medal! Jest to pierwszy złoty medal zdobyty przez polską drużynę w historii mistrzostw świata w grach zespołowych. Relacje z powrotu złotych medalistów były jednak znacznie skromniejsze niż te z powrotu naszych piłkarzy z Monachium. Choć różnica w kruszcu istotna.

LISTOPAD

Adam Musiał ranny w wypadku samochodowym. Bliższych danych na temat wypadku piłkarza krakowskiej Wisły prawie nie było.

W piłkarskich rozgrywkach pucharowych jedynym reprezentatem polskiego futbolu został Ruch-Chorzów, który po zwycięstwie nad mistrzem Turcji, Fenerbahce, zakwalifikował się do ćwierćfinałów Klubowego Pucharu Europy.

Piłkarska reprezentacja Polski juniorów po wygranym meczu ze Szwecją 2:1, awansowała do finału Turnieju UEFA.

Polska — CSRS 2:2. Był to ostatni mecz naszej I reprezentacji piłkarskiej w tym sezonie.

Polska — NRD 14:8. Mimo wygranej naszych bokserów wraca się myślami do dawnych czasów, kiedy to mieliśmy naprawdę dobrych zawodników.

Puchar świata w piłce ręcznej. Zabrakło odrobiny szczęścia. W decydującym spotkaniu Polska przegrała z Jugosławią 16:17.

GRUDZIEŃ

Mistrzostwa Europy w rozgrywkach sezonu 1974/75 został Ruch-Chorzów, ostatecznie miejsce zajął LKS.

Puchar Europy w koszykówce. Ani zespół koszykarek LKS, ani koszykarzy Wisły nie zakwalifikowały się do ćwierćfinałów.

Grzegorz Lato zgolił wasy. Tę sensacyjną wiadomość podajemy za „Przeglądem Sportowym”. Czekamy na dalsze ciekawostki z prywatnego życia naszych asów.

Kibice przygotowują się do kolejnego plebiscytu na najlepszego sportowca roku 1974. My już dziś głosujemy za Ireną Szewińską.

Opracowała: BOGDA MADEJ



Fot. Włodzimierz Parys

U PRZYJACIÓŁ

Nie tak dawno minęła 50 rocznica powstania Mongolskiej Republiki Ludowej. Z tej okazji przewodniczący Związku Pisarzy Mongolii L. Tudew udzielił wywiadu „Literaturnej Gazecie”. Stwierdził w nim m. in.: „Pierwsze karty narodowej literatury mongolskiej zapisały w ogniu walk rewolucyjnych przez samych ich uczestników. Zaczęły, koczowniczy kraj przy pomocy Związku Radzieckiego przeobraził się w państwo rozwinięte rolniczo i gospodarczo. Nasza współczesna literatura — to w głównej mierze artystyczny zapis historycznych wydarzeń w życiu narodu, który — jedyny w dziejach ludzkości — z feudalizmu — przekraczając barierę kapitalizmu — wkroczył w erę budownictwa socjalistycznego”. Związek Pisarzy Mongolskich powstał w roku 1929 i liczył wówczas niespełna 20 pisarzy. Obecnie zrzesza 150 członków, wydaje swoją gazetę i periodyk. ZPM w 40-lecie swego istnienia odznaczony został Orderem Sucho-Batora. „Nasza organizacja — stwierdził dalej L. Tudew — utrzymuje bliskie, serdeczne kontakty z pisarzami ZSRR i innych krajów socjalistycznych. Uczestniczymy w międzynarodowych konferencjach pisarzy Azji i Afryki. Dajmy do tego, żeby głos pisarzy socjalistycznej Mongolii, mimo pozornych tylko barier językowych, coraz donioślej rozlegał się na świecie”.

„Berliner Ensemble”, zwany inaczej Teatrem Brechta, obchodził swe 25-lecie. Jedną z najgłośniejszych obecnie scen świata rozpoczęła swą działalność w listopadzie 1949 roku wystawieniem sztuki Brechta „Pan Puntilla i jego sluga Matti”. Do roku 1956 kierownictwo artystyczne nad sceną sprawował Bertolt Brecht. Zrealizowano wówczas 21 inscenizacji, z których wiele („Matka Courage i jej dzieci”, „Matka” wg Gorkiego, „Kaukaskie kredowe koło”) zasłynęło na całym świecie. Po śmierci twórcy teatru duży rozgłos zdobyły także inscenizacje, jak: „Życie Galileusza”, „Kariera Artura Ui”, „Optymistyczna tragedia” W. Wierszowskiego. Od wielu lat z repertuaru teatru nie schodzi „Opera za trzy grosze” Brechta. Odbiło się już ponad 600 przedstawień tej sztuki i cieszy się ona nadal niesłabnącym powodzeniem. „Berliner Ensemble” występuje gościnnie w miastach i dużych zakładach NRD. W ciągu roku sztuki tego teatru ogląda ok. 160 tys. widzów. Teatr występował także w Polsce, ZSRR i innych krajach socjalistycznych oraz we Francji, Włoszech, Anglii, Austrii, Szwecji, Finlandii, RFN i Berlinie Zachodnim.

W Lipsku zakończył się XVII Międzynarodowy Festiwal Filmów Dokumentalnych i Krótkometrażowych, zamykając tegoroczny światowy sezon festiwalowy. Na festiwal przybyło ponad tysiąc gości z 63 krajów. Wyświetlono 70 filmów w konkursie kinowym, 37 w konkursie telewizyjnym, a 88 w sekcji informacyjnej i na pokazach specjalnych.

W tej wielkiej imprezie, zgodnie z tradycją, dominowały filmy polityczne o wymowie antyimperialistycznej, antyfaszystowskiej i antyrasistowskiej. Pokazano tragedie narodu chilijskiego pod rządami junty, cierpienia pobbawionych ojczyzny Palestyńczyków, walkę Arabów z izraelskim agresorem, obraz Wietnamu, czas wojny i odbudowy, zwycięstwo narodu portugalskiego. Wiele filmów ukazywało napięcia i wstrząsy społeczne w krajach kapitalistycznych i Trzeciego Świata. Podobnie jak w poprzednich latach festiwal przebiegał pod hasłem: „Filmy świata w służbie pokoju na świecie”.

5 grudnia zmarł Zaharia Stancu, wybitny pisarz, poeta i publicysta, przewodniczący Związku Pisarzy Rumuńskich. Kilka powieści tego znakomitego pisarza ukazało się w przekładzie na język polski: „Bosy”, „Psy lańcuchowe” i ostatnia — „Tak bardzo ci kochałem”. Zaharia Stancu urodził się w 1902 roku w rodzinie chłopskiej. Debiutował jako poeta w 1920 r. Pierwszy poważny sukces odniósł w 1927 r. — za tom „Zwykle wiersze” otrzymał nagrodę Zw. Pisarzy Rumuńskich. W latach dyktatury faszystowskiej, jako jej zdecydowany przeciwnik, był internowany w obozie w Tirgu Ju. Po wyzwoleniu uaktywnił się szczególnie jako publicysta. W 1948 r. jego powieść „Bosy” została uznana za wydarzenie w historii literatury rumuńskiej. W wielu swoich książkach Z. Stancu konsekwentnie przedstawia obraz walk rewolucyjnych, kreśli postacie bohaterów komunistów.

Kiedy 31 października br. gazety włoskie poinformowały o aresztowaniu gen. Mitcheli, byłego szefa kontrwywiadu wojskowego — SID, zamieszanego w przygotowywanie przewrotu państwowego, paniczne pogłoski o puczu wojskowym obiegły lotem błyskawicy wszystkie zakątki kraju. Ponieważ w tym czasie, wskutek przedłużającego się kryzysu rządowego Włochy faktycznie nie miały rządu, a przeróżne grupy i grupki neofaszystowskie zaktiwizowały swoją działalność — wytworzyła się sytuacja nader dramatyczna. Przerazeni Włosi zachodzili w głowę, o co tu chodzi? O masowe aresztowania, zamachy, zabójstwa polityczne, porywanie ludzi... Napięcie wzrosło jeszcze bardziej, kiedy dowiedziano się o tajemniczych ruchach wojsk i zastraszających „oświadczeniach” niektórych wyższych oficerów włoskiej armii.

Członkowie różnych partii dłem 1 nocą pełnili dyżury w lokalach partyjnych. Wiele osób nie nocowało w domach w obawie przed represjami. Nikt nie wiedział, jak na aresztowanie gen. Mitcheli zareaguje korpus oficerski. 2 listopada, w Genui, dowódca miejscowego garnizonu przybył na cmentarz miejski, żeby wziąć udział w uroczystości uczczenia pamięci bohaterów Ruchu Oporu, w asyście silnej eskorty. Ludzie zadawali sobie pytania co by się stało, gdyby któryś z generałów zechciał otwarcie zamianistować solidarność z gen. Mitchel.

Wielu spośród moich kolegów — odpowiedział na to pytanie korespondentowi rzymskiego „Espresso” oficer zajmujący wysokie stanowisko w jednej z miejscowych jednostek — nie przyszłoby na służbę. Weźmy na przykład karabinierów. Żeby zmusić ich do wystąpienia nie wystarczy dziś rozkaz dowódcy okręgu wojskowego, a nawet ministerstwa spraw wojskowych. Konieczny jest jeszcze bezpośredni rozkaz dowódcy karabinierów. A dowódca karabinierów, którego dobrze znamy, gdyż długie lata służył tutaj, w Genui, przede wszystkim wypełniłby rozkaz aresztowania gen. Mitcheli.

Ale jeśli się nie dotąd nie stało, to znaczy, że wszyscy rozstrzygnęli odcieranie. Najbardziej krytycznym momentem była noc z 31 października na 1 listopada.

Tyle oficer, co nie znaczy, że tak było naprawdę. Tym bardziej, że wiele osób w Genui mających takie lub inne kontakty twierdzi, że niebezpie-

czeństwo puczu wojskowego utrzymuje się nadal, gdyż właśnie w Genui niektórzy oficerowie są zamieszani w stare i w nowe sprawy kontrwywiadu wojskowego.

W Livorno niektórzy oficerowie stacjonujący tam dywizji straszili mieszkańców pogrozkami. Na szczęście tamtejsze władze cywilne zrobiły wszystko, co w ich mocy, żeby uspokoić społeczeństwo.

W rejonie Emilia-Romania reakcja na aresztowanie gen. Mitcheli w miejscowych kołach wojskowych była bardzo powściągliwa. A oto, co powiedział na ten temat jeden z wyższych urzędników administracji cywilnej, blisko współpracujący z miejscowym garnizonem: „Zarządzono stan pogotowia i to wszystko. Od razu było wiadomo, że jeśli coś się wydarzy,

mało Włochów, ale za to dużo oficerów zachodniollemieckich. Pragnąc uspokoić ludność wyspy miejscowe organizacje polityczne wydały oświadczenie, że chodzi tu o zwykłe „ćwiczenia wojskowe”.

Największe napięcie panowało w Rzymie. Admirał Birindelli, lider powstałego niedawno neofaszystowskiego „Narodowego związku włoskiego”, rozgłaszał prowokacyjne hasła. Grupy „czarnych koszul” rozkładały na murach domów plakaty z hasłem: „Wolność dla Mitchelego, Andreotti — do więzienia!”. Należy przypomnieć, iż gen. Andreotti był ministrem obrony w poprzednim rządzie Rumora. W sekcji partyjnej ultrapravicowców, w dzielnicy Appio-Latino, policja wykryła materiały wybuchowe, lonty oraz ulotki z hasłem: „4 listopada be-

macyjna Służba Sił Zbrojnych, popierająca SID — red.), odgrywający rolę swego rodzaju „państwa w państwie”. Jaka jest geneza tej wiodącej roli kontrwywiadu wojskowego w przygotowywaniu przewrotów państwowych we Włoszech? Odpowiedź jest prosta: SID jest zarazem organem wywiadowczym, kontrwywiadowczym i służbą bezpieczeństwa ogólnego. W świecie ma bardzo złą reputację. „Zamiast pracować za granicą, co jest trudne i niebezpieczne — pisze publicysta polityczny „L'Espresso” — 200 oficerów z kadry kierowniczej SID, głównie karabinierów i byłych pracowników innych wojskowych służb związanych z wywiadem i kontrwywiadem, plus około 1700 agentów — skoncentrowało swoją uwagę przede wszystkim na kontrolowaniu wewnętrznego życia politycznego w kraju.

Oprócz agentów etatowych, SID utrzymuje całą masę płatnych informatorów, którzy tkwią dosłownie wszędzie: w sądownictwie, w każdym ministerstwie, w grupach parlamentarnych — lewicowych i prawicowych, w każdej partii, w przedsiębiorstwach handlowych, uniwersytetach itd. Ponadto SID powołany z ruchami neofaszystowskimi, przeto cały jego aparat — z gęstą siecią penetracji faszystowskiej w kraju. Wiadomo, na przykład, że SID brał udział w wielu akcjach terrorystycznych neofaszystowskich bojówek.

Dlatego też akt oskarżenia zarzuca gen. Vito Mitchelemu spisek polityczny. Temu szefowi SID grozi długoległe więzienie za utworzenie organizacji „wyrotowej”, której celem było obalenie siły republikańskich instytucji państwowych. Oznacza to, iż w toku śledztwa zebrano dostateczną dowody, by uznać Mitchelego nie za uczestnika, lecz jednego z głównych organizatorów „czarnych spisków”, które w ostatnich latach strategii neofaszystowskiego terroru zagrażały we Włoszech zdobyciomu demokracji.

Ten nieprawdopodobny skandal, jakim jest aresztowanie dowódcy wojskowej służby kontrwywiadu pod zarzutem przygotowywania przewrotu państwowego, wstrząsnął opinią publiczną Włoch. Po raz pierwszy przed sądem stanie generał z trzema gwiazdkami. Waga oskarżenia nie ma precedensu w historii Włoch, bowiem po raz pierwszy dowództwo państwowej służby bezpieczeństwa zostało tak bezpośrednio objęte procesem działalności spiskowej.

Mówiąc o tej całej historii listopadowej próby przewrotu należy zwrócić uwagę na pewien istotny fakt — pisze komentator polityczny „Corriere della Sera”. — Słyszysz się coraz częściej, nie tylko we Włoszech, że niektórzy służby Paktu Atlantycznego wymagają od oficerów większej aktywności politycznej w określonym kierunku niż kwalifikacji zawodowych. Należenie do NATO rodzi trudne problemy w stosunkach między rządami a dowództwami wojskowymi. Problem ten jest charakterystyczny dla wszystkich krajów należących do NATO, a przede wszystkim dla Włoch, które są słabsze od innych państw. W tej sytuacji istnieje niebezpieczeństwo degradacji, służącej ciemnym interesom faszystów.

JERZY CZECH

NOWY SPISEK „CZARNYCH KOSZUL”

to w Rzymie, a nie tutaj. Poza tym, jeżeli nie liczyć Akademii Wojskowej w Modenie, to w Emilii-Romanii nie ma więcej specjalnych oddziałów wojskowych, w których istniałyby silne wpływy faszystów. Znaczna większość młodych oficerów służących w miejscowych jednostkach wojskowych — to niedawni poborowi, których trudno wciągnąć do jakiejś akcji wyrotowej”.

Niby prawda, chociaż wiadomo, że w koszarach okręgu wojskowego Emilia-Romania do dnia dzisiejszego debata się nad wydarzeniami wiosny i lata tego roku, kiedy to po szeregu prowokacji zorganizowanych przez neofaszystowski „Nowy porządek” aresztowano kilku młodych żołnierzy, należących do podziemnych organizacji „czarnych koszul”. Władzom sądowym udało się ustalić, że w jednej z jednostek rozlokowanych w Bolonii młodzi faszysci powołani do wojska byli uprzywilejowani: kontrolowano ich z przymuszeniem oka, niektórych, mimo opinii, iż są politycznie niebezpieczni, skierowano do wojsk inżynierskich w charakterze radiotelegrafistów. A kilka lat temu gen. lotnictwa podpisał okólnik, w którym wzywał wojskowych i członków przeróżnych stowarzyszeń byłych wojskowych do czujności i gotowości do walki ze wzrostem wpływów „czerwonych”.

W szczególności dramatycznych okolicznościach rozwinęły się wydarzenia na Sardinii. Rankiem 2 listopada miejscowy komitet partii komunistycznej otrzymał informację o przetruciu jednostek wojskowych z Perdasdefortu, przelotach śmigłowców i ruchach wojsk pancernych. W Perdasdefortzie znajduje się największy poligon rakietowy w zachodniej Europie. Wśród kadry dowódców poligonu jest

dział także naszym świętem!” W koszarach rozpuszczano prowokacyjne informacje, jakoby niektórzy oficerowie wyrazili solidarność z gen. Mitchel i zażądali od wyższego dowództwa wyjaśnień w sprawie jego aresztowania. Ruchy czołgów na ulicach stolicy w nocy z 3 na 4 listopada znów wzbudziły duży niepokój, ale rano 4 listopada we wszystkich koszarach panował już spokój.

Nie ulega dziś wątpliwości, że we Włoszech został przygotowany przewrót wojskowy, który miał być dokonany w dniach 1—4 listopada br. Kto stał za kulami tego puczu? Po sensacyjnym aresztowaniu byłego szefa kontrwywiadu wojskowego, gen. Mitcheli, ustalono podczas śledztwa, rzecz nienowa, iż neofaszyści mieli mocne i szerokie poparcie osób zajmujących wysokie i odpowiedzialne stanowiska w aparacie państwowym, w wojsku i kontrwywiadzie, jak również w sztabach NATO. Na razie nie ustalono nazwisk głównych organizatorów szeroko rozgałęzionej sieci neofaszystowskich grup wyrotowych i źródeł ich finansowania. Wiadomo tylko, że Mitcheli miał być jednym z wykonawców puczu wojskowego, na co wskazują ujawnione w śledztwie jego ścisłe związki z neofaszystami z „Frontu narodowego” i „Róży wiatrów”, rozwijającej podziemną działalność w wojsku. Nie mając pewności co do poparcia puczu przez całą armię, jego organizatorom nie udało się przeprowadzić do końca planów przewrotu państwowego. Skończyło się na „manewrach”.

We wszystkich ujawnionych dotąd spisach antyrządowych we Włoszech była zawsze zamieszana policja, a przede wszystkim kontrwywiad-SID. (Tak, jak przedtem SIFAR — Infor-

Z TAJEMNIC ZAMIERZCHŁYCH CYWILIZACJI

PIRAMIDY W DŻUNGLI

Już od szeregu lat uczeni z uporem próbują odkryć tajemnice starożytnych cywilizacji zachodniej półkuli. W wysokich górach, w niedostępnych dżunglach kontynentu amerykańskiego, odnajdują wciąż nowe dowody wysoko rozwiniętej cywilizacji i kultury Majów, Inków i innych plemion indyjskich.

W Tikal, w północnowschodniej części Gwatemali, wśród dżungli, do dziś wznoszą się ruiny wielkiego ośrodka kulturowego Majów. Odkryto tu najstarszą datę z historii Majów: rok 292 n.e. Jednak cywilizacja Majów osiągnęła najwyższy poziom rozwoju w VI wieku naszej ery. Tutaj, wśród masywnych ścian świątyni i ogromnych piramid — największa liczy 70 metrów wysokości — pokrytych zagadkowymi hieroglifami, do dziś właściwie nie odczytanymi, kryją się z pewnością ważne świadectwa kultury, historii i pochodzenia tego narodu. Mimo licznych wykopalisk i badań wiedza o Majach jest wciąż bardzo skąpa, a ich cywilizacja po dziś dzień należy do jednej z najbardziej zagadkowych w dziejach ludzkości.

Silvanus Morly, znany badacz zamierchłych cywilizacji, studiował przede wszystkim zewnętrzne cechy Indian plemienia Majów. Nawet z tego punktu widzenia są one niezwykle: niski wzrost, długie ręce, stopy i dłonie małe i — w porównaniu z przeciętną — duży obwód czaszki. Wśród noworodków tego plemienia występuje często tzw. „mongolska

plama”, charakterystyczna dla mieszkańców wschodniej Azji. Owa mała, niebieskawa i nieregularna plamka jest wyraźnie widoczna u nasady kregosłupa i znika dopiero w dziesiątym roku życia. Niewyjaśniona zagadka!

Czy oznacza to, że Majowie, podobnie jak i inni przedstawiciele rdzennej ludności zachodniej półkuli, przybyli tutaj z Azji przez Cieśninę Beringa, która 15—20 tysięcy lat temu była wąskim pomostem łąącym dwa kontynenty? Być może. Ale ogólnie przyjęta teoria, możliwa do przyjęcia w odniesieniu do jakiegokolwiek innego plemienia indiańskiego zamieszkującego kontynent amerykański od Kanady aż po Ziemię Ognistą, nie sprawdza się w odniesieniu do Majów. W odróżnieniu bowiem od wszystkich innych Indian, Majowie nigdy nie byli koczownikami. Wiadomo, że zamieszkiwali bardzo ograniczone terytorium, praktycznie nie wydalać się poza jego granice. Nawet kiedy ich cywilizacja osiągnęła apogeum rozwoju, Majowie nie zakładali osiedli z dala od tradycyjnych centrów. Ogromne zdumienie wśród uczonych wywołuje także fakt, że ośrodki te zostały założone i długi czas rozwijały się pomyślnie w najbardziej niekorzystnym środowisku życiowym Ameryki Środkowej.

Istnieje również wersja, ogólnie mówiąc, zakrawająca bardziej na legendę, niż naukową teorię. Przypuszcza się, że Majowie są potomkami Fe-

nicians, którzy przywędrowali tutaj znad brzegów Morza Śródziemnego, a następnie zmieszali się z miejscowymi plemionami pochodzenia azjatyckiego. Tak więc rdzenni mieszkańcy wnieśli do nich na tym kontynencie, wywodziłby się z piramid, które zbudowali egipcjscy faraonowie. Interesujące, ale czy prawdziwe? Nawiasem mówiąc, wersję tę potwierdzają pośrednio niektóre fakty. I tak, w osiedlu Jukatan, na wyspie La Benta, odkryto stela — stojącą płytę nagrobną — świadczącą, zdaniem archeologów, o wpływach starogreckiej kultury, od której prawdopodobnie odgałęziła się cywilizacja Majów. Na owej steli, wykonanej ok. V wieku p.n.e., widnieje — wywołująca zdumienie uczonych — podobizna brodatego starca o wyraźnie europejskich rysach! Uczeń wyrażając przypuszczenie, że był on czymś w rodzaju bóstwa, ojca — założyciela i opiekuna narodu Majów. Ale nie tylko. Specjalne badania wskazują rzekomo, że brodaty starzec jest, ni mniej ni więcej, tylko samym Pitagorasem, który uciekł ze starożytnej Grecji w 80 roku życia do Ameryki Środkowej na fenickim żaglowcu. Twierdząc tak, powołują się na fakt, iż po stumieniu powstania w Krotonie nie znaleziono ciała Pitagorasa. Dożył on, utrzymują zwolennicy tej wersji, 104 lat, tj. wieku owego brodatego bóstwa. W ten sposób, Majowie jakoby bezpośrednio od Pitagorasa otrzymali szereg informacji niezbędnych do stworzenia kalenda-

rza, wykonania map układu gwiazdowego nieba oraz projektowania i budowy piramid.

„Teoria” ta, mimo jej bezzasadności, wskazuje, po jakich manowcach błądzą badania naukowe w dążeniu do wyjaśnienia fenomenu kultury Majów. A zawiera on niezliczoną ilość znaków zapytania. Na przykład Majowie, którzy umieli wykonywać złożone obliczenia matematyczne, nie odkryli zasad koła, budowali monumentalne gmachy i posiadali wyrafinowany smak architektoniczny, ale nie znali sklepień łukowych, opracowali złożony system piśmiennictwa hieroglificznego, żeby przekazywać myśli i odczucia, opisywać wydarzenia historyczne, ale nie znali zasad zwykłej wagi. Kim są Majowie? Jak powstała ich cywilizacja? Dlaczego osiągnęła nagle nadzwyczajny rozkwit, zatrzymała się w rozwoju? Na te pytania nie ma, niestety, odpowiedzi.

Udało się im opracować skomplikowaną mapę firmamentu, wpisać na ideę pojęcia wieczności, ale nie udało im się wynaleźć podstawowych, ważnych życiowo mechanizmów, którymi tak szeroko posługiwali się wczesne cywilizacje Europy, Północnej Afryki i Azji. Jeśli hieroglify, których używali, uda się odczytać, wiele się wyjaśni. Już dziś wiadomo, że zawierają one informacje z dziedziny wierzeń religijnych, astronomii, historii. Oprócz napisów wyrytych w kamieniu, Majowie pozostawili po sobie także książki, ale do naszych czasów przetrwały, niestety, zaledwie trzy. Wszystkie inne zniszczyli hiszpańscy misjonarze, którzy ledwie dotknęli stopą brzegów kontynentu a już zabierali się do brutalnego nawracania „pogan” — Majów na chrześcijaństwo. Ta nieszczerza działalność ojców Kościoła, trwająca kilka stuleci, spowodowała niepowetowane szkody, których konsekwencje odczuwa nauka do dziś.

Cz.

WIESŁAW PUSZ

ŚWIAT i TAJNA POLICJA

„Łoża przyzwolcie zebrana, węzłem braterskim połączona, pod punktem geometrycznym przez samych tylko Wolnych Mularzy znanym, otwartą i oświeconą została. (...) Wprowadzeni pojedynczo bracia ... odbywali podróże temu stopniu właściwe, a po wykonanej przysiędze brat... złożonym został w grobie, gdyż każdego z ludzi obowiązkiem jest rozpamiętywać ostateczny kres życia człowieka przeznaczony. Mistrz katedry wraz z braćmi dozorcami i mistrzami wyszukiwał zwłoki najprzewielebniejszego wielkiego mistrza Hyrama. Po odbyciu tego obrzędu mistrz..., podniesiony z grobu, oraz inni bracia do tego stopnia przyjmowani, otrzymali od mistrza katedry znaki, słowo i dotknięcie, a od braci dozorców hasła nauczani zostali“.

Tak masoni w tajemniczości czeladnika do stopnia mistrza (cytat z protokołu posiedzeń loży). Badał jeszcze więcej elementu makabry zawierał akt „promowania” mistrza na kawalera wybranego. „Nowo przyjmowany rzucił się na Abyrama (kukłę), uciął mu głowę, bierze ją lewą ręką, opiera o białe, w ręku prawym trzyma sztylet zwrócony na dół“.

Ale to nie ukrywamy przecież obrzęd masoniści dostarczał dreszczyku emocji „światowym” (wszystkim nie masonom). Atmosferę sensacji i grozy tworzyło powszechne przeświadczenie o rzeko-

mych niesłychanych zwyczajach, majątku i rozległych powiązaniach rozgałęzionego wolnomularstwa.

W gruncie rzeczy masoneria „poczęła w w. XVIII w Anglii, wyrasta z tradycji związków cechowych i nawiązuje do starej legendy o zamordowaniu mistrza (zwanego Hiramem), budowniczego świątyni, zabitego przez trzech czeladników żądających ujawnienia „słowa” mistrzów, które zapewniało większą zapłatę. Symbolika rytuału masonińskiego nawiązuje do tej legendy, różnie zresztą w różnych krajach i czasach.

W Polsce (już rozbirowej) po wstę-

nym okresie powstawania różnorodnych loży, często kierowanych przez wszelkiej profesji wyznawców wiedzy tajemnej, z alchemią na czele — w 1781 r. uformował się Wielki Wschód Królestwa Polskiego i W. Księstwa Litewskiego — niezależna władza zjednoczonych w Wielkim Wschodzie loży masoniści.

2. W Polsce obowiązywał ryt. siedmiostopniowy. Trzy pierwsze stopnie: ucznia, czeladnika i mistrza, składały się na trzy loże symboliczne. Nauka dwóch pierwszych stopni polegała na wyrobieniu w wolnomularzu enot: zaufania, szczerości, miłosierdzia dla ubogich, posłuszeństwa, łagodności, odwagi i miłości. Dopiero mistrza wprowadzano do tajemnie wolnomularstwa opowiadając mu legendę o Hiramie — „podróż” tego stopnia była szukanym jego grobu.

Dwa następne stopnie tworzyły loże składające się na tzw. kapitułę niższą. Stopień czwarty to Kawaler Wybrany, piąty — Kawaler Szkolny; w tajemniczości w czwartym to zemsta na jednym z morderców Hiram, w piątym — odszukanie jego skarbu.

Kolejne dwa stopnie — najwyższe — tworzyły loże kapituły wyższej: Kawalera Wschodu i Kawalera Różanego Krzyża. Na szarfe Kawalera Wschodu umieszczono Hery L. D. E. — skrót: Lilia Pedibus Destrue, „zdeptaj lilie nogami”. Było to hasło wolnomularzy francuskich z okresu wielkiej rewolucji: w Polsce „nieprzydatność” apelu do woli z monarchią spowodowała w 1813 roku zmianę tego „wyobrażenia hieroglificznego”. Stopień szósty też nie korzystał z dzieł Hiram; używana tam symbolika sugerowała, iż nauczano zemsty na Chrystusie. W Polsce jednak cel tego stopnia brzmiał ponoć: „Zemsta za Hiram. Równost, wolność, jak w przyrodzonej religii patriarchów“.

Władze nad lożami sprawowały w Polsce: Kapituła Najwyższa (27 osób dożywotnio wybieranych) — dozor dogmatyczny i mistyczny, Wielki Wschód — złożony z przedstawicieli loży symbolicznych i kapituł wybierających na rok (w praktyce różnie) Wielkiego Mistrza, trzech Namieśników i trzynastu Wielkich Urzędników (W. Mistrz wybierał kolejnych sześciu Urzędników), oraz Wielki Warsztat — składający się z urzędników Wielkiego Wschodu i zbierający się raz w tygodniu.

Aktem prawodawczym była Ustawa z 1784 r.

3. Szacunek wyedukowanego Polaka dla wolnomularstwa zasadza się na romantycznej proweniencji kulcie wielkich nazwisk. W czasach stanisławowskich niewiele znajdźmy nazwisk osób z wielkich i wiekszych kart naszej historii, którzy nie byłiby masonami. Jest więc nim i Stanisław August i

Adam Czartoryski. Książnik i W. Bogusławski. I Potocki i St. Małachowski. Prawie całe stronnictwo patriotyczne Wielkiego Sejmu.

Ale rozkwit masonerii to lata po Kongresie Wiedeńskim. Król Polski — brat Aleksander i staje się łaskawym protektorem wolnomularstwa. Nie być masonem znacząco nie być obywatelem „wielkiego świata”. W. Mistrzem w 1. 1812—1821 został kolejny z braci Potockich — Stanisław Kostka — prezes senatu i minister oświaty. Tylko wśród Wielkich Urzędników spotykamy L. Osńskiego, Fr. Wężyka, K. Brodzińskiego, „Zwykłym” masonem był J. U. Niemcewicz.

Zarazem wśród masonów znajdujemy Jerzego Kempna, pułkownika, naczelnika policji tajnej, Aleksandra Rożnieckiego, generała, twórcę i szefa żandarmerii i Mateusza Lubowidzkiego, wiceprezenta Warszawy, zarządzającego Policją Muniyapalną.

4. Trzy policje Królestwa Polskiego (do r. 1822) współzawodniczyły ze sobą zaczęły i bez skrupułów. Nie dziwnego, że każda z nich musiała mieć „reprezentantów” w masonerii. Doskonałym źródłem do poznania dzieł wolnomularstwa w Królestwie oraz różnorodnych harców „pracowników” wszelkich policji są słynne raporty szpiega doskonałego — Henryka Mackrofta-juniora.

Szpieg w drugim pokoleniu, syn także Henryka, zasłużonego donosiela (zaczynał przy Igelstroemie), fryzjera i perukarza warszawskiego — ukończył konwikt pijarski i studiował medycynę na Uniwersytecie Warszawskim. Działal, jak każdy dobry agent, na dwie strony. Należał do Wyższej Wojennej Policji Sekretnej („wieczelacz”) policji tajnej, zorganizowanej przez Nowosilcowa, kierowanej przez Kempna, ale pracował głównie dla W. Księcia — jako szef jego prywatnej, tajnej kontroli. Mackroft śledził żandarmerię (Rożnieckiego) i Policję Muniyapalną (Lubowidzkiego), a nawet „swoją” Policję Sekretną (Kempna). Lubowidzki i Rożniecki ze swej strony pilnowali Mackrofta. Z czasem okazało się, że nawet w osobistej kontroli Konstantego była „wtyczka” Nowosilcowa.

Stużba Mackroftów była chyba nieźle płatna. Szpieg ojciec obwieszczał w „Gazecie Warszawskiej” z 1819 r.

„Nież podpisany ma honor doniesieć Przewodniczący Publiczności, iż jego magazyn Peruk i Fryzjerna (...) przeniesione zostały do własnego jego domu (...) Uwiadomiam oraz, iż tamże otworzył Galernia, w której codziennie każdy z wszelką wygodą usłużonym być może“.

Syn zaś nie omieszczał zaznaczać w raportach do W. Księcia, iż nowy dom Mackroftów był zawsze z okazji świąt szczerze iluminowany. Pisał o ojcu: „Zrobił wszystko, co mógł, by uczyć w swym małym kątku wielką uroczystość i aby przyćmić się też cokolwiek do rozrywki ludu. Cała chata przy ulicy Długiej jaśniała w ognach najprzeróżniejszych”. Były dwa transparenty, na jednym z nich popiersie naszego wielkiego monarchy, a na drugim napis:

„Ty, szczęście ludów Twoich, cześć ich w późne lata!“

Przyjmij w hołdzie ofiarę i z tej malej chaty“.

W. Książę oprócz raportów dostawał także — gratis — na imieniny i urodziny — jedynę w swym rodzaju grafomańskie panegiriki szpiegowskie.

„Rozpracowano” Mackroftów, jak i większość innych agentów, stosunkowo szybko. I lud dostarczał rozrywki Mackroftom. Młodszy niecierpiał zniechęconie, starszy akademik regularnie łomotał łaskami po okiennicach nowego domu.

Obaj zawiśli na szubienicy (wraz z innymi, ale nie wszystkimi — na co ubolewała opinia Warszawy) w czasie powstania listopadowego.

5. Mackroft-junior nie był masonem czynnym, posiadał jedynie przez „komunikowanie” dwa najniższe stopnie. Ale ojciec był aż Kawalerem Różanego Krzyża, wolnomularzem najwyższego

siódmego rytu. Stąd, choć nie tylko, brały się dokładne informacje o wszelkich „zakrytych” sprawach masonerii, płynące w raportach do W. Księcia.

W 1819 r. loża Świątyni Izis wyklucza ze swych członków „starego” Mackrofta, badając pod pretekstem tylko samowolnego udzielania dwóch pierwszych stopni. Upór i apeliacje szpiega na nic wiele się zdały. Mackroft jednak usiłował nadal korzystać ze swych „praw masona wysokiego stopnia” — wdzierał się na ważne posiedzenia. Zdarzyło się i tak, że na jednym z takich zebrań szpieg Rożniecki wyrzucił za drzwi swego kompana w fachu. „Biedny Mackroft” — pisał syn w raporcie — zjadłszy oznaki i schowawszy je do kieszeni, wychodził zmieszany, zawstydzony i obłąkany, gdyż nie mając sobie nic do wyrzucenia traktowany jest przez swych braci jako złoźyca“.

Ubóstwiany przez galerię słynny komik warszawskiego teatru, A. Żółkowsky, skwitował porażkę szpiega w swym satyrycznym piśmie „Mamusie” — powtarzającym powszechnie kalamburem: „Kto panie ma krocie jest wesoły?” (a pisał też później w ośbie „reklamę” i „Ma łysiny perukarz”).

6. W dalszym jednak ciągu ojciec i syn pomagali oraz doradzali w kampanii rozbijania od wewnątrz wolnomularstwa. General A. Rożniecki, jedna z kreatur kręjących się przy ks. J. Poniatowskim (też masonie), „wstawiony” chowaniec na się po piwnicach w bitwie pod Lipskiem, później szef żandarmerii, wznalazca „pułki Rożnieckiego” — dodatkowych zadanach pochłaniających resztkę światła więzionemu stanowi, a przy tym kilkakrotnie Wielki Namieśnik Wielkiego Wschodu — dążył konsekwentnie do scentralizowania władzy polskiej masonerii: dla łatwiejszej kontroli i sparaliżowania samodzielności poszczególnych loży.

Wykorzystywana była do tego konieczna w powszechnym odczuciu masonów zmiana Ustawy z 1784 r. Od 1815 trwa bój między „partią legalną”, jak chce Mackroft, i opozycją. Pierwsi dążyli do narzucenia tzw. „Ustawy Poprawnej”, drudzy bronili kilkakrotnie zgłaszanego „Projektu Ustawy Związkowej“.

Mackroft cały czas w swych raportach służył radą. „Byłoby pożądanym, aby Plater, Elsner i ks. Dembek (przywódcy opozycji) byli zobowiązani na pewien czas do zaprzestania prac wolnomularskich”. Proponuje po wielokroć, by w stosunku do „buntowników” użyć „władzy wyższej od wolnomularskiej”. Wielbi „oko wszechwładzące“.

Przeszkoda do zwolnienia obrad, mających przeforsować „Ustawę Poprawną”, był stan zdrowia bezwolnego, bliskiego śmierci, Wielkiego Mistrza — St. Potockiego. „Jest na to sposób — radzi Mackroft. — Trzeba, aby Wielki Mistrz zwołał zebranie Wielkiego Wschodu w dużej sali swego pałacu i posadził koło siebie. Bedzie mu mówić cicho, a ten ktoś będzie głośno powtarzał“.

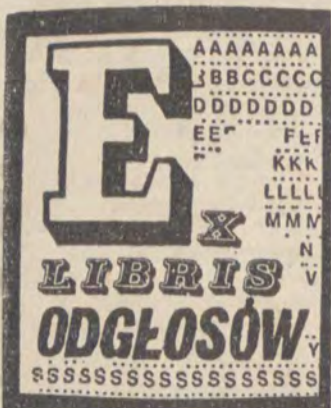
Ostatecznie 30 maja 1820 r. zatwierdzona zostaje „Ustawa Poprawna”. Większość loży zaczyna się na znak protestu zamykać, część prowadzi prace nielegalnie, nie podlegając Wielkiemu Wschodowi. W styczniu 1821 r. St. Potocki zrzeka się władzy, Wielkim Mistrzem zostaje A. Rożniecki. Działania jego noszą teraz znamiona prowokacji. „Godzi” zwaśnione stronnictwa, powiększa organizacyjny zamęt.

W październiku 1821 dekretem Namieśnika loże masoniści zostają zamknięte. W 1822 Aleksander i specjalnym „ukazem” likwiduje wolnomularstwo na terenie Rosji i Królestwa Polskiego.

Zaczyna się epoka innych stowarzyszeń i innych celów: roztacza się bluro Mackroftów. Ale praca ich jest już trudniejsza — nadszedł czas konspiracji. Jak wiadomo, pierwszą z nich było Wolnomularstwo Narodowe.



Scena rytuału z r. 1819. 1. Ołtarz, 2. Ołtarz, 3. Ołtarz, 4. Ołtarz, 5. Ołtarz, 6. Ołtarz, 7. Ołtarz, 8. Ołtarz, 9. Ołtarz, 10. Ołtarz, 11. Ołtarz, 12. Ołtarz, 13. Ołtarz, 14. Ołtarz, 15. Ołtarz, 16. Ołtarz, 17. Ołtarz, 18. Ołtarz, 19. Ołtarz, 20. Ołtarz, 21. Ołtarz, 22. Ołtarz, 23. Ołtarz, 24. Ołtarz, 25. Ołtarz, 26. Ołtarz, 27. Ołtarz, 28. Ołtarz, 29. Ołtarz, 30. Ołtarz, 31. Ołtarz, 32. Ołtarz, 33. Ołtarz, 34. Ołtarz, 35. Ołtarz, 36. Ołtarz, 37. Ołtarz, 38. Ołtarz, 39. Ołtarz, 40. Ołtarz, 41. Ołtarz, 42. Ołtarz, 43. Ołtarz, 44. Ołtarz, 45. Ołtarz, 46. Ołtarz, 47. Ołtarz, 48. Ołtarz, 49. Ołtarz, 50. Ołtarz, 51. Ołtarz, 52. Ołtarz, 53. Ołtarz, 54. Ołtarz, 55. Ołtarz, 56. Ołtarz, 57. Ołtarz, 58. Ołtarz, 59. Ołtarz, 60. Ołtarz, 61. Ołtarz, 62. Ołtarz, 63. Ołtarz, 64. Ołtarz, 65. Ołtarz, 66. Ołtarz, 67. Ołtarz, 68. Ołtarz, 69. Ołtarz, 70. Ołtarz, 71. Ołtarz, 72. Ołtarz, 73. Ołtarz, 74. Ołtarz, 75. Ołtarz, 76. Ołtarz, 77. Ołtarz, 78. Ołtarz, 79. Ołtarz, 80. Ołtarz, 81. Ołtarz, 82. Ołtarz, 83. Ołtarz, 84. Ołtarz, 85. Ołtarz, 86. Ołtarz, 87. Ołtarz, 88. Ołtarz, 89. Ołtarz, 90. Ołtarz, 91. Ołtarz, 92. Ołtarz, 93. Ołtarz, 94. Ołtarz, 95. Ołtarz, 96. Ołtarz, 97. Ołtarz, 98. Ołtarz, 99. Ołtarz, 100. Ołtarz, 101. Ołtarz, 102. Ołtarz, 103. Ołtarz, 104. Ołtarz, 105. Ołtarz, 106. Ołtarz, 107. Ołtarz, 108. Ołtarz, 109. Ołtarz, 110. Ołtarz, 111. Ołtarz, 112. Ołtarz, 113. Ołtarz, 114. Ołtarz, 115. Ołtarz, 116. Ołtarz, 117. Ołtarz, 118. Ołtarz, 119. Ołtarz, 120. Ołtarz, 121. Ołtarz, 122. Ołtarz, 123. Ołtarz, 124. Ołtarz, 125. Ołtarz, 126. Ołtarz, 127. Ołtarz, 128. Ołtarz, 129. Ołtarz, 130. Ołtarz, 131. Ołtarz, 132. Ołtarz, 133. Ołtarz, 134. Ołtarz, 135. Ołtarz, 136. Ołtarz, 137. Ołtarz, 138. Ołtarz, 139. Ołtarz, 140. Ołtarz, 141. Ołtarz, 142. Ołtarz, 143. Ołtarz, 144. Ołtarz, 145. Ołtarz, 146. Ołtarz, 147. Ołtarz, 148. Ołtarz, 149. Ołtarz, 150. Ołtarz, 151. Ołtarz, 152. Ołtarz, 153. Ołtarz, 154. Ołtarz, 155. Ołtarz, 156. Ołtarz, 157. Ołtarz, 158. Ołtarz, 159. Ołtarz, 160. Ołtarz, 161. Ołtarz, 162. Ołtarz, 163. Ołtarz, 164. Ołtarz, 165. Ołtarz, 166. Ołtarz, 167. Ołtarz, 168. Ołtarz, 169. Ołtarz, 170. Ołtarz, 171. Ołtarz, 172. Ołtarz, 173. Ołtarz, 174. Ołtarz, 175. Ołtarz, 176. Ołtarz, 177. Ołtarz, 178. Ołtarz, 179. Ołtarz, 180. Ołtarz, 181. Ołtarz, 182. Ołtarz, 183. Ołtarz, 184. Ołtarz, 185. Ołtarz, 186. Ołtarz, 187. Ołtarz, 188. Ołtarz, 189. Ołtarz, 190. Ołtarz, 191. Ołtarz, 192. Ołtarz, 193. Ołtarz, 194. Ołtarz, 195. Ołtarz, 196. Ołtarz, 197. Ołtarz, 198. Ołtarz, 199. Ołtarz, 200. Ołtarz, 201. Ołtarz, 202. Ołtarz, 203. Ołtarz, 204. Ołtarz, 205. Ołtarz, 206. Ołtarz, 207. Ołtarz, 208. Ołtarz, 209. Ołtarz, 210. Ołtarz, 211. Ołtarz, 212. Ołtarz, 213. Ołtarz, 214. Ołtarz, 215. Ołtarz, 216. Ołtarz, 217. Ołtarz, 218. Ołtarz, 219. Ołtarz, 220. Ołtarz, 221. Ołtarz, 222. Ołtarz, 223. Ołtarz, 224. Ołtarz, 225. Ołtarz, 226. Ołtarz, 227. Ołtarz, 228. Ołtarz, 229. Ołtarz, 230. Ołtarz, 231. Ołtarz, 232. Ołtarz, 233. Ołtarz, 234. Ołtarz, 235. Ołtarz, 236. Ołtarz, 237. Ołtarz, 238. Ołtarz, 239. Ołtarz, 240. Ołtarz, 241. Ołtarz, 242. Ołtarz, 243. Ołtarz, 244. Ołtarz, 245. Ołtarz, 246. Ołtarz, 247. Ołtarz, 248. Ołtarz, 249. Ołtarz, 250. Ołtarz, 251. Ołtarz, 252. Ołtarz, 253. Ołtarz, 254. Ołtarz, 255. Ołtarz, 256. Ołtarz, 257. Ołtarz, 258. Ołtarz, 259. Ołtarz, 260. Ołtarz, 261. Ołtarz, 262. Ołtarz, 263. Ołtarz, 264. Ołtarz, 265. Ołtarz, 266. Ołtarz, 267. Ołtarz, 268. Ołtarz, 269. Ołtarz, 270. Ołtarz, 271. Ołtarz, 272. Ołtarz, 273. Ołtarz, 274. Ołtarz, 275. Ołtarz, 276. Ołtarz, 277. Ołtarz, 278. Ołtarz, 279. Ołtarz, 280. Ołtarz, 281. Ołtarz, 282. Ołtarz, 283. Ołtarz, 284. Ołtarz, 285. Ołtarz, 286. Ołtarz, 287. Ołtarz, 288. Ołtarz, 289. Ołtarz, 290. Ołtarz, 291. Ołtarz, 292. Ołtarz, 293. Ołtarz, 294. Ołtarz, 295. Ołtarz, 296. Ołtarz, 297. Ołtarz, 298. Ołtarz, 299. Ołtarz, 300. Ołtarz, 301. Ołtarz, 302. Ołtarz, 303. Ołtarz, 304. Ołtarz, 305. Ołtarz, 306. Ołtarz, 307. Ołtarz, 308. Ołtarz, 309. Ołtarz, 310. Ołtarz, 311. Ołtarz, 312. Ołtarz, 313. Ołtarz, 314. Ołtarz, 315. Ołtarz, 316. Ołtarz, 317. Ołtarz, 318. Ołtarz, 319. Ołtarz, 320. Ołtarz, 321. Ołtarz, 322. Ołtarz, 323. Ołtarz, 324. Ołtarz, 325. Ołtarz, 326. Ołtarz, 327. Ołtarz, 328. Ołtarz, 329. Ołtarz, 330. Ołtarz, 331. Ołtarz, 332. Ołtarz, 333. Ołtarz, 334. Ołtarz, 335. Ołtarz, 336. Ołtarz, 337. Ołtarz, 338. Ołtarz, 339. Ołtarz, 340. Ołtarz, 341. Ołtarz, 342. Ołtarz, 343. Ołtarz, 344. Ołtarz, 345. Ołtarz, 346. Ołtarz, 347. Ołtarz, 348. Ołtarz, 349. Ołtarz, 350. Ołtarz, 351. Ołtarz, 352. Ołtarz, 353. Ołtarz, 354. Ołtarz, 355. Ołtarz, 356. Ołtarz, 357. Ołtarz, 358. Ołtarz, 359. Ołtarz, 360. Ołtarz, 361. Ołtarz, 362. Ołtarz, 363. Ołtarz, 364. Ołtarz, 365. Ołtarz, 366. Ołtarz, 367. Ołtarz, 368. Ołtarz, 369. Ołtarz, 370. Ołtarz, 371. Ołtarz, 372. Ołtarz, 373. Ołtarz, 374. Ołtarz, 375. Ołtarz, 376. Ołtarz, 377. Ołtarz, 378. Ołtarz, 379. Ołtarz, 380. Ołtarz, 381. Ołtarz, 382. Ołtarz, 383. Ołtarz, 384. Ołtarz, 385. Ołtarz, 386. Ołtarz, 387. Ołtarz, 388. Ołtarz, 389. Ołtarz, 390. Ołtarz, 391. Ołtarz, 392. Ołtarz, 393. Ołtarz, 394. Ołtarz, 395. Ołtarz, 396. Ołtarz, 397. Ołtarz, 398. Ołtarz, 399. Ołtarz, 400. Ołtarz, 401. Ołtarz, 402. Ołtarz, 403. Ołtarz, 404. Ołtarz, 405. Ołtarz, 406. Ołtarz, 407. Ołtarz, 408. Ołtarz, 409. Ołtarz, 410. Ołtarz, 411. Ołtarz, 412. Ołtarz, 413. Ołtarz, 414. Ołtarz, 415. Ołtarz, 416. Ołtarz, 417. Ołtarz, 418. Ołtarz, 419. Ołtarz, 420. Ołtarz, 421. Ołtarz, 422. Ołtarz, 423. Ołtarz, 424. Ołtarz, 425. Ołtarz, 426. Ołtarz, 427. Ołtarz, 428. Ołtarz, 429. Ołtarz, 430. Ołtarz, 431. Ołtarz, 432. Ołtarz, 433. Ołtarz, 434. Ołtarz, 435. Ołtarz, 436. Ołtarz, 437. Ołtarz, 438. Ołtarz, 439. Ołtarz, 440. Ołtarz, 441. Ołtarz, 442. Ołtarz, 443. Ołtarz, 444. Ołtarz, 445. Ołtarz, 446. Ołtarz, 447. Ołtarz, 448. Ołtarz, 449. Ołtarz, 450. Ołtarz, 451. Ołtarz, 452. Ołtarz, 453. Ołtarz, 454. Ołtarz, 455. Ołtarz, 456. Ołtarz, 457. Ołtarz, 458. Ołtarz, 459. Ołtarz, 460. Ołtarz, 461. Ołtarz, 462. Ołtarz, 463. Ołtarz, 464. Ołtarz, 465. Ołtarz, 466. Ołtarz, 467. Ołtarz, 468. Ołtarz, 469. Ołtarz, 470. Ołtarz, 471. Ołtarz, 472. Ołtarz, 473. Ołtarz, 474. Ołtarz, 475. Ołtarz, 476. Ołtarz, 477. Ołtarz, 478. Ołtarz, 479. Ołtarz, 480. Ołtarz, 481. Ołtarz, 482. Ołtarz, 483. Ołtarz, 484. Ołtarz, 485. Ołtarz, 486. Ołtarz, 487. Ołtarz, 488. Ołtarz, 489. Ołtarz, 490. Ołtarz, 491. Ołtarz, 492. Ołtarz, 493. Ołtarz, 494. Ołtarz, 495. Ołtarz, 496. Ołtarz, 497. Ołtarz, 498. Ołtarz, 499. Ołtarz, 500. Ołtarz, 501. Ołtarz, 502. Ołtarz, 503. Ołtarz, 504. Ołtarz, 505. Ołtarz, 506. Ołtarz, 507. Ołtarz, 508. Ołtarz, 509. Ołtarz, 510. Ołtarz, 511. Ołtarz, 512. Ołtarz, 513. Ołtarz, 514. Ołtarz, 515. Ołtarz, 516. Ołtarz, 517. Ołtarz, 518. Ołtarz, 519. Ołtarz, 520. Ołtarz, 521. Ołtarz, 522. Ołtarz, 523. Ołtarz, 524. Ołtarz, 525. Ołtarz, 526. Ołtarz, 527. Ołtarz, 528. Ołtarz, 529. Ołtarz, 530. Ołtarz, 531. Ołtarz, 532. Ołtarz, 533. Ołtarz, 534. Ołtarz, 535. Ołtarz, 536. Ołtarz, 537. Ołtarz, 538. Ołtarz, 539. Ołtarz, 540. Ołtarz, 541. Ołtarz, 542. Ołtarz, 543. Ołtarz, 544. Ołtarz, 545. Ołtarz, 546. Ołtarz, 547. Ołtarz, 548. Ołtarz, 549. Ołtarz, 550. Ołtarz, 551. Ołtarz, 552. Ołtarz, 553. Ołtarz, 554. Ołtarz, 555. Ołtarz, 556. Ołtarz, 557. Ołtarz, 558. Ołtarz, 559. Ołtarz, 560. Ołtarz, 561. Ołtarz, 562. Ołtarz, 563. Ołtarz, 564. Ołtarz, 565. Ołtarz, 566. Ołtarz, 567. Ołtarz, 568. Ołtarz, 569. Ołtarz, 570. Ołtarz, 571. Ołtarz, 572. Ołtarz, 573. Ołtarz, 574. Ołtarz, 575. Ołtarz, 576. Ołtarz, 577. Ołtarz, 578. Ołtarz, 579. Ołtarz, 580. Ołtarz, 581. Ołtarz, 582. Ołtarz, 583. Ołtarz, 584. Ołtarz, 585. Ołtarz, 586. Ołtarz, 587. Ołtarz, 588. Ołtarz, 589. Ołtarz, 590. Ołtarz, 591. Ołtarz, 592. Ołtarz, 593. Ołtarz, 594. Ołtarz, 595. Ołtarz, 596. Ołtarz, 597. Ołtarz, 598. Ołtarz, 599. Ołtarz, 600. Ołtarz, 601. Ołtarz, 602. Ołtarz, 603. Ołtarz, 604. Ołtarz, 605. Ołtarz, 606. Ołtarz, 607. Ołtarz, 608. Ołtarz, 609. Ołtarz, 610. Ołtarz, 611. Ołtarz, 612. Ołtarz, 613. Ołtarz, 614. Ołtarz, 615. Ołtarz, 616. Ołtarz, 617. Ołtarz, 618. Ołtarz, 619. Ołtarz, 620. Ołtarz, 621. Ołtarz, 622. Ołtarz, 623. Ołtarz, 624. Ołtarz, 625. Ołtarz, 626. Ołtarz, 627. Ołtarz, 628. Ołtarz, 629. Ołtarz, 630. Ołtarz, 631. Ołtarz, 632. Ołtarz, 633. Ołtarz, 634. Ołtarz, 635. Ołtarz, 636. Ołtarz, 637. Ołtarz, 638. Ołtarz, 639. Ołtarz, 640. Ołtarz, 641. Ołtarz, 642. Ołtarz, 643. Ołtarz, 644. Ołtarz, 645. Ołtarz, 646. Ołtarz, 647. Ołtarz, 648. Ołtarz, 649. Ołtarz, 650. Ołtarz, 651. Ołtarz, 652. Ołtarz, 653. Ołtarz, 654. Ołtarz, 655. Ołtarz, 656. Ołtarz, 657. Ołtarz, 658. Ołtarz, 659. Ołtarz, 660. Ołtarz, 661. Ołtarz, 662. Ołtarz, 663. Ołtarz, 664. Ołtarz, 665. Ołtarz, 666. Ołtarz, 667. Ołtarz, 668. Ołtarz, 669. Ołtarz, 670. Ołtarz, 671. Ołtarz, 672. Ołtarz, 673. Ołtarz, 674. Ołtarz, 675. Ołtarz, 676. Ołtarz, 677. Ołtarz, 678. Ołtarz, 679. Ołtarz, 680. Ołtarz, 681. Ołtarz, 682. Ołtarz, 683. Ołtarz, 684. Ołtarz, 685. Ołtarz, 686. Ołtarz, 687. Ołtarz, 688. Ołtarz, 689. Ołtarz, 690. Ołtarz, 691. Ołtarz, 692. Ołtarz, 693. Ołtarz, 694. Ołtarz, 695. Ołtarz, 696. Ołtarz, 697. Ołtarz, 698. Ołtarz, 699. Ołtarz, 700. Ołtarz, 701. Ołtarz, 702. Ołtarz, 703. Ołtarz, 704. Ołtarz, 705. Ołtarz, 706. Ołtarz, 707. Ołtarz, 708. Ołtarz, 709. Ołtarz, 710. Ołtarz, 711. Ołtarz, 712. Ołtarz, 713. Ołtarz, 714. Ołtarz, 715. Ołtarz, 716. Ołtarz, 717. Ołtarz, 718. Ołtarz, 719. Ołtarz, 720. Ołtarz, 721. Ołtarz,



ZEGARY

Moda na różne staroście powiększa nieustannie grono kolekcjonerów i zbieraczy, którzy przesiedają się w pomysłowości, skąd i gdzie wydobyci kolejny mniej lub bardziej cenny nabytek, powiększający własną kolekcję. Książka „Polskie zegary” na pewno ucieszy miłośników starych zegarów, a i tych, których z powodów choćby czysto ekonomicznych nie stać na własny zbiór — też zainteresuje. Jest to bowiem niezwykle starannie przygotowany przegląd dzieł mistrzów sztuki zegarowej w Polsce, od czasów najdawniejszych do współczesności. Autorką „Polskich zegarów” jest Wiesława Siedlecka, historyk sztuki, obecnie kustosz ze specjalizacją w zakresie metalu, a zwłaszcza zegarów, w Dziale Rzemiosł Artystycznych w Muzeum Narodowym w Wrocławiu. Ta przeznaczona dla szerokiego kręgu odbiorców publikacja jest tym cenniejsza, że w części ilustracyjnej czytelnik znajdzie najliczniejszy z dotychczas publikowanych zbiór dzieł polskiego zegarmistrzostwa. Piękne to zegary. Być może skłonią niejednego do chwili zadumy nad starym mechanizmem, który został kiedyś wyrzuty, po to, żeby zastąpić go nowoczesnym budzikiem. Może i bardziej funkcjonalnym, ale na pewno nie ładniejszym.

Wiesława Siedlecka „Polskie zegary”, Ossolineum, 1974, str. 159, cena zł 95.—

HISTORIA FOTOGRAFII

„Książka nosi tytuł „Historia fotografii warszawskiej”. A jest w gruncie rzeczy opisem dzieł polskiej fotografii. Aż trudno uwierzyć, że dziedzina ta — bez której nie można sobie dziś wyobrazić życia — nie miała dotąd swego historyka.

Jeszcze dziwniejszy jest fakt, że jedyna spisana historia polskiej fotografii od 1839 do 1889, przebiegała ponad 30 lat w rekonesansie i wydawała się dopiero dwadzieścia lat temu... w Płocku, w bibliofilskim nakładzie. A przecież, setki tysięcy ludzi fotografuje dziś, żyje z fotografii, samych wystaw nie sposób zliczyć... Czemu więc nikogo nie zainteresowały dzieła fotografii w Polsce? A przecież to w Polsce działał Kazimierz Prószyński — twórca kamery i aparatów projekcyjnych.

Brak takiej publikacji jest dotychczas jednym z powodów przemierzania przez literaturę światową poważnego dorobku polskiej fotografii i artystów w dziedzinie fotografii.

Tak więc książka Wacława Zdarskiego wypełnia tę lukę. Dzieła fotografii warszawskiej to przecież pokazywal się w historii fotografii w Polsce. Książka ta, nie obejmując wyzaczepiającą tematu, tak przecież rozległego i różnorodnego, daje jednak satysfakcję zarówno miłośnikom warszawianów jak i miłośnikom fotografii. Jak na dzieło o fotografii przystało, książka Zdarskiego zawiera ponad 100 reprodukcji — od pierwszych dagerotypów po najnowsze fotografie współczesnych artystów.

Wacław Zdarski „Historia fotografii warszawskiej”, PWN, cena zł 55.—

WIERZYŃSKI

Nie wiadomo czy Kazimierz Wierzyński nie cenił swoich wierszy z lat dwudziestych, w każdym razie za życia nie chciał ich prezentować polskiemu czytelnikowi w kraju. Wydany przed laty wybór poezji, dokonany jeszcze przez samego poetę, pomijał głośne, międzywojenne tomy: „Wiosna i wino”, „Wroble na dachu”, a nawet „Laur olimpijski”, za który przecież Wierzyński otrzymał złoty medal na Olimpiadzie w Amsterdamie w roku 1928. Tak więc ów tom wydany przez WL był tylko wyborem wierszy emigracyjnych.

Obecnie PIW opublikował w celotomowej serii pierwszy retrospektywny tom poezji Kazimierza Wierzyńskiego. Wyboru dokonał Michał Spruskiński i on też opatrzył książkę wnikliwym wstępem. Pisze tam: „Ta twórczość powróciła z wielkiego oddalenia (...). Ten powrót — z przystawni odległej twórczości i geograficznie, spośród innych głosów i innych ścieżek”.

Ta poezja powróciła do skarbca polskiej literatury — a właściwie była tu zawsze, mimo nieobecności.

Kazimierz Wierzyński „Wiersze wybrane”, PIW, cena zł 30.—

MŁODA POLSKA

Młoda Polska zazwyczaj kojarzy się z Krakowem. Wiadomo — Przybyszewski, Tuwim, Wolski, Korab-Brozowski, no i oczywiście — „Zielony Balonik”. Boy i cała plejada malarskiej bractwa... Oczywiście to powszechne przekonanie, że Młoda Polska zaczęła się w Krakowie, bierze się z atrakcyjności, bojących wspomnień i popularności „Siłówek”. W gruncie rzeczy Młoda Polska to coś więcej niż kabaretowa zabawa odciska.

Historicy literatury wysuwali datę powstania warszawskiego „Życia” redagowanego początkowo przez Miriamę — jako początek okresu Młodej Polski. Ostatecznie jednak przyjęto umownie datę 1900.

Nie bardzo godzi się na te daty Roman Taborski, rozpoczynając swoją książkę o działalności „Wędrowca” (1984) za redakcją Artura Gruszeckiego i „Życia” (1987) za redakcją Miriamy-Przesmyckiej. Książka Taborskiego, bardzo cenna i ciekawa, nie zmienia jednak utartych przekonań o krakowskim rodowisku Młodej Polski. Nie tak zresztą jest jej cieniem „Życie literackie młodopolskiej Warszawy” nie jest bowiem memuareem uczestnika, lecz poważną pracą historyczno-literacką. Jest to więc książka adresowana może nie tak szeroko, jak wspomniani Boya, ale również interesująca.

Roman Taborski „Życie literackie młodopolskiej Warszawy”, PIW, cena 33 zł.

STARY MISTRZ

W serii „W kręgu sztuki”, przygotowywanej przez „Arka” ukazał się ostatnio album poświęcony twórczości Hieronima Boscha, holenderskiego malarza z prowincjonalnego miasta Hertogenbosch. Współczesny Leonardo da Vinci Boscha, podobnie jak wielki Włoch, stworzył w swych dziełach niepowtarzalną, własną wizję człowieka i natury. Twórczość Hieronima Boscha, malarza, którego łączono z realizmem, malarstwem rodzajowym, ekspresjonizmem i surrealizmem, pasjonowała i po dziś dzień pasjonuje historyków sztuki, artystów i odbiorców. Bogactwo form wyrazu, symbolika, kompozycja, barwa, wszystko to składa się u Boscha na wizję świata niepowtarzalną, zadziwiającą i intrygującą od stuleci. Starannie przygotowany album z barwnymi reprodukcjami pozwolił nam jeszcze raz przyjrzeć się dziełom starego mistrza i jeszcze raz stwierdzić: Jakż on jest współczesny.

„Hieronim Bosch”, opracowała Anna Boczkowska, Arka, W-wa, 1974, Henschelverlag — Berlin, str. 46, cena zł 30.

„SPORTOWCY XXX-LECIA”

Pod takim tytułem ukazał się przygotowany przez Wydawnictwo „Sport i Turystyka” obszerny tom reportażów przedstawiających sylwetki naszych wybitnych sportowców. Ich młoda droga do największych sukcesów, drogi kosztujące wiele wyrzeczeń, samozaparcia i wysiłku. Autorzy reportażów przedstawiają w sumie trzydzieści sylwetek, trzydzieści życiorysów, które na trwałe zapisały się w historii polskiego sportu.

O wyborze zawodników, przedstawionych w omawianej książce, nie zdecydował przypadkiem. Trudno zresztą byłoby zgromadzić tylko trzydzieści nazwisk i zadowolić wszystkich kibiców sportowych. Toteż sięgnięto po rozwiązanie chyba najlepsze i odwołano się do opinii właśnie kibiców. Oni też zdecydowali, kto ma się znaleźć wśród trzydziestu najbardziej zasłużonych dla polskiego sportu. Tom „Sportowcy XXX-lecia” jest efektem konkursu plebiscytu ogłoszonego w lipcu 1973 roku przez Zarząd Główny ZMS, Redakcję „Sportu” i Wydawnictwo „Sport i Turystyka”. Jak wielkie było zainteresowanie konkursem świadczy fakt, że wzięło 628.325 kuponów. Zwycięzcy zdecydowanie szablona — Jerzy Pawłowski. On, z 39 innych sportowców sa bohaterami tej książki, która powinna się znaleźć na półce każdego kibica.

J.W. „Sportowcy XXX-lecia”, Wydawnictwo „Sport i Turystyka”, W-wa, 1974, str. 413, cena zł 55.

ANALOGIE?

POLACY I SZKOCI

W wyświetlanym od jakiegoś czasu filmie „Potop” obserwujemy kilka scen, w których występują najemni żołnierze szkocki będący w służbie księcia Janusza Radziwiłła w Kiejdanach. W trzeciej części „Trylogii” — „Panu Wołodyjowski”, również, jak pamiętamy przeniesionej na srebrny ekran, podziwialiśmy pięknego i rycerskiego Szkota Kellinga. Fakt, że Sienkiewicz tak często w swojej epopei wspomina o mieszkańcach odległej od Polski Szkocji może nasuwać przypuszczenie, że w pewnych przynajmniej okresach, kontakty między mieszkańcami tych dwu krajów musiały być dość ożywione.

Tak też rzeczywiście było. Ale o tym — za chwilę. W tym miejscu pragniemy zwrócić uwagę na pewne podobieństwo dziełom Polski i Szkocji (niektórzy twierdzą, że wynika stąd także duże podobieństwo charakterów i temperamentów). Jak wiadomo, Polska straciła niepodległość na przeciąg prawie półtora wieku. Szkocja, państwo niepodległe do roku 1707 — daty zawarcia unii z Anglią — nie odzyskała swej wolności do dziś. Jednakże poczucie odrębności narodowej u Szkotów, pomimo prawie całkowitego obumarcia języka (gaelickiego), nie wygasło do chwili obecnej. Niech nas więc nie dziwi, że każdy Szkot czuje się głęboko dotknięty, gdy go nazywamy Anglikiem.

To, że nam wydaje się dziecinadą podkreślanie swej odrębności, gdy od niepiętnych czasów Szkocja należała do Wielkiej Brytanii, prawie jednak zawsze wynika z ingorancji dotyczącej historii tego narodu a nie z chęci sprawienia przykrości. Naszym przodkom też z pewnością nie było przyjemnie, gdy nazywano ich Niemcami, Austriakami, czy Rosjanami.

Warto jeszcze wspomnieć o sukcesie nacjonalistów szkockich w ostatnich wyborach, kiedy to udało się im poważnie zwiększyć swoją reprezentację w Parlamencie Wielkiej Brytanii. Cała ta sprawa ma także swą stronę ekonomiczną, szczególnie ostro ujawniającą się obecnie, gdy na Morzu Północnym, w okolicach Szkocji, odkryto bogate złoża ropy naftowej, których eksploatacja ma się rozpocząć w najbliższym czasie. Coraz więcej Szkotów jest niezadowolonych ze „spółki” z silniejszym ekonomicznie partnerem, a przynajmniej ze sposobów rozliczeń wkładów i zysków.

Ścisłe określenie daty pierwszych kontaktów polsko-szkockich nie jest obecnie możliwe. Mimo tego wiadomo, że już w XV wieku Szkoci figurują w historii Polski ze względu na to, iż stali najemnikami i pożyczali pieniądze Krzyżakom. Po upadku Zakonu, kontakty, szczególnie handlowe, znacznie się nasiliły.

W drugiej połowie wieku XVI i w wieku XVII wielu Szkotów służyło w wojsku polskim w charakterze najemników. Zresztą, niewiele było wtedy krajów w Europie, które nie miały najemników szkockich.

Oprócz żołnierzy, przybywali Szkoci do Polski jako kupcy, często wędrowni. Podróżnik William Lithgow, przebywający czas jakiś w Polsce na początku XVII wieku, ocenił liczbę Szkotów na około 30 tysięcy rodzin. Ze liczba ta była prawdopodobna świadczyć może debata w Izbie Gmin w roku 1606, podczas której omawiano projekt unii między Anglią a Szkocją. Przeciwnicy unii argumentowali, że jeśli Szkotów zrówna się w prawach z Anglikami, to zaleją oni Anglię, tak, jak zalała Polskę.

Powodem masowego osiedlenia się Szkotów w Polsce w owym czasie były, niewątpliwie, dogodne warunki do uprawiania handlu, prawie zagwarantowana swoboda religijna od roku 1573 oraz przyjazne nastawienie Polaków. Wielu Szkotów, wzbogaćwszy się, wracało do ojczyzny, wielu jednakże zostawało na stałe. Często ich nazwiska polonizowały się, na przykład Cochran na Czocharan lub Czocharanek, Gore na Górski, Sinclair na Szymler, itp. Aleksander Cramer, czterokrotny zasłużony burmistrz Warszawy, to także Szkot z pochodzenia a jego oryginalne szkockie nazwisko było Chalmers.

Niewątpliwie najbardziej ciekawą i malowniczą postacią wśród Szkotów w Polsce był słynny Patrick Gordon of Auchleuchries, autor pamiętników, urodzony w roku 1633. W wieku lat 16 postanowił szukać szczęścia w Polsce. Przez pewien czas przebywał w kolegium jezuickim w Braniewie, wkrótce jednak zbryzdył sobie zakony tryb życia i zaprzagnął zaciągnąć się do prywatnego oddziału szkockiego księcia Janusza Radziwiłła. Z pewnych powodów plan spalił na panewce i Patrick Gordon postanowił wrócić do ojczyzny. W drodze powrotnej, w

Hamburгу, spotkał swoich ziomków, którzy namówili go do wstąpienia do armii szwedzkiej Karola Gustawa przygotowującego właśnie inwazję na Polskę. Z wojskami Karola Gustawa wkroczył Patrick Gordon do Polski w roku 1655, gdzie przez następne pięć lat przeżył mnóstwo przygód. Między innymi był trzykrotnie brany do niewoli, na przemian przez Polaków i Szwedów. Wojnę skończył jako kwatermistrz księcia Lubomirskiego. Po wojnie ze Szwecją przeszedł na służbę Rosji i został przez cara Piotra Wielkiego mianowany generałem. Jak sugeruje Jan Dąbrowski w swej książce „Z Anglika mi na co dzień”, Patrick Gordon był pierwowzorem Szkota Kellinga z „Pana Wołodyjowskiego”.

Spośród nieprzebranego bogactwa interesujących informacji dotyczących stosunków polsko-szkockich odnotujmy jeszcze dwie. Pretendent do tronu szkockiego (zwany „młodym prezydentem”), owiany romantyczną legendą przywódca ostatniego powstania szkockiego przeciw Anglikom, książę Karol Edward Stuart — „Bonnie Prince Charlie” — był synem Klementyny Sobieskiej, wnuczki króla Jana Sobieskiego, żony Jakuba Stuarta. Ponadto, domieszkę krwi szkockiej mieli w swoich żyłach zarówno król Stanisław August jak i książę Adam Czartoryski.

Brak miejsca nie pozwala przytoczyć innych ciekawostek związanych choćby z takimi postaciami jak Jędrzej Śniadecki, Maria Curie-Skłodowska, J. I. Paderewski czy Fryderyk Chopin. Szczegóły te (i mnóstwo innych) znajdzie czytelnik w pięknie i starannie wydanej książce zatytułowanej „Edinburgh University and Poland” (Uniwersytet w Edynburgu a Polska), opublikowanej w roku 1968 pod redakcją doktora W. Tomaszewskiego. Niestety, książka wydana jest w języku angielskim lecz wydaje się rzeczą pożądaną, aby mogła być ona udostępniona zainteresowanemu czytelnikowi polskiemu.

Choć tytuł odnosi się jedynie do uniwersytetu w stolicy Szkocji, książka zawiera ogromne bogactwo szczegółów dotyczących wzajemnych kontaktów polsko-szkockich na przestrzeni dzieł. Asumpt do publikacji dzieła dały obchody dwudziestej piątej rocznicy otwarcia Polskiej Szkoły Medycyny — wydziału medycznego w uniwersytecie w Edynburgu. Podpisanie odpowiedniego porozumienia między ówczesnym rządem polskim a władzami uniwersytetu nastąpiło 24 lutego 1941 roku, a już w marcu tegoż roku rozpoczęły się zajęcia. Pierwszym dziekanem polskiego wydziału medycznego był profesor A. Jurasz; wykładami byli prze-

ważnie specjaliści polscy, wśród nich wydawca wspomnianej książki, niestrudzony działacz polonijny, doktor W. Tomaszewski.

W ślad za polskim wydziałem medycznym, w październiku tego samego roku, nastąpiło otwarcie polskiego szpitala, początkowo na 120 a potem na 150 łóżek. Szpital otrzymał imię J. I. Paderewskiego. Godzi się dodać, że uniwersytet w Edynburgu nie był jedynym w Wielkiej Brytanii, który pomagał Polakom uzyskać wykształcenie w czasie wojny, bo choć działało tu także otwarte w roku 1943 Studium Weterynarii, to na podobnych zasadach rozwijały swoją działalność polski wydział architektury w Liverpoolu, oraz polski wydział prawa w Oksfordzie. Jednakże, jak podkreślił to w epilogu swej książki dr W. Tomaszewski, uniwersytet w Edynburgu zajmuje pozycję zupełnie wyjątkową ze względu na „gorące przyjęcie i wielką chęć pomocy, przekraczającą nominalnie przyjęte zwyczaje akademickie”. Trzeba z naciskiem podkreślić, że inicjatywa udzielenia pomocy przez uniwersytet w Edynburgu nabiera wyjątkowo ważnego znaczenia, jeśli się zważy, iż wysłała ona w chwilach najcięższych i najtragiczniejszych dla polskiej nauki i oświaty, w czasie gdy naród toczył walkę, której stawka był nasz byt narodowy. Owocem tej inicjatywy było prawie 400 dyplomów ukończenia studiów w uniwersytecie w Edynburgu przez studentów polskich studiujących na różnych wydziałach.

Oczywiście, historia kontaktów polsko-szkockich nie zamknęła się z chwilą publikacji wspomnianej książki; rozwijają się one nadal. Wystarczy choćby wspomnieć o udziale polskich artystów w słynnych festiwalach dramatu i muzyki odbywanych co roku w Edynburgu na przełomie sierpnia i września, czy też o wyjazdach stypendystów British Council. Wydaje się jednak, że Szkocja jest krajem ciągle jeszcze zbyt mało znanym w Polsce. A przecież, jak słusznie zauważa wspomniany już Jan Dąbrowski, Szkocja winna być dla nas Polaków krajem najbardziej obecnie znanym i popularnym; podczas ostatniej wojny przebywało tam w ciągu pięciu lat blisko 100 tysięcy Polaków!

Dlatego też trzeba się zgodzić z doktorem Tomaszewskim, gdy pisze on, że choć wiele rzeczy dziełi narodu, to jest rzeczą pożyteczną... „wynajdywać to, co mają one ze sobą wspólnego i wyszukiwać jakie istniejące więzy które zbliżają je do siebie.”

BOGDAN KRAKOWIAN

PLASTYKA

„Żaden marynarz nie może się czuć dobrze na ciebie i duszy, gdy wprowadzi swój statek w tarapaty.” („Zwierciadło morza”)

Czytam Conrada Myśli — „O morzu” (wydane przez Wydawnictwo Morskie) i odnoszę wrażenie, że czytając mądrą, dobrze napisaną rozprawę o sztuce, a raczej, że czytając nie tylko książkę o morzu i pracownikach morza, ale i o sztuce i jej pracownikach. Książka ta to traktat o romantyce i trudzie pracy na morzu, o moralności, niebezpieczeństwach, blaskach i cieniach żeglarskiego życia, o marynarskim rzemiośle, o walce o sukces, o godność, z jaką przyjmować winno się klęskę poniesioną w walce z żywiołem, o potęgę samego żywiołu, o warsztacie czyli o statkach, o ludziach znających swój warsztat i świadomych celu swego trudu.

Tytuły w książce: „Morze — arena dramatu” — „Uroki i groza żywiołu” — „Morze i człowiek” — „Marynarskie cnoty” — „Okrety są zawsze w porządku”.

To brzmi jak wiersz. Można by go napisać inaczej, nie zmieniając w niczym jego istoty: „Sztuka — arena dramatu” — „Uroki i groza żywiołu” (sztuka nie jest sztuką, gdy nie staje się żywiołem) — „Sztuka i człowiek” — „Cnoty artysty”.

Czytam Myśli Conrada i oto uświadamiam sobie, jak wiele z tego, co dzieje się w sztuce dzisiejszej, co dzieło się w niej kiedyś, przez całe stulecia jej trwania, potrafił on wyrazić „trzymając się” tematu tak odległego (pozośnie) jak morze i żeglarskie rzemiosło, czyli mówiąc prościej (czy trywialnie?) — o przepływanie od brzegu do brzegu woda — morzem, oceanem (a zatem przez jeden z żywiołów).

Pisze Conrad: „Żaden statek prowadzony i obsługiwany ot tak, z łaski, jak na lądzie ludzie wykonują swoje zadania, nie dopłynąłby do portu.” („Gra losu”). Albo pisze: „Marynarz znajduje w wypełnianiu obowiązków swojego zawodu głębokie poczucie pewności. Życie na morzu, które stawia człowiekowi tyle wymagań, ma tę wyższość nad życiem na lądzie, że zadania jego są proste i nie można się od nich uchylić.” („Gra losu”). Odniesmy to do sztuki i wymagań, jakie stawia ona tym, co ją tworzą. Zadania sztuki są proste i nie sposób, nie można się od nich uchylić. Gdy tak się staje, nie ma mowy o sztuce. Co zatem staje się z tymi, którzy zapominają o sztuce najprostszych, elementarnych zadaniach? Ci umierają na lądzie.

Pisze Conrad: „...marynarz potrafi najlepiej zrozumieć nie-

które rzeczy...” („Falk”). Tak jak artysta gdy nie potrafi pojąć do końca niektórych rzeczy, lepiej od innych — umiera na lądzie...

Albo pisze Conrad: „...zaufanie musi się spodobać każdemu marynarzowi tej nazwy”. („Zwierciadło morza”). A o co może walczyć artysta jak nie właśnie o zaufanie do swojej twórczości? Dlaczego Dostojewski, Rilke, Cendrars, Saroyan, Fra Angelico, Vermeer, Goya, Degas, Gauguin, Cezanne...? a nie Kowalski, Iksiński, Piński, Śmiński...? Conrad powiada: „...nie ma celu zaciągać się na statek tylko po to, żeby przez miesiąc prowadzić psie życie i zostać wylanym u końca pierwszej podróży”. („U kresu sił”).

U Conrada słowa o moralności i wzajemnym szacunku: „Obaj byliśmy marynarzami. To było potężne wezwanie”. („Smuga cienia”). On i ja jesteśmy twórcami. Cóż to dziś znaczy?

„W żadnym innym zawodzie — prócz marynarskiego — serca tych, co już się puścili na morze, by pływać po nim lub utonąć, nie wyrwywają się tak gwałtownie do chłopca na wybrzeżu, wpatrzonego bluszczami oczami w migotanie rozległej przestrzeni, które jest tylko odbiciem jego młodzieńczych spojrzeń, pełnych ognia. Tak cudownie nieuchwytna są na-

dziele, które pchnęły każdego z nas na morze, taka w nich wspaniała mglistość, taka piękna żądza przygód — że wszystko to już samo przez się stanowi naszą wyłączną i jedyną nagrodę. A to, co zdobywamy... Ech, nie będziemy o tym mówić; ale ktoś z nas zdoła powstrzymać uśmiech wobec młodzieńczych wspomnień? W żadnej innej dziedzinie życia rzeczywistość nie jest tak oddalona od złudzenia, w żadnym zawodzie początek nie jest tak wyłącznie złudzeniem, rozczarowanie nie następuje tak szybko, użarwienie nie jest tak zupełne. Przecież wszyscy zaczęliśmy z tymi samymi porывami, kończyliśmy bogaci o to samo doświadczenie...” Pracownicy sztuki są jak pracownicy morza...

I jeszcze może to: „Nie miałem nie przeciwko wiernej służbie. Pełni się ją dla własnego zadowolenia, dla dobra statku, z upodobania dla rodzaju życia, które się sobie wybrało, nie dla nagrody”. („Smuga cienia”). Ci, co tworzą dla nagrody, umierają na lądzie. A: „Latwo porzucić przeciekający statek, ale to partactwo. Partactwo.” („Wyrutek”).

Czytam Conrada. A miał być felieton o plastyce...

ANDRZEJ GRUN

ZDARZENIA I ZWIERZENIA

Dyrektor Janusz Król z Łódzkiego „Ruchu” zaprosił już przed świętami dziennikarzy, aby pokazać, jakie to barwne i piękne karty pocztowe będziemy mieli do dyspozycji w dziesiątkach kiosków i klubów „Ruchu”. Ekspozycja rzeczywiście imponująca.

Dziś zresztą nikogo o tym przekonywać nie trzeba, zdążyliśmy już wysłać karty świąteczne kupi i wysłać krewnym, znajomym i przyjaciółom. Wracam jednak do tego tematu w świątecznym felietonie, bo właśnie w tym roku „Ruch” zaprezentował nam zestaw okolicznościowych kart, tak bogaty, jak chyba nigdy dotąd. Dość powiedzieć, że tylko na rynku łódzkim i województwa łódzkiego ukazało się około... ośmiuset różnych pocztówek o świątecznej i noworocznej tematyce. W sumie było tego kolorowego „towaru” dwa i pół miliona sztuk.

Proszę sobie wyobrazić — 800 tematów i 2,5 mln sztuk. I, oczywiście, wszystkie możliwe techniki poligraficzne. Były nawet (choć bardzo mało) importowane z Japonii pocztówki trójwymiarowe. Były także po-

cztówki ze znanej serii tygodnika „Szpilki”, o akcentach żartobliwych. Na przykład narciarz z nogą w gipsie; można taką pocztówkę posłać komuś, kogo się specjalnie nie lubi, ale kto ma poczucie humoru. Ponurak się obrazi, ale karty „Szpilek” nie są dla ponuraków.

Były także całe serie różnego rodzaju barwnej fotografii — jakieś ikebany z jodełką, zimowe pejzaże, piękne kartki noworoczne na imitacji czerpanego papieru... Krajowa Agencja Wydawnicza powstała niedawno, a już błyskawicznie trafiła w aktualną modę, wydając serię noworoczną z zabytkowymi zegarami... Słowem — pięknie, kolorowo, różnorodnie.

Chwała „Ruchowi” za sprawną dystrybucję, chwała wydawcom za tę różnorodność i barwność...

I zaraz przychodzi refleksja. Pocztówka, karta pocztowa — dziś się nie wyobrażamy sobie ani codziennych, ani świątecznych kontaktów bez tej kartki zadrukowanego papieru. A przecież stosunkowo niedawno była to nowość, bo kartę pocztową zrodził dopiero wiek dziewiętnasty.

U schyłku XIX wieku już było modne kolekcjonowanie ilustrowanych kart pocztowych i wtedy to właśnie ogłoszono w Warszawie konkurs na nazwę tej formy korespondencji.

Dziś nie ma problemu — mówimy „pocztówka”, rzadziej „widokówka”. A jakie propozycje zgłaszali nasi pradziadkowie w końcu XIX wieku?

Zdziwicie się. Spośród stu kilkudziesięciu ówczesnych pomysłów przypomniał parę. Oto one: barwnocytka, bezkopertka, bilecik, czytanko, donoska (dziś to nieaktualne — donosi ludzie wysyłają w dobrane zaklejonych kopertkach), jawka, jawnocytka, jawnotek, jawnotka, kartkówka, kartolist, kurierka, listeczka, listeczka, lotka, malowanka, nagopis, naguska, nibylis, niedyskretna, niezalepianka, nowinka, odręcznik, odsłonka, odwrotka, otwartka (ciekawe, że nie było wśród tych pomysłów „odkrytki”, która zrobiła potem niewielką karierę), ogładka, piśmówka, pisokarta, pocztówka, (otóż to!), pocztylionka, posłanka, pospieszka, powiadomka, pozdrówka, rozwartka, skrótko,

ŚWIĄTECZNA POCZTÓWKA

skrypka, słanka, treściopis, wiadomostka, widocznik, widokart (brak „widokówki”, która narodziła się później), widopis, wycytka, wysłanka, zapiska, zawiadomka, zobnokart...

Uff... Dużo tego było, ale, jak wiadomo, karierę zrobiła tylko pocztówka.

Ale jak pocztówka powstała? Sięgnąłem do opasłej księgi Stanisława Wasylewskiego „Życie polskie w XIX wieku”, aby rzec spenetrować naukowo. Skoro pocztówka narodziła się w wieku dziewiętnastym, powinien się znaleźć jakiś ślad tych narodzin w wyczerpującej monografii Wasylewskiego.

Niewiele tam znalazłem, poza istotną jednak informacją, że gdzieś od początku stulecia życia świąteczne i noworoczne roznosili po domach na drukowanych karteluszach — kominiarze, pocztyliony, suflery teatralni. Tym właśnie zawodom przysługiwało niejako prawo zbierania datków za życzenia. W czasach późniejszych forma ta uległa znacznej deformacji. Oto gdzieś przed Nowym Rokiem w naszych blokach, pozabawionych pieców i podłączonych

do elektrociepłowni — zjawia się lekko pijany osobnik i pokonując czkawę oświadcza jednym tchem: „Wszystkiego najlepszego życzy kominiarz, należy się 50 złotych”.

W XIX wieku wyglądało to bardziej uroczyste. Stanisław Wasylewski pisze zresztą, że wraz z rozwojem barwnej litografii, karty świąteczne kominiarzy, pocztylionów i suflerów sypały się lawiną u progu Nowego Roku. Natomiast gdzieś w połowie stulecia zaczęto drukować na szerszą skalę litograficzne widoczki Warszawy i obdarowywano się nimi nie tylko z okazji świąt, ale także imienin.

Nie były to jeszcze pocztówki w dzisiejszym sensie, ale już bardzo je przypominały. W tym samym czasie rodził się nowy wynalazek — koperty. Dotąd bowiem zapisany list składano ośmiornicę i zalepiano lakiem. Pierwsze koperty wyrabiano w Anglii już w roku 1820, ale w Polsce weszły w użycie w latach 1845—1849.

Tyle mniej więcej dowiedziałem się z dzieła „Życie polskie w XIX wieku”. Wynikałoby z

tego, że pocztówki narodziły się z litograficznych druków z życzeniami od kominiarza — które to druki były czymś w rodzaju biletu wizytowego „fachowca”. A więc prapocztówka to bilet wizytowy.

Nieco inną wersję głoszą Przemysław Burchard i Eugeniusz Gołowiński w książce „Poradnik kolekcjonera”. Otóż, obaj ci autorzy piszą: „zaczęło się od tego, że poczta wprowadziła różnicowanie opłat za „pismo odkryte”, czyli list w kopercie (...) Widokówki zaczęto produkować w drugiej połowie XIX wieku, gdy upowszechniła się turystyka. Jednocześnie — pisała autorzy „Poradnika” — pojawił się drugi rodzaj pocztówek — z życzeniami świątecznymi”.

I w ten sposób mamy krótki zarys dziejów pocztówki. Teraz pisząc stereotypowe „Wesołych świąt i szczęśliwego Nowego Roku” — możemy to czynić z całym bagażem historycznej wiedzy.

WIDOK

LEWYM OKIEM

Na konferencji żywnościowej w Rzymie znów padły alarmujące głosy o katastrofie, grożącej naszemu ludzkiemu gatunkowi w związku z jego nadmiernie szybkim mnożeniem się na ziemi. Tylko delegat Chin z chińskim spokojem oświadczył na niedawnej naradzie demografów w Bukareszcie, że duży przyrost naturalny w krajach „trzeciego świata” jest najlepszą, optymistyczną gwarancją przed niebezpieczeństwem imperializmu. Nie wiemy, co się dzieje w Chinach, wiemy jednak, że do niedawna czyniono tam ogromne wysiłki na celu ograniczenia liczby urodzeń.

Jeden z przedwojennych warszawskich tygodników literackich opisał w roku 1937 wyjazd Jerzego Waldorffa z nielubianej pamięci przynależącej faszystów belgijskich, Leonem Degrellem, który też uważał wielki przyrost naturalny za najważniejsze za-

danie polityki demograficznej państwa. „Wprowadzimy głoszenie rodzinne — mówił Degrelle. Rodzice czworga dzieci oddawać będą cztery głosy w wyborach! Odmłodzimy nasz kraj. W mojej Belgii człowiek 60-letni będzie musiał zrozumieć, że jego czas się skończył. Będzie miał prawo do szacunku i odpowiedzialności — nic więcej...”

Język chiński przypomina jak widać narzecze niedogodniejszych faszystów. Na złość jedynemu i drugiemu ludzi żyją i chcą żyć coraz dłużej, czego prostym wynikiem jest coraz większy tłok na naszej planecie. Jeśli starsi chcą żyć, a wręcz stać się jeszcze starszymi, jeśli mimo to chcą mieć na świecie zdecydowaną przewagę młodzieży, to nie pozostaje nic innego tylko rodzić, rodzić, rodzić. Powiększać tłok, wydłużać kolejkę, zagęszczać metropolie.

Jean Fourastié, cytowany w

„Nowej Konstatacji” Aleksandra Rogalskiego, przypomina, że niecałe dwieście lat temu dziecko 14-letnie (o ile dożyło tego wieku) widziało już — statystycznie biorąc — śmierć jednego z rodziców. Do niedawna rodzice umierali, zanim ukończyli swoje pełne wychowanie dzieci. Dziś statystyczna para małżeńska umiera w kilkanaście lat po ślubie najmłodszego dziecka, a często obciążeni jeszcze wesele wnuka.

52-letni Francuz w XVIII wieku był czcigodnym starcem, który — wszystko według średnich statystycznych — miał już za sobą zgon obojga rodziców i trojga własnych dzieci, dwa razy przeżywał klęskę głodu, tyleż samo — groźne epidemie chorób zakaźnych, dziesięćkrotnie ludność, znośił przez całe lata ból zębów, ból nie gojących się ran i urazów. „Śmierć stała w centralnym pu-

BIURO W DOMU czyli WIZJA PRZYSZŁOŚCI

ńkie życia podobnie jak emmentarz rozciągał się w samym środku wsi”.

Gdybyśmy na całym świecie uznali za godne naśladowania rodziny siedmio- i ośmioczętne, to oczywiście tamten obrazek bardzo szybko stałby się ponownie rzeczywistością. Chyba że nie czekając na klęski i epidemie sami ludzie dokonaliby radykalnej „przecinki”, jak leśnik w zbyt gęstej szkółce świerkowej. Przecinki — takiej z wodorem, kobaltem i siedmioma dalszymi kramami piekłem. Czy takie wyjście wolno nam uznać za najgłębsze?

Miasta rosły do monstrualnych rozmiarów, rosną też odległości pomiędzy miejscami, gdzie się śpi, kocha i odpoczywa, gdzie się pracuje, kupuje i roz-

rywa. Skracamy czas pracy, nie zyskując, bo wydłużamy czas dojazdów. I oto z wizją poprawy tego stanu rzeczy występuje w „Życiu Literackim” Walery Pisarek: pomogą nam hokomcenty.

Co to są hokomcenty? To taki domowy, uniwersalny kombajn, połączenie radia, telefonu, magnetofonu, telewizora i komputera, oczywiście z jakąś tam zawrotną elektroniczną pamięcią. „Przedsiębiorcom — pisze Pisarek — bardziej opłaci się zakupić pracownikom hokomcenty niż budować i utrzymywać wielkie biurowce. Hokomcent umożliwi urządzenie w domu”.

Tym samym elektronicznym trybem człowiek wybierze sobie towar, pokazany mu na ekranie

telewizora, automaty dostarczą go w stanie gotowym do spożycia. Po co w ogóle wychodzić z domu? Po co się ruszać sprzed hokomcentu? A może nawet dalej: po co przed nim siedzieć, na łóżko boską, po co? Żeby nas więcej upchać, żebyśmy się zmieścili pomiędzy Antarktydą a Spitzbergenem?

Chodzimy, póki czas, na spacer. Może znajdzie się jeszcze taka ścieżka w lesie, taki brzeg nad wodą, taki kawałek urzysowiska, gdzie będziemy mogli przeczytać w ciszy i spokoju raporty z konferencji bukarzeskiej i rzymskiej. Warto są zastanowienie.

ĆWIEK.

POLEMIKI

Na samym wstępie muszę się zastrzec, że oświadczenie nie mam nic przeciw Michałowi Strzeleckiemu z „Expressu Ilustrowanego”, wręcz przeciwnie — bardzo go szanuję i lubię. To zastrzeżenie czynię nie z asekurancją, tylko z obiektywnych przesłanek, gdyż u nas chlubna tradycja polemiki zmarła dość dawno, a każda próba jej wskrzeszenia rodzi niechęć podejrzania. Podejmując się polemiki podejrzewa się zaraz o ukryte zamiary, jakby to różnica poglądów wynikała konieczności musiała z różnicy interesów, czy niezgodności upodobań, muszę więc jeszcze raz zastrzec się, że nie zajmuję się sportem zawodowo, nie popielam żadnego sportowego sprawozdania, a jeśli zdecydowałem się zabrać głos w sprawie piłkarskiej drużyny LKS i jej byłego trenera Pawła Kowalskiego, to jedynie dlatego, że głównie chodzi mi o metodę. A z taką metodą oceny człowieka można spotkać się nie tylko w sporcie. I nie moja wina jest, że klasyczny wzorzec tej metody zastosował w „Expressie Ilustrowanym” Michał Strzelecki.

Mam tu na myśli jego artykuł pt. „PAWEŁ KOWALSKI: DLA CZEGO MUSIAŁEM ODEJŚĆ?”. W artykule tym Michał Strzelecki próbuje bronić byłego trenera pierwszoligowej drużyny LKS — Pawła Kowalskiego. Cytując obficie słowa „obwinionego”, usiłuje przekonać Czytelnika, że Paweł Kowalski „nie powiedział ostatniego słowa”, że „w przyszłości, bogatszy już w doświadczenia i w jeszcze większy zasób wiedzy teoretycznej, podejmie pracę z jakimś czołowym klubem w Polsce”. Michał Strzelecki sugeruje nawet, że „może

(...) w LKS”. Jego zdaniem „taka ewentualność nie jest wykluczona”.

Sprawa jest jasna. Wina za ostatnie miejsce jedenastki LKS w pierwszoligowej tabeli ponosi trener, któremu brakowało doświadczenia, wiedzy teoretycznej i tak dalej. Trudno mi ocenić kwalifikacje trenerskie Pawła Kowalskiego, ale trudno mi też zgodzić się z metodą „kozła ofiarnego”. A taką metodę — idąc po najmniejszej linii oporu, posługując się schematem — zastosował Michał Strzelecki. Na dodatek jeszcze, obok jego artykułu, na tej samej stronie sportowej „Expressu Ilustrowanego” ukazała się notatka pt. „Gratulacje dla nowego trenera”. W notatce tej, która zawiera wiadomość, że dziennikarze sportowi „Głosu Wybrzeża” nadesłali dla nowego trenera LKS, Grzegorza Polakowa telegram z gratulacjami — jak na ironię — można znaleźć zapewnienie, że nowemu trenerowi na pewno dobrze będzie się współpracowało z prasą sportową Łodzi.

Ani przez chwilę w to nie wątpię, że będzie to dobra współpraca, ale nie chciałbym mu życzyć tego, aby mu się powiodła noga — albo raczej powinny się nogi kilku jego podopiecznych tak jak to się przydarzyło Pawłowi Kowalskiemu, bo wtedy i on stanie się „kozłem ofiarnym”, na którym skupia się wszystkie winy piłkarskiej jedenastki LKS. Mam prawo do takiego sądu, gdyż Michał Strzelecki broniąc Pawła Kowalskiego i wyjaśniając kibicom jego winy, zapomina o kilku drobniostkach.

Pozwólę sobie w tym miejscu przytoczyć obszerny fragment

artykułu „Dziennika Łódzkiego” z 6 stycznia 1973 r.

„Sportowa opinia naszego miasta, a przede wszystkim zagorzałych kibiców drużyny piłkarskiej

UMARŁ KRÓL, NIECH ŻYJE KRÓL!

LKS zaniepokoił ostatnio pogłoski o rezygnacji z pracy szkoleniowej z pierwszym zespołem czerwono-białych dotychczasowego trenera, Pawła Kowalskiego oraz zaangażowanie w jego miejsce trenera kadry narodowej, Kazimierza Górskiego.

Sprawa ta przedstawia się tymczasem nieco inaczej, o czym poinformowali nas w czasie wczorajszej konferencji prasowej przedstawiciele Zarządu LKS. Istotnie (jak zresztą podaliśmy wcześniej) Zarząd PZPN wyraził zgodę na objęcie obowiązków trenera-koordynatora w LKS przez K. Górskiego. Będzie on

pełnił tę funkcję obok normalnej pracy szkoleniowej z narodową kadrą naszych piłkarzy.

Trzeba tu jednak dodać, co podkreślono wyraźnie, że opiekę nad pierwszoligowym zespołem czerwono-białych K. Górski będzie sprawował razem z Pawłem Kowalskim. Obaj będą realizowali ustalony wcześniej przez kierownictwo sekcji i tre-

zresztą podkreślił P. Kowalski na wczorajszym spotkaniu — będzie on prowadził szkolenie pierwszego zespołu (wraz z K. Górskim) przynajmniej do końca drugiej rundy rozgrywek ligowych, a więc do ostatnich dni czerwca br.”.

Ala tutaj muszę teraz powołać się na „Express Ilustrowany”, który nie tak dawno cytował na-

skiego, aby został i współpracował z Kazimierzem Górskim. Należałoby więc powiedzieć całą prawdę, a więc i to, że część winy za niepowodzenia piłkarzy LKS ponosi również Kazimierz Górski, nie licząc oczywiście winy poszczególnych piłkarzy i zarządu klubu. Ale o tym Michał Strzelecki wolał zapomnieć.

„Express Ilustrowany” zapewnia, że Grzegorzowi Polakowowi dobrze będzie się układała współpraca z dziennikarzami sportowymi. Jeśli można byłoby dolożyć się do tych zapewnień, to oświadczyć życzylibym nowemu trenerowi piłkarzy LKS, aby mu dziennikarze nie szczędzili uwag krytycznych, aby pisali o tym, co widzą na boisku, aby jego pracę należycie oceniali wtedy, kiedy jest trenerem, a nie wtedy, kiedy przestanie nim być. We Francji, kiedy następowała zmiana osoby na tronie, wołano: „umarł król, niech żyje król!”. Bardzo często w ocenie ludzi i ich pracy postępujemy właśnie w myśl tego okrzyku, a to niesie za sobą pewne podejrzenie, że powołanego zawsze łatwiej krytykować, bo się nie odejmuje, nie obroni, nie osłoni. A przecież krytykę wyrażono po to, aby ludziom pomagała unikać błędów, a nie po to, aby im je wytykać, kiedy nie są już w stanie ich naprawić. Tylko, że my bardzo ładnie umiemy mówić o krytyce, jaka to ona powinna być, ale gorzej jest ze stosowaniem jej w życiu. Ot, życie.

LUCJUSZ WŁODKOWSKI